R G B WH GR BL

Grey Scale #13

C M Y K

DANES PICTA .COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

Colour Chart #13

Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black

Inches 1 2 3 4 5 6 7 8

Centimetres 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19

DANES PICTA .COM

OBRAZKI CARYZMU.

PAMIĘTNIKI

J. GORDONA.

«Komuż te kartki martylologii naszej
«nie są drogie, a nawet i wtedy, gdy na
«nich mieszczą się najdrobniejsze szcze-
«góły przygód osobistych?»

(Wyjątek z Głosu, Lwów, N° 30,
rok 1861.)

LIPSK:
F. A. BROCKHAUS.
—
1863.

92

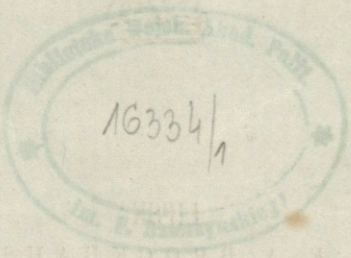

W MIEJSCE PRZEDMOWY.

(Krytyka pierwszego wydania niniejszego dziełka w Feuilletonie Czasu. Kraków, No. 13, z roku 1861.)

Od czasów barskich powstał u nas nowy rodzaj literatury pamiętnikowej, w tem odmiennej od zwykłych pamiętników, że treścią ich bywa opis podróży z musu. To pewna, że zawołani niegdyś domatorowie, podróżujemy od lat ośmdziesięciu jak liście oberwane wiatrem jesiennym po wszystkich zakątach świata. Szczególniej na północ, ku lodowatemu morzu — dokąd rzadko zagląda dla wrażeń lub dla nauki, nawet Anglik zapalony turysta — ciągną całe karawany naszych pielgrzymów, wydeptując śród zasp śniegowych tysiąc-milową ścieżkę, zlaną ich potem, łzami, a niekiedy i krwią. —

Fotografię tej ziemi potępienia zdiął poeta w kilku wierszach:

Oko nie spotka ni miasta, ni góry,
Żadnych pomników ludzi, ni natury;
Ziemia tak pusta, tak niezaludniona
Jak gdyby wczoraj wieczorem stworzona.

To nie Owidiuszowe Tomes nad brzegami Pontu żeby melancholię miękkiego pieszczocha Romy opiewać mierzonym rytmem Tristiów. O ile też wiemy, nie elegie dolatują ztamtąd, lecz epopeje w rodzaju Dantoskiego piekła, tem okropniejsze, że coby się mogło zdawać w nich fikcyą poezyi, jest najszczerszą rzeczywistością. — Dzika natura, z zepsuciem niewoli.

Jednakowoż, i na to zgadzają się wszystkie opisy, że sam pobyt na Syberyi, z wyjątkiem w kopalniach nie jest tak okropny żeby doń nawyknąć nie można, zwłaszcza stworzywszy sobie mały światek z poczciwych serc bratnich. Sroga, ogromna natura, swobodne w niej ruszanie się, zawsze to co innego jak cztery wilgotne ściany z otworem niedopuszczającym nigdy słońca. — Życie na pustyni zawsze jest życiem; w zamknięciu chociaż by duch się oparł, ciało ulega zgniliznie. — To też w opisach podróży na północ, nie tyle przeraża sam pobyt w podbiegunowej krainie soboli i białych niedźwiedzi, ile droga przebyta, te etapy po ostrogach, w towarzystwie z piętnowanymi i knutowanymi zbrodniarzami, przykutymi do żelaznego drąga; te srogości strażników i dowódców będących panami życia i śmierci, wreszcie sama długość podróży licząca się nie na tygodnie, nie na miesiące, lecz na lata. —

Podróż kibitką w towarzystkie żandarma, lubo ma za sobą pośpiech, jest jednak tej natury, że może zabić trudem i bezsennością. W zwyczajnym trybie życia czujemy się zmęczeni po dwudziesto-cztero-godzinnej jeździe koleją żelazną — a cóż to jest w porównaniu kiedy się dzień i noc leci trzęsącą kibitką przez cały miesiąc i dłużej? — Trzeba czytać te opisy, żeby pojąć męczarnie bezsenności i niewygody, a nadewszystko terroryzmu wywieranego na nieszczęśliwym, przez każdego, co na mocy prawa przywiązanego do kołnierza, może się znęcać nad ofiarą, bez żadnej odpowiedzialności. Kiedy przyjdzie pomyśleć, ilu to od kilkudziesięciu lat, doświadczyło tego losu, ile kości bieli się na tej drodze prowadzącej w krainę tęsknoty i płaczu — dziwić się potrzeba, jak nieraz sympatya i litość cywilizowanego zachodu rozkwila się nad tem, co może rozkwilenia nie warte, a okazuje się głuchą na jęk bólu wyrywający się z najszlachetniejszej piersi. Drapieżny murzyn zaprzedany w niewolę przez własnych braci, rozrzewniał niedawno w romansie pani Beecher Stowe; rozczulano się nad losem czarnych, którzy wytępiają się wzajemnie, i nie umiejąc u siebie być ludźmi nabywają jakiej takiej ogłady w służbie u białych — a niczyje serce nie zapytało się: cóż to są te karawany pędzone przy drągu żelaznym na północ? Uczciwe, białe twarze, oczy myślące, słowo wdzięczne, postawa pełna godności — wszystkie

cechy charakterystyczne wolnego, wykształconego człowieka. — Zdawałoby się, że potrzeba urodzić się czarnym, aby wzbudzać współczycie; zresztą prócz dawno zapomnianego romansu pani Cottin, nader idyllicznego, aby mógł mieć pretensyę do nagiej rzeczywitości, nikt w tym przedmiocie pióra nie próbował; i lepiej, bo najżywsza wyobraźnia nigdyby tego wymyśleć nie mogła, co opowiedzieć umie prawdziwa prawda tych kilku pamiętników, któremi wzbogacili literaturę naszą sybirscy wygnańce. Jest to, można rzec bez przesady, jedna z najoryginalniejszych gałęzi naszego piśmiennictwa; zapewne nikt nam jej nie pozazdrości ani zaprzeczy; nie zrodziła się bowiem śród bibliotek, przy autorskim stoliku, lecz śród tiurem, o głodzie i chłodzie, pod świstem knuta, na bezbrzeżnym śniegowym stepie lub przy kaganku oświecającym ściany kopalń. —

Na murzyńską niewolę w Stanach Zjednoczonych dobry był romans — tu nie potrzeba romansu, dość prawdy. Można też oddać sprawiedliwość wszystkim, co u nas o pobycie na Syberyi pisali, że nie gonili ani za kwiatami stylu, ani za sprawieniem efektu. Sama rzecz powtórzona po prostu zrobiła ich niepospolitymi stylistami; a o dramatyczne efekta nie mieli potrzeby ubiegać się, bo te co krok ich spotykały.

Początek temu rodzajowi literatury, dał u nas Załuski, biskup kijowski, wywieziony w głąb Moskwy z innymi senatorami, jeszcze wtedy, kiedy Rzeczpospolita stała w pełnych granicach. Jeźliby kto chciał ten przypadek objaśniać komu i powiedzieć, że to było tak samo, jak gdyby dziś Cesarz Napoleon rozkazał porwać z parlamentu angielskiego lorda Kinglake za to, że mówił przeciw jego polityce, i wywieźć go do Kajenny — każdyby cudzoziemiec otworzył zdziwione oczy i zaprotestował przeciw niepodobieństwu. Zacny ten duchowny senator, zawołany bibliograf, opisał wierszem nierymowym przygody swego pobytu w Kałudze. On zaczął, a po nim Konfederaci barscy, choć wtedy bardzo nieskoro brano się do pióra, dostarczyli takich opisów podróży z musu. Między innymi Chojecki, Belcour, Beniowski, którego ucieczka z Kamczatki, a nadewszystko pobyt w Madagaskarze, zrobiły mu rozgłos w całym świecie. Z późniejszej generacyi, najszanowniejsze pamiętniki pobytu na Kamczatce zostawił Brygadyer Kopeć

wzięty w niewolę pod Maciejowiciami. Wysokie ich znaczenie podniósł w prelekcyach swoich Mickiewicz; stanowią one niemal najpiękniejszy ustęp naszej Odyssei, ogromniejszej niż homeryczna, której każdy z miotanych losem Odysseuszów do niczego nie tęskni w najodleglejszych strefach, tylko — «żeby ujrzeć błękitny dym Itaki — i — umrzeć» —

Nowszemi czasy Ewa Felińska spisała wspomnienia swego pobytu w Berezowie, tym najsmutniejszym kącie Sybiru. Pamiętniki te wyszły pod cenzurą rossyjską, są więc pisane ostrożnie i bojaźliwie, jakby podróż odbyta dla przyjemności; a jednak każda karta zda się być zmoczoną łzami; po każdym przestanku słychać jakby matczyne westchnienie za domem, za dziećmi, za ojczyzną. —

Spodziewaćby się można, że z powrotem tylu Sybirczyków opisy będą mniej rzadkie. Skutek ztąd dobry, bo świat cywilizowany czytając je, dozna wcale nowych wrażeń, i w opinii potępi barbarzyński sposób obchodzenia się z ludźmi, co za nieoględne słówko, studencki wierszyk, nierozważny wybryk, a zawsze za uczucia z mlekiem matki wyssane, bywali skazywani na takie katusze, jakich najsurowsze prawo cywilizowanych narodów nie śmiałoby do największego zastósować zbrodniarza. Rzeczywiście potrzeba było nieraz bardzo błahego powodu, żeby popaść w ręce strasznej inkwizycyi i mieć na całe życie złamane istnienie. Pamiętniki J. Gordona najświeżej wydane, zalecające się nieudaną szczerością, pokazują młodego dziewiętnastoletniego chłopca, jak w którejś kawiarni warszawskiej poznajamia się z pewnym przyjacielskim panem, co go wyciąga na słówka patryotyczne i na różne zwierzenia zię z planami wyjazdu za granicę. Było to dosyć żeby się dostać do więzienia i być skazanym bez żadnego sądu w rekruty na Kaukaz lub Sybir. —

Przejście to niech sam autor opowie:

«Plac pragski, to początek mojego długiego wojażu.

«W grubej opończy szarej, w czapce szarej z wielkim kwa-
«dratowym daszkiem, z zarzuconym na karku mantelzakiem
«szarym — szaro, szaro, lecz z głową podniesioną, oczekuję
«rychło w marsz krzykną. Czupryna na mnie przy samej
«skórze ostrzyżona. Dokąd zaś przyjdzie błądzić po świecie,

«w którą stronę zagnany zostanę, jest to dla mnie ta-«jemnicą.

«Widzę się w partyi etapowej, złożonej z kilkunastu różnej «barwy ludzi; to mają być moi towarzysze podróży i niedoli «razem. Kozaki na koniach i piesi nas otaczają. Ten się żegna «z matką, ów daje ostatni pocałunek żonie, której zapewne «nigdy więcej nie zobaczy; ja tylko czuję się samotny i opusz-«czony. —

«Ale otóż i uradnik kozaczy wychodzi z kancelaryi ze skó-«rzaną torbą i nahajką w ręku; siada na koń, komenderuje, i «nasz etap snuje się zwolna, pomału, smutno, w milczeniu, co-«raz dalej, coraz dalej — odprowadzany lamentacyami kilku «żydówek, żegnających z rozpaczą macierzyńską swoje, jak «nazywały: pochwycone kochane pacholę. —

«Ktoś tam w partyi odezwał się na harmonijce. — Smętne «tony pogrzebowego marszu łzy wycisnęły i tym co oddalali «się, i tym co zostawali. —

«Za kilka minut obejrzałem się i piękna i zawsze młoda «Warszawa, kąpiąca się w Wiśle, ukazała się jeszcze oczom «moim, jak olbrzymia dekoracya z czarownej melodramy. «Wtedy głęboki żal mię ogarnął; mnóstwo wspomnień rodzin-«nych ubiegłej przeszłości: domowa strzecha, piosenki matki «nad kolebką mojego dzieciństwa, pamiątki młodocianych igra-«szek, słowem owej niepowrotnej przeszłości, tłumem cisnęły «się do duszy.

«Ale później, im dalej szedłem w drogę, tem różniejszych «doznawałem uczuć, z jednej ostateczności wpadając w drugą. «Zbyt młodo dotknięty klęską, pomimo całej tkliwości wro-«dzonej, zdziczałem niejako na umyśle. Świat, na który tak ró-«żowo przedtem patrzyłem, wydawał mi się niewdzięcznym, «i niewyraźne przekleństwa konały na mych ustach.» —

Nieszczęśliwemu znikły nakoniec z oczu wieże Warszawy i od etapu do etapu przywlókł się do Brześcia litewskiego. Tu zawiązuje znajomości, doznaje protekcyi od samychże Rossyan. Rzecz osobliba jak litościwa Opatrzność miękczy serca ludzkie tam, gdzie okrutne prawa, a raczej bezprawia, wykonywane ściśle, wytępiłyby niezawodnie połowę mieszkańców. W Rossyi nie rzadki to traf spotykać w samych wykonawcach litośne du-

sze. Taka protekcya przydała się nieszczęśliwemu zaraz w Brześciu, gdy partyę rekrutów, do których i on należał, przykuto do żelaznego pręta, a jemu pozwolono iść osobno, i patrzeć na cierpienia biedaków. Opisuje też w tych słowach pochód tej partyi rekruckiej:

«Jedyna boleść, jakiej nic stłumić nie zdołało, był smutny «widok ziomków, wleczonych jak trzoda, i do tego na zaków- «kach, środkiem gościńca, po kilkunastu ściśniętych przy je- «dnym pręcie; jeźli było błoto, bryzgających jeden drugiego; «jeźli kurzawa, otoczonych i oddychających czarnym tumanem «pyłu wydobywającego się z pod stóp tylu ludzi nagromadzo- «nych razem i osiadającego na ich spotniałych od trudu twa- «rzach, na co ciągle, idąc ścieszką obok gościńca, patrzeć mu- «siałem. Gdy jeden z nich potrzebował się zatrzymać, cała «partya za nim naturalnie toż samo uczynić zniewoloną była; «gdy jednemu wypadło się schylić, pociągał za sobą drugich, «a na ich rękach widać było krwawe piętna od obcierania o «żelazną sprzężę. — W drodze na odpoczynku wszyscy jak «mrowisko zmięszani, ległszy na ziemi jak mogąc, jedni na dru- «gich z wyciągniętą dłonią do pręta zasypiali, jeźli nie byli «w stanie zrobić między sobą składki, by okupić u sołdatów «jednę noc spokojną.»

Jednakowoż byli to przyszli obrońcy kraju, których w tak okrutny sposób traktowano!

Autor pamiętnika opowiada jak doszedł do Dubna i jak mu się udało spoić swoich strażników i umknąć. —

Przebywszy szczęśliwie granicę austryacką, dostał się do Niemiec, gdzie znalazłszy jakiegoś dobrodzieja zwiedził z nim Szwajcaryę i Włochy.

Okoliczności roku 1848 spowodowały go że mimowoli zameldował sie władzom pograniczym Królestwa i odstawiony był do Kalisza, a ztamtąd do Warszawy, poczem na mieszkańca przyjęła go Cytadela.

Wstęp swój w tę pieczarę, gdzie się każdy «na zawsze żegna z nadzieją» — opisuje w kilku malowniczych słowach:

«Ległem na twardym sienniku, czując się mocno strudzo- «nym długą bezsennością, myślą i podróżą. —

«Jaki był stan mój moralny, ten objaśnię, jeźli się da obja-

«śnić następującem wspomnieniem: Parę lat temu przejeżdża-«jąc około Niagary, słyszałem w wagonie opowiadającego «Amerykanina, że Indyanin zapędzony burzą na prąd tego wo-«dospadu, gdy raz się ujrzy na nim, kładzie się spokojnie «w łodzi, nakrywa głowę gunią, i pędzi wolą wiatrów na złama-«nie karku, bo już nie ma dla niego ratunku.

«Otóż z zimną rezygnacyą na wszystko, co mię spotkać «może, powiedziałem sobie: kto tu zagrzęzł, nie powraca — i «zmrużyłem obojętnie powieki na przygody losu.»

Opis pobytu w Cytadeli wyborny — żadnych deklamacyjnych wyrzekań, wszystko tak naturalne, a tak nie do uwierzenia, gdyby sława tego zakładu nie ręczyła za prawdę, gdyby osoby wówczas główno działające i wyrokujące o życiu lub śmierci swych ofiar, nie były dziś pod sądem za liczne przestępstwa.

Autor po drugi raz skazany — i wywieziony kibitką, opowiada długą swą podróż do Orenburga. Na tem zakończył tom pierwszy — w drugim oczekiwanym z niecierpliwością dowiemy się zapewne jaki cud go wybawił, że został obywatelem Stanów Zjednoczonych? —

Rozbierać po szczególe tej książki nie da się, wszystko w niej spływa w porywającą całość, i czytelnikowi zdaje się, że równo z jej autorem przebywa wszystkie te koleje, jakie on przechodził i doznaje tych samych wzruszeń, jakich on doznawał.

Znany autor Chowanny i Przedburzy tak się o niej w swych listach wyraża. Trafne jego zdanie zasługuje być powtórzonem — jest ono nader rzetelnem, aby je nazwać można pochlebnem:

«Gdy przybyło do mnie dzieło to — pisze Trentowski — «byłem mocno zatrudniony i nie mogłem zajrzeć w nie na-«tychmiast. Dałem je w ręce córki, jako nowość. Jednem prze-«czytała je tchnieniem, tak ją zajęło; mniemałem że to romans, «skoro dziewczynę młodą tak porwało. Później przeczytałem «je sam z równem zajęciem.

«O, to nie romans, ale o wielki Boże, najrzeczywistsza «rzeczywitość! Opis przeżyć własnych tak dziwnych, tak «bolesnych, tak prawdziwych, a opis szczery, do spowiedzi po-«dobny, bez próżności żadnej skreślony.

«Rzecz ciekawa, a pisana z życiem. Uwagi rozsypywane

«tam i sam są pełne prawdy, a dają najlepsze świadectwo i «głowie zdrowej i sercu zacnemu autora, który jest zarazem i «bohaterem osnowy. Że nie rozpisał się szerzej o Cytadeli, żało- «wałem — byłby zeń polski Sylvio-Pelicco; lecz z drugiej strony «dobrze zrobił że baczył na pozostałych spólników swojej niedoli. «Pomimo tego opis ten bardziej jest zajmujący niż w Dziadach «Mickiewicza, właśnie dla tego że on nie poezją. Jak zwierciadla- «ny, jak fotograficzny to obraz naszych stanów i położeń, pod ka- «towskiem panowaniem cara! Sądzę, że za jakie pół wieku, gdy «odmienią się stosunki, dzieło to okaże się ważniejsze od Pamię- «tników Paska, a poszukiwać i przedrukowywać je będą. Co po- «doba się w niem najsilniej? Oto, że nie widzi się w niem wyso- «kiej sztuki pisarza z rzemiosła, która upięknia rzeczy nawet «obojętne, a znajduje się jędrność, krzepkość i krótkość czło- «wieka czynu, prostotę i cnotę dziecięcia natury.

«Iluż takich Gordonów mamy na Syberyi, i po świecie! O «nie jednych takich przygodach słyszałem opowiadania. Za- «prawdę, dla nas płynie czas bohaterski, jak za Argonau- «tów greckich; czas awanturniczy, jak za średnich wieków; «czas krwawy, jak na początku chrześciaństwa. Mamy i kata- «komby rzymskie i ciałopalenia apostolskie i więcej jeszcze, «bo straszliwe knuty, kopalnie i tułactwa. Iluż to męczenni- «ków naszych już w grobie, a ilu jeszcze bieduje, świecąc ko- «ściami szkieletów od nędzy i głodu! Przyjdzie chwila, że «kiedyś wyszukiwać się będą wiadomości o żywocie tych ludzi «i ujrzy się w nich narodowych Świętych. Dziś, niestety, nikt «o nich ani pomyśli, nikt łzy im nie obetrze! Chodzą, jak «ofiary piekła, które nam wróg zgotował, ażeby kiedyś wstąpić «do niebios. Oby męczennicy ci nasi naśladować chcieli Gor- «dona i opisali pamiętniki swoje! Byłby to bogaty zapas do «dziejów narodu na dzisiejszem Amadejowem łożu. A może «i naród, czytając mnogie opisy swego cierpienia, przebudziłby «się jakoś prędzej z letargu. Już i to byłoby wiele, gdyby «poznał bliżej synów swoich najgorliwszych, najśmielszych, «najdzielniejszych.»

. . . . . .

«Po upływie kilku miesięcy wychodzi drugie wydanie Pa- «miętników Gordona, a Ty się pytasz, czy pozwolę dawniej Ci

«udzielone zdanie moje o nich oddrukować. Z największą chę-
«cią daję to pozwolenie. Gdyby głos mój miał być skutecznym,
«to polecam dzieło to narodowi gorąco, serdecznie, z głębi
«duszy, a zarazem proszę autora, ażeby nam rychło dał dalszy
«jego ciąg, gdyż czytelnik ciekawy jest, jakim sposobem powtór-
«nie mógł się wyrwać ze szponów w stepach Kirgiz-Kajsackich
«i znaleźć się wolnym obywatelem śród Paryża?» —

Frejburg, dnia 3 Stycznia 1861.

(podp.) Bronisław Trentowski.

SPIS ROZDZIAŁÓW.

Stron.

Kartka z album 1
I. Aresztowanie 3
II. Przysięga na punkcie zbornym Pragi 13
III. Nocna biesiada w Brześciu Litewskim 19
IV. Pogląd filologiczny na język rossyjski 29
V. Konwój moskiewski 37
VI, VII. Wspomnienia o Wołyniu 41
VIII. Ucieczka 53
IX. Dziewczyna kontrabandzistka 63
X, XI. Wrażenia Galicyi 69
XII. Żyd, nauczyciel ostrożności 83
XIII, XIV. Przygody w Szlązku i Saksonii 89
XV. Rewolucya w Krakowie i Poznaniu, 1848 roku .. 99
XVI. Cytadela Warszawska:
Obraz więzienia stanu zewnętrzny i wewnętrzny. 109
Napisy na murach 114
Jak karmią w Cytadeli 120
Protokół 124
Porównanie więzień austryackich z rossyjskiemi. Sylvio-Pelicco 130
Nauka języka murów 135
Potęga wyobraźni w więzieniu. Rozmowa przez dziurę w ścianie 138
Poglądy z okna. Więźniowie pomięszanych zmysłów. Podejście komissyi śledczej 142
Komissya bierze mię obroty 147

Stron.

Jak leczą w Cytadeli choroby moralne 153
Pożegnanie i kazanie 157
Jaki koniec Leichtego 165
Konfirmancya. Bądź zdrowa Warszawo 167
XVII. Podróż w stepy Kirgizkie 173
Bądź co bądź 179
Moskwa 185
Iwan Groźny. Kazań. Tatarzy. Obłuczyny. Postrzyżyny 196
XVIII. Kirgizi 203
XIX. Jeszcze słów kilka 217

KARTKA Z ALBUM.

Ponad granicą Polski, przesuwa się błędna postać wygnańca.

Jeszcze trochę dalej, a ujrzy on już obczyznę i usłyszy cudzą mowę. Nikt go tam nie zrozumie, nikt nie nazwie swoim synem, swoim bratem.

Przyszłość jego niepewna, nic o niej wyrzec sam nie potrafi, i myśli jego i życzenia zbłąkane! Postępuje szybkim krokiem, zatrzymując się czasami znienacka i zwracając niespokojnie ucho w jedną stronę, jak gdyby go dochodziło echo drogich wspomnień i dobrze znajomych.

Wieczór jesienny i chłodny; księżyc wychylając z po za szmaty chmur smętne oblicze, świecił bladym i drżącym promieniem, ale nie zagrzewał.

Pociesz się biedny pielgrzymie. Jutrzejszego poranku obaczysz nieopadłe jeszcze zielone listki nadziei — na każdym listku brylantowe kropelki rosy; przypomną ci one gorące łzy matek Polek, zdążających na odgłos dzwonka na jutrznią i płaczących nad dziećmi swojemi.

I ty przecież masz matkę? Czyż więc wspomnienie na łzy jej nie ogrzeje ducha twojego?

Próżne pociechy: pielgrzym postępuje dalej.

«Ja cię zaprowadzę, szepce mu jakiś głos pokusy, między bogactwa Peru, Kalifornii, Golkondy. Wszak już nie masz ojczyzny? Kraj twój taki biedny, a ty tak młodziutki; wielki świat przed tobą. Pójdź więc za mną, tylko za mną! Wzniosę ci pa-

łac z granitu ze wspaniałemi portyki, otoczony wonnych jaśminów gajem; w salach jego alabastrowych wśród róż, mirtów i szmeru wodotrysków, ssąc życia słodycze, zapomnisz o cierniach przeszłości; spoczniesz po trudach spokojnie na miękkich szkarłatu wezgłowiach, otoczony artystycznem światłem tęczowych promieni w zmroku; hurysy ci się uśmiechać będą; tkliwy jęk harfy pieszcząc ucho, do snu ukołysze, i tak przedrzymiesz to życie mile. Pójdź więc za mną, daj mi rękę, nie lękaj się — oto ja, Fortuna! rozwiązuję oczy dla ciebie. — »

Pielgrzym uśmiechnął się gorzkiem politowaniem.

«Czy przypominasz sobie swą malutką Wandzię? kwili znowu, lecz już inny, srebrny, dźwięczny głosik. Czy pamiętasz, jakeśmy razem, rówiennicy złotych latek, zbierając niezabudki w majowi poranek, pląsali po nadwiślańskich łanach, a wieczorem słuchali pienia słowików? Ja za tobą błądzę okiem, gonię marę szczęścia mego; nic mię nie może ucieszyć, nic chwilowej ulgi sprawić. Spojrzyj! ja jestem, taż sama, zawsze taż sama, cichej wioski wychowanka, twoja przyjaciołka młoda, której krasę wielbiłeś tyle, której serce podziwiałeś, gotowa porzucić lubą, domowę zagrodę, i pójść z tobą, z tobą mój drogi podzielać smutną dolę; rzeknij tylko do mnie słowo, choćby jedno słówko! — »

Wygnańca twarz zabłysła uczuciem tajemniczem. Straszniejsza jak w przyrodzie, w duszy jego zerwała się burza. Niewyraźne, urywane zgłoski jakiejś ponawianej zemsty czy przysięgi poruszały jego usta, lecz trudno go było podsłuchać; zwrócił nakoniec tęskne oblicze, z wyrazem rezygnacyi, ku Polsce, a wiatr unosił tylko słowa:

«Bywaj mi zdrowy kraju kochany! — »

I.

ARESZTOWANIE.

I.

«Kto wie na co się to przyda?»

Rok 1846. Miałem wówczas zaledwie lat dziewiętnaście i świeżo opuściłem ławę szkolną.

Siedząc pewnego dnia w hotelu wileńskim, w Warszawie, w towarzystwie poczciwej kobiety utrzymującej takowy i jej krewnego Bolesława, opowiadałem ostatniemu historyą zesłanych na Sybir, których ze łzą żegnałem na punkcie zbornym Pragi; opowiadałem mu także niektóre szczegóły dotyczące aresztowania komornika Zarzyckiego, później tak barbarzyńsko ganianego przez strój [1], jako należącego do sprawy politycznej księdza Ściegiennego.

Na tę rozmowę nadchodzi młody człowiek, wykwintnej powierzchowności, którego przedstawiają mi jako pana Brzezańskiego, mającego niby ojca w emigracyi, dobrego chłopca, który pozwoli mi być z sobą sans façon. Prowadzę więc najspokojniej zaczętą rozmowę, skończywszy, oddalam się, a w parę dni odbieram u siebie wizytę Bolesława z Brzezańskim.

Ostatni jest wylany dla mnie. Lew warszawski, a przytem patryota. Lubi on mię bardzo. Daje mi dowody swego zaufania, ukazując na ulicy, w teatrze, niektóre figury, które mianuje «nieszkodliwemi więcej» bo on już je odkrył jako należące do tajnej policyi, i t. d. Słowem, Brzezański bywa u mnie na-

[1] Wyrażenie rossyjskie Strój oznacza dwa szeregi żołnierzy opatrzonych prętami, którymi uderzają delikwenta do połowy obnażonego i ciągnionego pomiędzy szeregami z rękoma przywiązanemi do karabina.

wet zazbyt często, tak mię kocha, i naraża zręcznie na wydatki pieniężne.

Nadchodzi nakoniec dzień pożegnania. Oświadczam mu zamiar opuszczenia Warszawy i powrotu do domu na wieś, może jeszcze tegoż samego wieczora. Przychodzę do mego numeru w hotelu, kładę się na sofie, i przerzucam gazetę — gdy nagle drzwi się otwierają, wchodzą do mnie skromnie jakieś indywidua po cywilnemu poodziewane, fizognomie podejrzane, pod przewodnictwem komisarza policyi Grasa, ulubieńca Paszkiewicza.

Spoglądam na nich z podziwieniem. Każą mi pofatygować się do ober-policmajstra. Wstaję więc — drzwi mej stancyi pieczętują nie oddawszy mi klucza, i nieproszeni siadają ze mną ci aniołowie stróże do oczekującej dorożki.

Wszystko to stało się w oka mgnieniu.

Oglądam się i postrzegam nie bez trwogi, że taki sam los spotkał i biednego Bolesława. Popadliśmy obydwa w szpony łapaczy!

Przyjeżdżamy więc na ratusz: tam wprędce zrewidowano me kieszenie i posadzono samotnego w stancyjce za kratą. Prędzejbym się był śmierci spodziewał, niż tak nagle ujrzeć się w potrzasku.

Godzina jedenasta w nocy powolnie uderza na zegarze ratuszowym.

Rygle się odsuwają; okazuje się mym oczom naprzód latarka w ręku, a za nią postać przechrzty Grasa, w pewnej asystencyi. Prowadzą mię przez podwórze do ober-policmajstra jenerała Abramowicza.

Nie byłem jeszcze w stanie zebrać myśli dostatecznie.

Abramowicza zastałem siedzącego przy kieliszku wina wraz z hrabią B. Poznałem w ostatnim od razu toż samo indywiduum, który niegdyś gardło sobie podrzynał w skutek narobionych długów, nim został ślepem intryg policyi narzędziem.

Rozmowa moja z Abramowiczem, która nigdy nie wygaśnie w pamięci, choćbym żył lata matuzalowe, była następująca niemal co do słowa:

— Czy wiesz za co tu jesteś?

— Nie wiem.

— Czy waćpan słyszałeś o rózgach Grasa?

— Aa! — Nie miałem tego honoru jenerale.

— Eh, jak on cię każe osmagać, to zapomnisz i o swej czapce konfederatce i śpiewać nam będziesz na inną nutę, aniżeli do młodzieży warszawskiej!

— Jestem pod przemocą jenerale. — Ale za cóż ma bić? oczekuję na pytanie i posłuszny prawu, odpowiem.

Abramowicz zmienił krzykliwy ton głosu.

Zabiliby cię — harda duszu bez kontusza. W których byłeś szkołach? dodał po pewnym przestanku.

— W Gimnazyum Realnem.

Nastąpiło spojrzenie pełne znaczenia rzucone do hrabiego B., jak gdyby chciał powiedzieć: wszystko buntowniki! Lecz ten trzymał utkwiony wzrok we mnie i w ciągu całej rozmowy nic się nie odzywał.

— Gadaj więc! ale wiedz młokosie, że sam dyktujesz wyrok swej przyszłości. Łaska lub sołdaty! Dom lub tornister. Czy słyszysz? Wszak miałeś zamiar z Warszawy wyjechać prosto za granicę? Przyznaj się, bo już wszystko wiemy! Podobała ci się konstytucya króla pruskiego i rewolucya krakowska — he? — Gadaj!

— Tego wyrazu konstytucya, dobrze nie rozumiem; a co do zamiaru wyjazdu za granicę, gdybym miał takowy, bióro paszportowe byłoby o tem bez wątpienia zawiadomione.

— Kłamiesz! won z moich oczu! Gras, zamknąć go między hołotą — na dole.

— Czuję się w obowiązku zawiadomić panów, że służą mi prawa szlachectwa i że wszelkiej krzywdy mi wyrządzonej, ja lub moi krewni poszukiwać będziem.

— Won! won! — rzucił mi na dobranoc.

Gras odprowadzając mię do więzienia, oznajmić raczył pod sekretem, że choć powinienby mię umieścić gdzie rozkazano, atoli zważywszy na moją młodość i wychowanie, ofiaruje od siebie, na ryzyko odpowiedzialności, samotność, bym się mógł snadniej namyśleć; że pod mundurem urzędnika, bije u niego serce człowieka; że bardzo jestem podobny do jednego z jego kuzynów; że mię mocno żałuje, i że pragnąc mego

dobra, zaprowadzi mię tam gdzie byłem tymczasowo: do najlepszego, obywatelskiego numeru; radząc jednak, jakby rodzonemu bratu, że pozostaje mi tylko upaść do nóg jenerała, który przecież jest Polak, wyznać szczerze i ze skruchą czego żąda, jeźli chcę powrócić swobodnie do domu — bo inaczej, maszerować będę, jak to już spotkało mych kolegów szkolnych, braci Drewnoskich.

Całą noc spędziłem po omacku na rozmyślaniu i opędzaniu się od pluskiew.

Ktoś do mnie przez ścianę przyległej komnaty parę razy zapukał. Odpowiedziałem mu, nie znając jeszcze języka murów, podobnemże stukaniem, nie wiedząc, że piękna i szlachetna panienka ze swoją służącą obok mnie spoczywały.

Nazajutrz rano, Gras jak duch prześladowania zjawił się znowu do mej celi, wyprowadził na dziedziniec pod pozorem przechadzki i długo się jeszcze rozwodził z radami.

Nie umiem wyrazić stanu w jakim się wówczas znajdowałem; nie wszystko bowiem da się wynurzyć co płynie w dusz naszych wnętrzu. Byłem wpradzie tego przekonania, że nic mi zrobić nie są w stanie, atoli jakieś uczucie niewymownego żalu i oburzenia miotało mną naprzemiany, łzy mi wyciskając.

Sen twardy po długiem czuwaniu i zmorzeniu przyniósł mi nieco ulgi, pokrzepiając ciało. Gdy się jest młodym, snu tak nam potrzeba! Przypominam sobie, że przebudziłem się dopiero na odgłos tajemniczego, znanego stuku.

Ciemno już było w stancyi, korzystając z tego, otworzyłem okno, bo też i duszno było. Stanąłem na stole i przyłożyłem głowę do kraty, pilnie słuchając. Z dołu hałas złoczyńców łatwo mógł pokryć głos mój, usłyszawszy więc lekki kaszel w pobocznem oknie:

— Kto jesteś koleżka? zapytałem.

— Nim na to odpowiem, odezwał się dźwięczny głos żeński, proszę mi oznajmić, czy to pan jesteś, pan mężczyzna, który w obec Grasa i do tego na podwórzu, nie wstydził się przelewać gorące łezki, próżne jeremiady? Jeźli tak, tłómacz się pan czemprędzej, bo inaczej zrzeknę się tytułu koleżki.

Potem rozmawialiśmy długo, dopóki szumieć na dole nie

przestano. Wieczór był czarowny. Miryady gwiazd nakształt siatki złocistej błyszczały na ciemnym firmamencie; gwiazdki tylko sąsiadki jeszcze dojrzeć nie mogłem.

Jakież to zdarzenie! Dziewica ta, o ile zapamiętam z jej opowiadania, mając narzeczonego więźnia stanu w cytadeli i znając jego okno wychodzące na wał fortecy, przechadzała się tam z matką, a postrzegłszy jakąś gałkę z chleba wyrzuconą, mieszczącą podobno karteczkę sekretną od niego, gdy biegła by ją podjąć, została na alarm szyldwacha stojącego na straży, zatrzymaną, odesłaną do policyi i ot, uwięziona z matką, oddzielnie.

Miała kogoś z blizkiej familii, który był urzędnikiem administracyjnym w ratuszu, gdzie znajdowaliśmy się, a który się starał o jej uwolnienie z narażeniem się na utratę posady jaką u rządu piastował, lecz nadaremnie.

Nazwisko jej, jeźli się nie mylę, Rogalewicz. Ilekroć razy mogłem wyjść, choć pod nadzorem, na korytarz, korzystałem z każdej okoliczności gdy dało się poskoczyć do lufcika jej drzwi, by złożyć «dzień dobry». Odpowiadała mi z uśmiechem spokojnym. Była to ciemno-brewa, w pełnym rozwoju dziewica, cery alabastrowej, i wyraz myśli jaśniał na jej pogodnem czole.

Lecz niestety! toż samo czoło, jak w kilka lat potem słuchy mię dochodziły w Kirgiz-Kajsackich stepach, obnażone później zostało siłą cierpienia z pięknego włosa w murach cytadeli; a sama, przy schyłku życia wydana matce z tego wielkiego grobowca zbudowanego dla myślących, oddała ducha Bogu na jej łonie, wśród westchnień Warszawian, którzy podobno godnie wystąpili w poważnym orszaku na pogrzeb tej siostry, męczenniczki.

W roku 1848 gdy po wielu smutnych przejściach cierpkich kolei losu, popadłem i ja za drugiemi do tej samej cytadeli i dostrzegłem tam na pół zatarty napis: «Mamo, ach mamo kochana!» jak gdyby igiełką, ręką kobiecą wyryty nad łóżkiem mojem, przyszła mi myśl, czy nie był-li on przypadkiem dziełem nieszczęśliwej mej niegdyś sąsiadki? Winienem jej był kilka błogich chwilek mego żywota; lecz nie długo to szczęście trwać miało.

Gras znowu za parę dni się zjawił.

U ober-policmajstra zastałem tą razą Brzezańskiego i Bolesława.

Hrabia B. kazał mi pisać kilka bez znaczenia wierszy za dyktandem, to powoli, to prędko, to cieńszem, to grubszem piórem, już to większemi, to znowu mniejszemi literami, potem porównywano to z jakimiś listami, lecz nic się nie pokazało. Następnie oddalono mię do przedpokoju, a gdy powróciłem, czytano już gotowy, spisany bezemnie protokół, protokół najnielogiczniejszy, oskarżający mię: o szkodliwe wpływy, złe zamiary, chęć udania się do Krakowa i namowę do tego innych; słowem, zawierający dużo gryzmołów a nie poparty zgoła dowodami.

Kazano mi podpisać. Fałsze podpisywać na własną szyję? odmówiłem.

Krzyczano, straszono; nie wyrzekłem ani słowa.

Bolesława stawiano mi na świadki — ten zakrył sobie twarz rękoma i milczał.

Brzezańskiego nakoniec przedstawiano mi bezczelnie jako także aresztowanego z mej przyczyny, gdy tymczasem ma dobra sąsiadka widziała tego znanego jej ptaszka, przechodzącego poprzedniego dnia z wolnej nogi przez dziedziniec ratuszowy. Zmierzyłem go więc płomieniejącym wzrokiem.

— No! Co go się boicie, już go więcej nie obaczycie; rzecze Abramowicz.

— Judasz, oskarżyciel, odrzekłem natychmiast, nie ma prawa świadczenia zarazem; a słabego charakteru uwięzionego Bolesława zeznanie, może być zmuszone.

— Cokolwiek bądź, ostrzygą ci twoją wymuskaną fryzurę i będziesz karabin piastował; a na odprawkę dam ja ci siekaninę! były ostatnie słowa policmajstra.

Zszedłszy na dół z hrabią B. do kancelaryi Grasa, ostatni z udaną wściekłością (zapewne zapominając o mojem podobieństwie do jego ulubionego kuzyna), napadał na mnie szyderczo, nadstawiając wyraźnie swój opasły policzek, jak gdyby najgorętszem było jego żądaniem uzyskać na nim piętno mych pięciu palców.

Ale jakiś instynkt ochronny wstrzymał mię od tego.

Rozum w podobnych zdarzeniach, broń to pono najlepsza; obracając się więc ku hrabiemu:

Biorę pana na świadka, w braku kogoś innego, rzekłem z całym chłodem na jaki się tylko zdobyć mogłem, że nie mam zgoła zamiaru, najmniejszego zamiaru, wykroczyć przeciw prawu karnemu pod aresztem, by wywołać przez to uśmiech zadowolnienia na twarzy wielmożnego komisarza policyi.

Po tej ostatniej próbie, nie widziałem więcej ani Abramowicza, ani jego bandy.

Zbawiłem się przecież od nich.

Dziewięć dni upłynęło, jednostajnych, długich, jak dziewięć wieków.

Dnia dziesiątego, na chrzest wrzeciadzów o niezwykłej porze, ostatniem, mocnem uderzeniem w ścianę, w którem cała moja ozwała się dusza, pożegnałem nadobną sąsiadkę i opuściłem komnatę w towarzystwie nadzorcy więzienia, ubranego w pełną formę.

Doróżka zakryta oczekiwała przed bramą.

Ciekawość moja była bez granic, co to dalej będzie?

Jedziemy prosto na Saski plac.

Widzę się w biórze komendanta Warszawy jenerała Tuczka. Nikt do mnie nie mówi ani słowa, tylko spoglądają z pod oka. Nadzorca wyjął jakąś expedycyę, z wielką pieczęcią, jakby namiestnikowską, wręczył, wziął pokwitowanie, skłonił się i odszedł. Mnie zaś adjutant z pomarańczowym kołnierzem odprowadził niezwłocznie na główny odwach, nie szczędząc przez drogę słów pociechy; gdzie i przenocowałem. Przed odejściem dawał jakiś rozkaz półgłosem oficerowi warty, którego z pochwyconych słów dobrze nie mogłem zrozumieć, nie znając jeszcze języka rossyjskiego, a nazajutrz rano oddano mię naczelnikowi inwalidów na punkcie zbornym Pragi.

Stało się! — Jeden więcej gwałt publiczny pod rządami cara!

W ośm lat po tych wypadkach, w roku 1854, proces mi wytoczony na granicy azyatyckiej w skutek objawionych przezemnie pretensyj generałowi korpusu i gubernatorowi Oremburskiego kraju, Wasilemu Aleksiejewiczowi Grafowi Perowskiemu, proces, który oparł się aż o tron Aleksandra II, rozja-

śniając ten prolog mego dramatu (jako i tysiąca innych rodaków), dowiódł, że w Rossyi nie ma i cienia sprawiedliwości, że prawo tam jest elastyczne, na wszystkie strony wedle upodobania naciągać się dające, a tylko:

Czyn czyna poczytajet.

(Ranga rangę szanuje.)

II.

PRZYSIĘGA

NA PUNKCIE ZBORNYM PRAGI.

II.

A więc trzeba podróżować bo tak rozkazano!

Na drogę potrzeba było wykonać przysięgę w starym kościołku na Pradze, bo tak kazano i musiano.

Powtarzając więc rotę takowej po księdzu, powolnie, z cicha, w asystencyi szpady oficera od inwalidów, myślałem sobie: Gdyby cię księże rozbójnicy napadli i kazali sobie dać rozgrzeszenie za wszystkie ich zbrodnie, czyżbyś im go odmówił?

Ale w tej chwili, na stopniach tegoż samego ołtarza, odbywała się w mem sercu, inna, uroczysta, nieprzymuszona przysięga w obec Twórcy i mego sumienia. Komu i na co, trudno to było obcemu wiedzieć; tą razą trudno mię już było podsłuchać, albowiem w głębi duszy wyryły się słowa:

Że tylko jedno upodlenie ducha,
Skłonić może wolnego szyję do łańcucha.

jakoteż:

«A nie bójcie się tych którzy zabijają ciało, ale duszy zabić nie mogą.»

Plac pragski. to początek mojego długiego wojażu. —

W grubej opończy szarej, w czapce szarej z wielkim kwadratowym daszkiem, z zarzuconym na karku mantelzakiem szarym; szaro, szaro, lecz z głową podniesioną, oczekuję rychło w marsz krzykną. Czupryna na mnie przy samej skórze ostrzyżona. Dokąd zaś przyjdzie błądzić po świecie, w którą stronę zagnany zostanę, jest to dla mnie tajemnicą.

Widzę się w partyi etapowej, złożonej z kilkunnstu różno-

rodnych, różnej barwy ludzi: to mają być moi towarzysze podróży i niedoli zarazem. Kozaki na koniach i piesi nas otaczają. Ten się żegna z matką, ów oddaje ostatni pocałunek żonie której zapewne nigdy więcej nie zobaczy; ja tylko czuję się samotny i opuszczony — ale nakoniec i do mnie Bolesław nadbiega — odetchnąłem. Już zbył on moje suknie, zegarek, i t. d. a w zamian przyniósł mi pikowany kaftanik; ważny to kaftanik, bo ile na nim było guzików, tyle w nich mieścił zaszytych imperyałów. Co większa, wsunął mi takoż dokładną mappę Rossyi, o którą go prosiłem.

Winienem tu nadmienić, że wyrwał się on przecież ze szponów, lecz pod warunkiem, że złożył w policyi piśmienną deklaracyę, iż nigdy w towarzystwa podejrzane wdawać się nie będzie, a w razie odkrycia takowych, niezwłocznie donieść policyi nie omieszka.

Ale otóż i uradnik kozaczy wychodzi z kancelaryi ze skórzaną torbą z papierami na piersiach i nahajką w ręku, siada na koń. Minę ma wielkiego człowieka, komenderuje, i nasz etap snuje się zwolna, pomału, smutno, w milczeniu, coraz dalej, coraz dalej — towarzyszony lamentacyami kilku żydówek, żegnających z rozpaczą macierzyńską swoje, jak nazywały pochwycone kochane pacholę.

Ktoś tam w partyi odezwał się na harmonijce. Smętne tony pogrzebowego marsza łzy wycisnęły Bolesławowi; kiwając głową, rzucił mi się z rozrzewnieniem na szyję.

— Doniosę o wszystkiem zaraz twojej rodzinie — rozczulony zawołał.

— I dodaj, że będę na Zachodzie.

— Jakto? — czy tak? — miałżebyś — tylko na Boga, ostrożnie!

— Bez wątpienia; — teraz, bywaj mi zdrów, i szczęśliwy; dziękuję ci i żegnam ciebie!

— Jeszcze jedno słówko: jaką nosić pamiątkę naszego, może ostatniego widzenia się na tym świecie goryczy?

— Krzyżyk na szyi — odpowiedziałem.

I rozstaliśmy się.

Gdy za kilka minut obejrzałem się, widziałem go jeszcze z kapeluszem w ręku stojącego jak nieruchomy posąg, z zało-

żonemi rękoma, na drodze; a piękna i zawsze młoda Warszawa, kąpiąca się w starej Wiśle, ukazała się jeszcze oczom moim jak olbrzymia dekoracya z czarownej melodramy.

Wtedy głęboki żal mię ogarnął; mnóstwo wspomnień rodzinnych ubiegłej przeszłości, domowa strzecha, piosenki matki nad kolebką mojego dzieciństwa, pamiątki młodocianych igraszek, słowem, owej niepowrotnej przeszłości, która ma tyle zwykle dla nas ułudy, zwłaszcza gdy stawiamy pierwszy krok o własnych siłach w zamęcie światowym, tłumem cisnęły się do duszy.

Ale później, im dalej postępowałem w drodze, oddalając się od wszystkiego co niegdyś było drogiem dla serca, tem różniejszych doznawałem uczuć, z jednej ostateczności wpadając w drugą.

Zbyt młodo dotknięty klęską, pomimo całej tkliwości wrodzonej, zdziczałem niejako na umyśle. — Świat, na który tak różowo przedtem patrzyłem, wydawał mi się niewdzięcznym i mimowolnie niewyraźne przekleństwa konały na mych ustach.

O Abramowiczu! siliła się natura na wydanie takiego potworu i w ciężkich konwulsyach cię porodziła — a iluż to takich Abramowiczów?

Nie miejsce tu rozwodzić się nad własną psychologią; prawda, lecz przychodzi mi na myśl, że ileż to tysięcy ofiar, zakopanych żywcem w minach Nerczyńska, wałęsających się między arkanami i strzałami hordy Kirgizów, lub wycieńczonych żółtą febrą w szpitalach Kaukazu, nie doświadczało podobnie gwałtownych wzruszeń — lękając się z nich nawet we śnie wyspowiadać! —

Boże! daj nam cierpliwość.

Jeszcze razy kilka obejrzałem się na Warszawę i zdaleka, tęskno, poglądałem na jej niknące w obłokach wieżyce jak na palce groźnie ukazujące ku niebu — nakoniec i te roztopiły się w błękicie.

Żegnam cię ojczysty grodzie! —

Uszedłszy cztery mile, przybyliśmy na nocleg do Okuniewa. —

Upadłem zmęczony na deski, służące mi za posłanie w etapnym domu i nie obudziłem się aż nazajutrz.

Bodajto młodość! Nazajutrz ze świeższym wyszedłem umysłem i uśmiechałem się do przechodzących.

Takim samym trybem upłynął dzień drugi, trzeci i następne. Czasami zbyt utrudzony moralnie i fizycznie, stawałem się obojętnym, nieczułym na wszystko co mię otaczało, na wszelkie przygody losu; i takiego to stanu właśnie, takiego letargu, w ciągu dalszego życia najwięcej się obawiałem, jako upadku na duchu. Wówczas krzepiłem się zdaniem Fenelona, że ażeby być wyższym nad nieszczęście, potrzeba niem pogardzać!

Co się tyczy dalszej podróży, ta była dosyć jednostajną. — Tylko wolna pieśń ukraińska, zanucona chórem kozaków; tylko brzęk kajdan niektórych wyrzutków społeczeństwa, lub wychylająca się jasna twarzyczka z przejeżdżającego powozu; tylko napisy więźniów politycznych na ścianach etapów, a przed tygodniem tamtędy idących, urozmaicały czasem takową.

Tak minąłem Siedlce, Białę — zkąd znalazłem sposobność wysłania listu do rodziców — Terespol, wspaniały most wiszący na drutach nad rzeką Bugiem, i przybyłem za granicę Polski kongresowej do fortecy Brześcia-Litewskiego, gdzie zmienił się obrazek mojego dramatu — nastąpił akt drugi. —

III.

NOCNA BIESIADA

W

BRZEŚCIU LITEWSKIM.

III.

Brześć Litewski! Zamknięto mię tu, że tak powiem, w zamknięciu zamknięć; bo nie dosyć, że wały twierdzy oddzielały mię od kraju, a mury turmy od twierdzy, potrzebaż jeszcze było, aby żelazne zapory u drzwi kazamaty, oddzielać mię miały od ziemskiej atmosfery?

Montesquieu pisząc o prawodawstwie uczynił uwagę, że im więcej postępujemy z południa ku północy, tem więcej napotykamy pijanych — ja zaś zauważyłem w ciągu mojej zbyt praktycznej podróży, że im dalej w posiadłościach Rossyi posuwamy się z zachodu ku wschodowi, tem więcej napotykamy więzień.

W Królestwie, a nawet w pogranicznych mu zabranych krajach, trudno jest rządowi uorganizować się w kłódki, łańcuchy i pręgierze. Tam z trudnością przychodzi osuszanie tego olbrzymiego drzewa życia, które wycierpiawszy tyle burzliwych zamieci wschodnich uraganów, stoi przecież silnie na swoich konarach, pamięta, czuje siebie i zawsze jest pokryte liściem nadziei.

Otóż w Królestwie, moskiewskie konwoje, etapy, znajdują swe stacye, oprócz fortec, jedynie tylko na odwachach w głównych miastach, lub w jakiejś kamieniczce na ten cel najętej; u żyda też pachciarza, w stodole, stajni karczemnej, lub w pustych chałupach po wsiach, a w kurnej chacie u wieśniaka na Wołyniu. Rzadko gdzie jeszcze postrzegać się daje umyślnie na więzienie zbudowany dom, otoczony palisadą, i to tylko przy głównym gościńcu.

Ale za to głąb Rossyi zupełnie inny przedstawia widok. Tam to zajrzyjcie panowie angielscy filantropi, turyści z powołania, a ujrzycie jak stacje pocztowe, tak wszędzie więzienia po drogach; a zobaczycie z blizka i poznacie ten naród nad którym trwoga i knut despoty panuje — naród rozdzielony na dwie klasy społeczne; na bitych i bijących.

W Rossyi, najpierwsza rzecz która uderza oko podróżnego, zbliżającego się gdzie bądź do jakiego miasteczka, jest cerkiew wznosząca się pysznie z pomiędzy gromady drobnych domków; cerkiew w bizantyjskim stylu o pięciu kopułach i pięciu błyszczących krzyżach — a opodal niej wielki budynek z ogromnym na frontonie szyldem: Tiuremnyj Zamok, gdzie jęczą białogłowy, dzieci, zbrodniarze i niewinni, zmięszani częstokroć jak zwierzęta razem, jęki swe wyrażając najczęściej tem charakterystycznem przysłowiem:

«Do Boha wysoko — do cara daleko!»

W Rossyi już nie kozacy nie inwalidzi piesi, jak np: na Litwie, przeprowadzają aresztantów, ale osobna do tego konna komenda, stale uorganizowana, rozciągnięta jak sieć we wszystkich kierunkach, snuje się z delikwentami o wyznaczonych godzinach od stacyi do stacyi.

Powróćmy do Brześcia.

Na ten raz w Brześciu duszno mi było za nadto. W izbie, do której partya z którą przybyłem zapakowaną została, partya znacznie powiększona w drodze przez wyszłych ze szpitali polskich rekrutów, znajdowało się nadto kilkunastu sołdatów, tudzież cywilnych. Straszne to oblicza! bo sołdaci mieli pogolone głowy do połowy, zaczynając z przodu od czoła, a cywilni z boku od ucha, wedle praw aresztanckich rossyjskich.

Wyziewy, para, brud, ścisk, harmider, piekło - były nie do zniesienia.

Wywiedziony z granic cierpliwości, poskoczyłem do drzwi i silnie zastukałem.

— Ty szto szumisz? odezwał się stojący na straży żołnierz w korytarzu, zaglądając przez okienko.

Powiedziałem mu, że chcę widzieć niezwłocznie nadzorcę więzienia (smotrytiela).

Mruknął sobie coś na me słowa i odwrócił się odemnie.

Wtedy nie umiałem już nad sobą panować — wściekłość mię ogarnęła. — Czy słyszysz sołdacie?! zawołałem piorunującym głosem — Mam ważny sekret do odkrycia — ważny sekret — czy słyszysz? Smotrytiela tutaj czem prędzej!

I o mało co krew mi nie uderzyła do głowy.

Na te słowa przyzwał on dopiero podoficera i zakomunikował temuż me żądanie.

Jakoż i smotrytiel, moskal, wkrótce przybył. Ostatniemu oświadczyłem z drżeniem gorączkowem, że należę do kategoryi tych przechodniów dworjan, których tu widział zapewne przed tygodniem, że uciśnienie jakiego doświadczam, jest nad moje siły; że jestem słaby i nie ręczę za siebie, jeźli nie raczy mię oddzielić od tego miejsca okropnej pokuty.

— Spojrzyj pan nakoniec na mnie, dodałem, może i pan masz synów; powiedz więc, czy wedle sumiennego zdania, sądzisz mię być zbrodniarzem?

Wszystko to dobrze; lecz co pan tu za hałasy wyrabiałeś? — oskarżają pana.

— Eh! panie, rzekłem z goryczą, postaw się w mojem położeniu i wybacz mi; ależ ciśnijcie robaka, to syczeć będzie — cóż dopiero człowiek walczący między życiem a śmiercią. —

Smotrytiel słuchając, tylko ramiona podnosił i zanim dał odpowiedź, udał się do bióra by dowiedzieć się, co jestem za jeden; a z powrotem oznajmił, że papiery moje odprawione zostały torem zwyczajnym, prosto z Warszawy pocztą do miejsca mego przeznaczenia. Na liście zaś przechodniów, jaką miał tylko, mających się udać aż do głównej stacyi Kijowa, na której i ja zamieszczony byłem, bez wyrażenia jednak mego stanu, w rubryce każdego jest dodano: pod nazorem, gdy w mojej niestety: pod najsroższym nadzorem, a w takim razie w czemże mi pomódz może. —

Przemawiał z pewnym rodzajem poczciwości, odkrywając to o czem nie wiedziałem. Wytłumaczyłem mu więc, że dopisek: «najsroższy nadzór» właśnie jest dowodem, iż nie jest zamiarem opekuńczego rządu, abym umarł w drodze w skutek braku nadzoru.

Rozśmiał się i przeprowadził mię do infirmeryi, wesołego i czystego pokoiku, utrzymywanego więcej dla parady jak dla rzeczywistego użytku — co nie jest nowiną w Rossyi — dokąd jak z piekła do raju się dostałem i w którym miałem zostawać całe trzy dni mego pobytu w Brześciu, dawszy mu słowo, że nie nadużyję jego zaufania.

W infirmeryi nikogo z chorych nie było; ujrzałem się pierwszy raz po wyjściu z Warszawy samotnym — skłamałem: miałem towarzyszy oprawnych w pół-skurki; smotrytiel bowiem przyniósł mi kilka książek do czytania. Jedyna to uciecha dla więźnia — ale nie do książek mi było.

Zrzucam ja ciężki mantelzak, a ochłonąwszy nieco, zaczynam się zastanawiać nad wszystkiem co się ze mną stało i zbierać rozpierzchłe myśli w jedno ognisko, czego dotąd uczynić nie byłem w stanie. Źle ze mną; myślę sobie; coraz dalej to gorzej. Żal za przeszłością, jęk w obecności, a przyszłość czarnym kirem pokryta przedemną. — O! znośniejsza śmierć nad takie istnienie, ale to trwać długo nie może, jak każda ostateczność!

Po długiej walce wewnętrznej, wyciągam nareszcie z zanadrza kochaną mapkę, wpatruję się w nią pilnie i idąc za popędem instynktu ochrony przed niebezpieczeństwem, różne projekta układam w głowie. Nakoniec stworzyłem sobie nadzieję — jeden plan powziąłem stanowczo i postanowiłem wszystko, co się da, do niego odnosić; a zaraz lżej mi się zrobiło. Lecz ciszej, zdradzam zamiary które mi wyobraźnia kreśli! Zatopiony w dumaniach, ani zauważyłem, że warta dzienna się zmieniała i że oficer zdawał, jak owce pod rachunkiem następnemu: boży ludek mieszkający za kratkami.

Z kolei rzeczy, obadwaj nadeszli i do infirmeryi.

Spojrzeli się na mnie — ja im się skłoniłem, a oni jak przyszli tak i wyszli — ale w pół godziny potem, nowy oficer, już sam jeden, pozbywszy się swego poprzednika, powrócił do mnie i złamaną polszczyzną przemówił:

— Pan przeglądałeś mappę, o ile mi się zdaje. Mój Boże, zapewne daleka droga go czeka?

Nie umiem wyrazić radości, jaką poczułem na tę sympa-

tyczną odezwę. Gdy się jest opuszczanym, jedno słówko przyjazne tak nam jest drogie! Przyjąłem go zatem z całą uprzejmością; usiedliśmy, zapaliłem podane przez niego cygaro, a potem długośmy z sobą rozmawiali.

Był to dobroduszny Litwin; od młodości służył w wojsku, przeszedł różne koleje losu, był kapitanem płatnikiem na Kaukazie, lecz w skutek zbytniej łatwowierności, zdradzony przez towarzyszów broni Moskali, najniewinniej zdegradowany został w sołdaty. Znowu się trzeba było dosługiwać. Za otrzymane więc rany w bitwie z Czerkiesami, znowu go posunięto stopniowo do rangi porucznika; ale ponieważ każdy ma zawsze swojego mola co go gryzie, biedak, miał go więc i teraz, lecz na ten raz mól jego był w niezwykłych rozmiarach, którego nazywał naiwnie kanalijką. A tą kanalijką była to córeczka nadniemeńska, blondynka, z czarnemi ognistemi oczyma, do której, jak mówił, serce jego prylipło jak klajster i z którąby się chętnie ożenił; lecz na nieszczęście pewien adjudant kozacki, umiejący lepiej od niego po polsku, jawnogrzesznik, jak go nazywał, palił do niej cholewki. Frasował się więc, ażeby się Litwinka przypadkiem nie skozaczyła.

Biedak z rozrzewnieniem wymówił to ostatnie słowo i dodał, że chciałby do niej napisać, atoli sam nie umiejąc jak należy, wstydzi się prosić kogoś w w mieście o wyręczenie, aby go nie wzięto na języki. Wyraźnie przymawiał się do mnie. Zostawszy mimowolnie tłumaczem jego myśli, schwyciłem za pióro i wyciąłem list sążnisty do Litwinki, nie szczędząc strzelistych afektów.

Z tem wszystkiem, żal mi się zrobiło poczciwego Litwina. Historya jego życia, jakiż to bolesny obrazek i jak wiele dający do myślenia. —

Z drugiej strony, czyż mogłem przewidzieć, aby usługa tak drobna jaką mu oddałem, wpłynąć mogła na mą przyszłość; a jednakże tak się stało, jak to się okaże.

Dziwnie się jakoś wszystko kojarzy na tym padole. Jakże często losy człowieka, a nawet całych narodów, wiszą na jednym włosku!

Odtąd z Litwinem staliśmy się przyjacielami.

Aby mi nie zbywało na towarzystwie dni następnych, po zmianie jego warty, poznajomił on mię w tem samem więzieniu z pewnym oficerem od leśnictwa i poetą zarazem, który już od kilku lat tu się znajdował i jeszcze nie mógł ukończyć swego procesu w skutek intryg komendanta twierdzy. Leśnik, Kurlandczyk z urodzenia, naoczny świadek mnóstwa ciekawych scen więziennych, blady jak jego mury, z duszą jednak gorącą, zaprowadził mię do swej alkowy, a rozpruwszy siennik na którym sypiał, z miną tajemniczą długo w nim szukał czegoś; nareszcie wydobył z tego słomianego archiwum zwój papierów, czarną przewiązanych wstążką, pocałował jakoby relikwie, rozwinął i oddał mi w ręce. Cóżbym dał za to, gdybym był obecnie posiadaczem tego nieocenionego rękopismu! Wszystko, co wyobraźnia, bogactwo myśli, wzniosłych uczuć, przelać mogą na papier, tam się znajdowało skreślone ręką polskich wygnańców w formach piosenek, ballad, dewiz, różnych strof, strofek, akordów, i urywków z dramatów. Odczytałem co mogłem i rękopism wsunął się znowu w gruby płucienny worek, jak do trumny, oczekując zwartwychwstania.

Tegoż samego wieczora, była suta kolacya zastawiona w infirmeryi. Zaufany żołnierz, Polak, został postawiony na warcie, przed frontrem odwachu przy bramie turmy, a drugi, podobny jemu, w korytarzu. Litwin zaś, kurlandczyk, i w burej szynieli koroniarz, wznosili toasty. Cisza panowała do koła; tylko od chwili do chwili przeciągły okrzyk «słu-szaj!» szyldwachów fortecy, mieszał nam nocną gawędę; tylko brzęk łańcuchów przewracającego się we śnie aresztanta, przechodził przez zapory do naszego ucha. Różne tam zaprawdę między nami były pogadanki. Każdy, naturalnie, wynurzał przedewszystkiem to, co mu ciężyło najwięcej na sercu. Już spełniliśmy zdrowie kanalijki; ja zaś, na deser, spojrzawszy na moskiewskie mundury mych współbiesiadników, powiedziałem im powiastkę następującej treści:

«Horda Tatarów zajadle napada na obwarowane szańcami wzgórze, zkąd mężny dawała odpór garstka walecznych Polaków; ale przemoc tłuszczy rozjuszonej wkrótce ma wziąść górę. Już głosy: Kto się w opiekę poda Panu swemu, ozwały się chórem oblężonych. Prałat przed figurą Zbawiciela, wznie-

sioną na samym szczycie, otoczony duchowieństwem, gronem niewiast i rycerzy, błogosławi wiernym braciom w Bogu, a poważny jęk dzwonu rozlegający się w powietrzu, wtóruje pieśni, poyożnej. Chwila to wielka, chwila uroczysta; hymn wysłuchany został i cud się zjawił. Patrzcie niedowiarki: Oto Chan tatarski, zamiast prowadzić naprzód hufce dziczy, nagle zatrzymuje się jakby piorunem rażony, staje, zastanawia się, oczy mając w jedno miejsce wlepione, tam, gdzie się odbywała ofiara święta; słucha, i jakaś melodya, jakaś dziwnie miła harmonja, rajska muzyka uczuć, przygrywa nagle jego duszy przebudzonej. Zda mu się, że te same śpiewy, też same dzwonki, słyszał on kiedyś nad kolebką swego niemowlęctwa; zda mu się, że gdzie myśl jego teraz spoczęła, tam jego ojczyzna i popioły nieznanych mu przodków, które szedł znieważać; co większa, przypomina sobie nawet te same miejsca i toż samo wzgórze. Przypomina sobie dzień okropny, pożar we wsi, zamięszanie gromadę zbrojną w chacie, krzyk rozpaczy swej matki — słowa: rodzina, ojczyzna, gdyby echo przeszłości, konają mu na ustach. Słowem, cud to niesłychany, bowiem z rozpaczą wyrywa sztandar jaśniejący półksiężycem z dłoni przerażonego trwogą mułły, i miotając groźnemi, przekleństwy, niepomny na wielkiego Allaha, druzgoce go o czaszki tatarskie.»

Legenda już przebrzmiała — moi współbiesiadnicy jeszcze jej słuchali. Brzmiała w ich sercach, choć umilkła dla ucha. Nastąpiło ciche ich westchnienie, północ, i serdeczne dobranoc. Patrol miał obchodzić kordegardy, potrzeba się było rozejść.

Trzeciego dnia, dnia ostatniego mego pobytu w Brześciu, Kurlandczyk dał mi kilka listów rekomendacyjnych w dalszą podróż, a spodziewając się sam być zesłany na Kaukaz i może tam mię napotkać, skreślił, na pożegnanie, te trzy tkliwe zwrotki:

Kogda uproszu Boha,
S menia okowy posnimat,
Togda pierwaja doroha,
Tebia mój druh, tebia obniat'.

I w żiznienoj puti,
Wsiegda bud' szczastliw ty,

No nie zabud' ty o mnie,
Chot' budiesz w dalnoj storonie.

Między Kawkazkimi gorami,
Najdi ty szczastije swoje,
I kak uwidiszsia s druzjami,
Otdaj pocztienije moje.

IV.

POGLĄD FILOLOGICZNY

NA

JĘZYK ROSSYJSKI.

IV.

Zanim przystąpię do dalszego opowiadania mych przygód, rzucić muszę kilka poglądów filologicznych na język rossyjski, wspomniawszy o oficerze Litwinie, który tak prylip do kochanki, a z nim i o wielu innych, z których jedni złamali język własny a nie zdołali nabyć obcego, drudzy gorzej, bo zaparli się rodowitego, a przyswoili cudzy.

Cypryan Robert, w broszurze: Deux Panslavismes, nazywa język rossyjski językiem komendy; ja zaś nazywałem ga zawsze barbarzyńsko-śpiewnym. Jakto? zawoła nie jeden z unoszących się nad jego pięknościami. Tak! to jest moje twierdzenie, i oto dowody.

Porównajmy go z językiem polskim i innymi; np:

Skarb.

Ten wyraz wywodzi się od karbu. Ojcowie nasi karbowali ilość darów złożonych w skarbonę w ofierze. W łacińskim i francuzkim języku: thesaurum, tresor, mówi coś o złocie. Jakaż jest etymologja skarbu w rossyjskim? Zaprawdę, bardzo ciekawa, posłuchać proszę:

Iwan Groźny, gdy w pień wyciął republikańskich Nowogrodzan, kazał skonfiskowane majątki kaźnionych, poznosić do skarbu publicznego (kazny).

Kaźnić kaznit'; skarb, kazna; kasyer, kaznaczej; są to więc wyrazy do dziś dnia niezmienione, nawet w języku urzędowym i tak trafnie po wszystkie czasy oznaczające grabież moskiewską.

Bez wątpienia, niewola i dospotyzm wpłynęły przeważnie na rozwinięcie się w ten sposób języka. Nie wchodząc w wywód jego zupełny, przedstawiam tu niektóre próbki w takim stanie, w jakim się obecnie znajdują.

Żartować z kogo; śmiać się kogo; i t. d.

Żartować z kogo, szutit' nad kim; śmiać się z kogo, smiejatsa nad kim. Cóż to znaczy? A oto, że moskal śmieje się z ciebie, szydzi z ciebie, wtedy, gdy już ma górę nad tobą.

Doktór, Lekarz.

Zowie się u nich wracz od słowa wrat', łgać. Gdy mnóstwo cudzoziemców przybyło oświecać ciemną Rossyę, tem ich ochrzczono imieniem — i do tego czasu lud nie wierzy w nauki. — Uczonego z przekąsem i urąganiem nazywa fizykiem. Wot kakoj fizyk?! — Co mi za mędrek?! —

Skompromitować się.

To słowo jest spolszczone. Przodkowie nasi go nie stworzyli. Po rossyjsku, skompromitować się, wyraża się jedynie przez: Udarit' licom w griaź. — Twarzą w błoto upaść. — My nie udarim licom w griaź — my twarzą w błoto nie uderzymy — słyszysz bezustannie powtarzających Moskali, zwłaszcza gdy ci co obiecują; ale nie dowierzaj zielony krótkowidzu, bo czyż sami ci nie powiadają, że oni póty się nie kompromitują, dopóki swych twarzy w błocie nie zmażą.

Cnota.

Dobro-dietiel; wyraz złożony, jakkolwiek tak ważny; a jako taki, wedle przyjętego pewnika filologicznego, nie źródłosłów to, nie pierwiastek, ale wynik z późniejszych potrzeb.

Pewny.

Cerus. My pojmujemy to za pewne, co wypłynęło, ze tak powiem, z certowania się, rozumowania, dociekania prawdy: po rossyjsku zaś, pewny, wiernyj; pewnie, wierno, wiara

wiera, upewnić się uwierit'sa. Dla nich wszystko jest pewne, co się opiera na ślepej, nieoświeconej wierze. Ztąd car dotąd jest pewny, choć groźny Jehowa ziemski, a wyrok jego: Byt' po sjemu! — Tak być ma! — jest świętym wyrokiem, i t. d. —

Przysłowia rzucają więcej światła na charakter narodu, aniżeli pojedyńcze wyrazy. Weźmy na przykład choć jedno pod rozbiór.

Pokłon uspiechu.

Kto chce je zrozumieć w całem znaczeniu, niechaj zamiast jechać na karnawał do Wenecyi, zajrzy do Moskwy.

Ostatki w Moskwie. Ulubiona, szalona szlichtada ma się zacząć. Tłumy ludu oczekują niecierpliwie naznaczonej godziny wyścigów; ale i ta nakoniec uderza. Woźnica świsnął przeraźliwie, konie zadrżały, poskoczyły, i znikły.

Proszę widzieć, jak dwie dziarskie trójki biegunów stepowych, uprzężone w orła, z dzwonkami, puszczają się w zawody. Tylko kawały śniegu zlodowaciałego pierzchają z pod ich kopyt; tylko knuty, podniesione do góry przez wychylonych z sanek woźnic, migocą w powietrzu, a trójka trójkę naprzemiany mija, to dogania, to znów mija, bo chodzi o to, kto pierwej do mety dobieży i otrzyma puhar złoty. Tysiączne hura! widzów, ozwały się do koła.

Powodzenie ścigających się długo było niepewne; ale otóż i przypadek może coś zdecyduje, bo koń u jednych sanek pada.

Pokłon uspiechu! pokłon uspiechu! nagle wrzasnęły tłumy.

Woźnica się jednak tem nie zraża, ale wyrywa kindżał z za pasa i lotem błyskawicy odcina uprząż upadłego nieboszczyka, zostawiając go na śniegu, sam zaś, o dwóch pozostałych bystrych rumakach, dościga, nie tylko że dościga, ale prześciga swego współzawodnika.

Już, już jest blizko mety — hura znowu zagrzmiało w powietrzu.

Na to powitanie, ostatnie daje on dowody zręczności; ale trzebaż nieszczęścia, drugi raz podobny los go spotyka, drugi koń pośliznąwszy się, wykręca nogę i pada na drodze.

Dzielny woźnica z rozpaczą spojrzał tylko ku niebu, przeżegnał się; nie traci jednak przytomności umysłu, ale i na ten raz, rzuca się z sanek, z kocią zręcznością, i odcina biedną szkapę, a sam, sam o jednym pozostałym, staje pierwszy u mety z tuż za nim doganiającą go trójką.

Stanął, to prawda; ale jego ostatni biegun wzdrygnął się razy kilka z przesilenia, i tocząc pianę, zachwiał się i upadł.

Pokłon uspiechu! Pokłon uspiechu! znowu zewsząd zawołano.

A teraz, panowie cudzoziemcy, mistrzowie w wyścigach, jak np: Anglicy, proszę powiedzieć, jak wam się też zdaje: któremu z dwóch woźniców ofiarowano puhar?

Bez wątpienia zawołacie jednogłośnie, że temu który dokazał cudów zręczności, na złość fortunie, która mu się wcale nie uśmiechała.

Otóż się mylicie; bo nie znacie ani języka, ani charakteru moskali. Teraz więc wam powiem, że pokłon uspiechu znaczy: cześć powodzeniu.

Zręczność, talent, siła, odwaga, to wszystko u nich nie wiele ma znaczenia, bez powodzenia. Zauważałem to wielokrotnie, chociaż, jak wiadomo, nie ma reguły bez wyjątku.

Woźnicy żyjącej trójki przyznano więc nagrodę. Oto fakt! oparty na przysłowiu, który więcej mówi od filologicznej teoryi.

Z ogólnego poglądu na język rossyjski okazuje się, że tenże nie objawia przenoszenia mocy twórczej słowa w massę narodową. Zaimek osobisty ja, który tak wielką gra rolę w mowie polskiej, który nie wiedzie bynajmniej do egoizmu, ale owszem, rozlewając swę siłę na całą mowy rozległość, czyni ją mową wolną — zaimek ten prawie nie ma miejsca w mowie rossyjskiej; ale za to w ciągłem tam jest użyciu inny, zupełnie mu przeciwny. Tym zaimkiem jest ty. Takie ty jest wyrazem wywierającego się ja na drugość, nie dla jej ożywienia własną potęgą, tylko dla zmateryalizowania, do podeptania. Jest to język absolutnego despotyzmu. Na przykład: Kak ty smieł!? sam akcent jest wiecznem uderzaniem, przyciskiem wywierania się na drugość, despotycznem

rozwścieklonym hukiem, jak pięść ustopniowanego żołdaka, policzkująca bezprzestannie, prawie do zbryzgania szczęk, zbydlonego żołnierza.

O! ochraniajmy nasz język od moskiewszczyzny, bo, jeżeli sąsiedztwo cudzoziemców tyle czystości ujęło naszemu językowi, czegóż się nie lękać od spojenia? O żądzo narodowej sławy! o zacności polskiego języka! czyliż razem z odmianą panów ginąć macie? Dwa sławne przykłady Greków i Rzymian nie dadzą nam rozpaczać o nieśmiertelności naszego języka. Wymazane są z geograficznej karty dwa te najsławniejsze narody, a imię ich, w porządku historyi politycznej i moralnej, błyszczy przed wszystkiemi.

«Zaprawdę, mówi Libelt, z rozbitej nawy narodowej, na jednej łodzi języka naszego możemy się ratować. Umiłujmyż ten język, jako świętą krew matki. Powinna ona nam być tak drogą, jak drogą była pierwszym chrześcijanom krew przelana w męczeństwie za Chrystusa. Zbierali ją w flaszeczki i dawali męczennikowi do grobu z napisem: pro Christo. Podobna zasługa jest uprawiaczy i kształcicieli języka narodowego, i dzieła ich w tym przedmiocie pisane, powinny im być dawane do trumny z napisem: pro patria.»

V.

KONWÓJ MOSKIEWSKI.

V.

KONRAD MOSKIEWSKI.

V.

Opuściwszy Tiuremnyj Zamok w towarzystwie po większej części rekrutów, ze zwykłego naboru wojskowego, zostaliśmy odprowadzeni pod konwojem z odwachu do kancelaryi inwalidnej; z Brześcia bowiem już nie kozacy, ale inwalidzi z karabinami przeprowadzają aresztowanych w głąb Rossyi. W kancelaryi oczekiwaliśmy dalszych rozkazów; ale jakież było moje zdziwienie, gdy znienacka wnoszą tam z brzękiem sztaby żelazne, długie na parę sążni, na których były ponasuwane rękojeście, czyli raczej kółka, jak gdyby służące do przyczepiania rąk ludzkich. Każda sztaba była opatrzoną na końcach wielkiemi kłódkami, nie dającemi rękojeściom zsuwać się z takowej.

Zdumiałem na ten widok. Nigdy o niczem podobnem nie miałem wyobrażenia nawet. Zdawało mi się z początku, czy to przypadkiem nie na strachy; lecz, z drugiej strony, myślę; pocóżby nas straszono; wszak tu nie należymy do komisyi śledczej; oddani już jesteśmy władzy wykonawczej.

Miałożby się to więc wykonać? — podobne bransoletki — a niechże was! — Takie tortury, i za co? —

Krew się we mnie ścinała z oburzenia.

Przypomniałem sobie wówczas, że Kurlandczyk napomknął mi nawiasowo, iz komendant twierdzy, a jego prześladowca, dopuszczał się także różnych nadużyć przeciwnych prawu, z przechodniami; przez obawę, aby nie chronili się ucieczką wśród wołyńskich lasów.

Zakują więc, gdzie tu prawa szukać? — Żołnierze odejmują

kłódki, już zsuwają z zardzewiałych prętów rękojeście, słowem, przygotowują wszystko do operacyi.

W końcu zjawia się i pisarz z listą imienną, wyzywa każdego. zamieszczonego na niej, po kolei, gdy tymczasem żołnierze przyczepiają go za rękę do pręta. Już nie ma żadnej wątpliwości — przyszła kreska i na mnie.

Ale ja ani chcę słyszeć o łańcuchach i opędzam się jak mogę, przechadzając się szerokim krokiem po kancelaryi.

— Szto eto? szto eto? buntowszczyk? woła pisarz, jak oparzony.

— To to, że nie pójdę przy pręcie!

Wpatruje się we mnie, jak gdyby badał moją bieliznę i haftowany haftanik, wysuwające sie z pod siermięgi.

— Pajdiosz — pajdiosz! rzecze, przeciągając z ironją.

— Ja dla ciebie nie ty, ale wy, dworjanin — generalski syn! dodałem na ryzyko. Nie śmiej mię tykać, rozumiesz?

Pisarz wytrzeszczył oczy, i odpowiedział, że nie ma dokumentu na moje szlachectwo — chyba, że sam posiadam takowy; dodał chrapowatym od pijaństwa głosem, z pewnem mrugnięciem i znaczącym uśmiechem

Wiedząc, że najlegalniejszym dokumentem dla podobnych oprawców w takiej okoliczności, będzie to żółty imperiał, już wsunąłem rękę pod siermięgę by oderwać guzik od kaftanika, gdy drzwi się otwierają: wchodzi otyły naczelnik od inwalidów, a za nim, proszę zgadnąć kto? Oto poczciwy Litwin, mój anioł opiekuńczy, którego straciłem już nadzieję oglądania, jakkolwiek zmieniając się z warty, pożegnał mię tylko: do widzenia. Rzuciliśmy się sobie w objęcia. Następnie polecił on mię względom naczelnika, a gdy ten odszedł, Litwin jeszcze pozostał, wyprowadził mię i zalecił podoficerowi mającemu konwojować zakutą partyę, aby zważając na moją młodość, miał o mnie staranie w podróży, jak o własnem oku.

Podoficer, wyciągnięty jak struna, słuszaju! odpowiada, a ja swobodny od więzów, przedłużam dalszą drogę.

VI, VII.

WSPOMNIENIA O WOŁYNIU.

VI.

Rozum mi nakazywał, ażebym, im dalej będę postępował w drogę, tem więcej jednał sobie względów; gdyż co kilka dni, gdy się przybywa do punktu; zwykle podoficer, zdając następnemu partyę, daje zarazem świadectwa o indywiduach w niej się znajdujących; mnie zaś, jak każdemu więźniowi zależało na tem, ażebym miał rekomendacye jak można najlepsze. Nie szczędziłem więc w potrzebie i złotówek dla podoficerów w celu przeciągnięcia ich na swą stronę, bo tylko tym sposobem mogłem, choćby na kilka cali, rozszerzyć me pęta! Pomimo tego jednak, postanowiłem ile możności najmniej odpruwać z mych pieniężnych guzików.

Zauważyłem, że o ile kozacy byli ludzcy pod niektórymi względami dla aresztowanych, o tyle inwalidzi bez litości; lecz o ile pierwsi ostrzy w wypełnianiu służbowych obowiązków, o tyle ostatni zepsuci dwudziesto-pięcio letnią służbą u cara, co mię mocno, choć względnie, cieszyło.

A tak, gdy zbadałem nieco otaczających mię nieprzyjaciół, już nie byli oni tyle straszni dla mnie; już w postępowaniu z nimi, nie szedłem za popędem bojaźni, ale czystego rozumowania, wynajdując, że tak powiem, sposoby ratowania się na sposoby ucisku. I lepiej mi z tem było.

Jedyna boleść, jakiej nic stłumić nie zdołało, był smutny widok ziomków, wleczonych jak trzoda, i do tego na zakuwkach, środkiem gościńca; po kilkunastu ściśniętych przy jednym pręcie; jeźli było błoto, bryzgających jeden drugiego; jeźli kurzawa, otoczonych i oddychających czarnym tumanem pyłu, wy-

dobywającego się z pod stóp tylu ludzi nagromadzonych razem, i osiadającego na ich spotniałych od trudu twarzach; na co ciągle, idąc ścieżką obok gościńca, patrzeć musiałem. Gdy jeden z nich potrzebował się zatrzymać, cała partya za nim, naturalnie, toż samo uczynić zniewoloną była; gdy jednemu wypadło się schylić, pociągał za sobą drugich, a na ich rękach widać było krwawe piętna, od obcierania o żelazną sprzężę.

Na noclegach, rozkuwano ich tylko na punktach etapnych z rozkazu oficera, gdzie zwykle, dla odpoczynku, przepędzało się tak zwaną dniówkę; lecz w drodze, wszyscy jak mrowisko zmięszani, ległszy na ziemi jak mogąc, jedni na drugich, z wyciągniętą dłonią do prętu, zasypiali, jeźli nie byli w stanie zrobić między sobą składki, by okupić u sołdatów jednę noc spokojną. Za najmniejsze opieranie się rekrutów, smagano ich rózgami. Często przywiedziony do gniewu tem tyrańskiem z nimi odchodzeniem się; rozpoczynałem kłótnie z żołdactwem, dla którego nic nie ma świętego; ale mi odpowiadano: Nie wasze dieło mieszat'sia! I rzeczywiście, nie mogąc przynieść pomocy nieszczęśliwym, wyjąwszy w drobnych usługach, mógłem tylko zaszkodzć sobie przez zawodzenie próżnych sporów.

Ciemiężca znieść tego nie może, zarówno gdy za sobą, jak za drugimi, przemawiamy.

Czasami napisałem do dworu po żywność dla biednych, lecz z nadesłanej żołnierze większą część dla siebie chwytali.

Na pierwszej stójce za Brześciem, bez wątpienia poszedłbym pod klucz z mymi towarzyszami niedoli, bo tu nowa władza; zapobiegając temu, wyciągam list od Kurlandczyka i posyłam go kapitanowi. Wezwał mię; kazał, zwyczajem rossyjskim, nastawić samowar; poczęstował czajem (herbatą) i sam popijając, gawędził to o tem, to o owem, potem zdjął z okna małe pudełeczko z kompasem, który kupił podobno od koczującego kramarza, i poprosił, czybym mu nie mógł objaśnić jego użytku i znaczenia? Z wielkiem zadowoleniem słuchał co mu w tym przedmiocie mówiłem; dziwiło go tylko i naiwnie to wyrażał, jak też rząd ludzi, co takie rzeczy umieją, mięsza z wyrzutkami społeczeństwa. W końcu, pozwolił przenocować w karczmie, z przydanym mi, niby do usług, żołnierzem.

Przed odejściem, ofiarował mi także paczkę czaju, twier-

dząc, że jest wyśmienity, bo pochodzi z najżyzniejszej gubernii Rossyi: aż z Pekinu. Oh! te słowa grubej nieświadomości oficera rossyjskiego, mogą kiedyś stać się prawdą geograficzną, jeźli Europa zachodnia nie będzie się mieć na baczności!

Bądź co bądź, w karczmie choć wiele zastałem gawiedzi, atoli tułając się ustawicznie po więzieniach, weselej mi na ten raz było wśród chłopków, kumoszek, igrających kociąt i wesołej, udatnej szynkarki; było w tem wszystkiem bowiem coś familijnego.

Odbywając dalszą podróż podobnym torem, przybyliśmy do miasta Kowla. Tu miałem tylko liścik do sekretarza marszałka. Już nas powiedziono w rynek na odwach, ale postrzegłszy gromadkę ciekawie nam się przyglądających żydków, jakby upatrujących między nami dzieci izraelskich, korzystając z czasu i sposobności, rzucam jednej z żydówek mój list, mówiąc: zanieś to czemprędzej do bióra marszałka. Hoża żydóweczka, zaledwie go pochwyciła, natychmiast pobiegła jak strzała; mnie zaś zamknięto do dalszego rozporządzenia.

Zauważyłem, że coś w brudnej kazamacie trzeszczało pod nogami: było to robactwo.

Na szczęście, pół godziny nie upłynęło, gdy naczelnik przybywa i oznajmia, że na prośbę zaniesioną do niego, kapitana i naczelnika, łaskawie dozwolić mi raczy udać się do sekretarza marszałka, a nawet jutrzejszą dniówkę tam spędzić, z warunkiem atoli, że na noc winienem powracać na odwach i spać w izbie feldfebla.

Radość moja była wielka.

Pokłoniłem się epoletom kapitana i naczelnika, i rozumie się, że nie dałem sobie powtarzać pozwolenia, ale nie tracąc chwili, pobiegłem złożyć me uszanowanie zacnemu rodakowi. Oczekiwał mię w ganku. Nigdy on nie wygaśnie w mem sercu i pamięci; w domu rodziców nie doznałbym więcej opiekuńczej troskliwości ile u niego.

Dziwnie musiałem się wydawać obok uprzejmej gospodyni domu, siedząc na kanapie w mojej, czyli raczej skarbowej siermiędze buryku, podobny do niedźwiedzia sybirskiego. Z tem wszystkiem, dosyć prędko zaprzyjaźniliśmy się; ona wzruszona moją niedolą, ja wdzięczny na jej i męża współczucie.

Było to Niedziela.

Wieczorem poschodzili się goście: kilka panien, z pomiędzy których przypominam sobie dwie siostry angielki de Lassy; ksiądz proboszcz i dwóch obywateli ziemianinów.

Zagadałem się bardzo z mężczyznami; nie uszło jednak mej uwagi, że damy wyniosły się do drugiego pokoju, pruły i strzygły jakąś suknię, i że przez cały wieczór szybko igiełki przesuwały się w ich palcach. Wyszły nakoniec, dając mi piękną merynosową bluzę w darze, zaimprowizowaną ich rączętami.

Brawo! zawołali mężczyzni.

Właśnie też i do wieczerzy nakrywano; potrzeba zatem było pomyśleć i o swej toalecie. Z pomocą sołdata w przedpokoju, zrzucam obmierzły buryk, a natomiast nadziewam bluzę, przepasuję się safianowym paskiem, i po takiej metamorfozie zasiadam do zastawionej wieczerzy, w gronie poczciwych Wołynianek.

Nieszczęśliwy zapomina o swem nieszczęściu kiedy się znajdzie wśród Polek: nieznośny ciężar na krótką chwilę spadł z serca. Jeszcze raz podziękowałem panienkom za ich podarunek, który z taką radością i zaufaniem przyjąłem, z jakiem sławny Russo przyjął flanelową sukienkę od hrabiny Epinay dla zrobienia sobie kaftaników; a nazajutrz, zawdzięczając jak mogłem, odczytałem im Konrada Wallenroda.

Gdy Konrad deptał swój płaszcz mistrza z pogardą, panienkom łezki w oczach błyszczały; mnie szary płaszcz wrażał się mimowolnie w pamięć.

Wybiła nakoniec, niestety, godzina rozstania. Z żalem opuszczałem Kowel.

Jeźli kiedy, to w on czas wspomniałem słowa Malczewskiego:

W tyw widzę dziwnym świecie wiatr pociechę wodzi,
Bo ledwo witać zdążysz, żegnać się przychodzi. —

I częstokroć na zawsze!

VII.

Russo, pisząc przez lat 20 swą książkę, którą nazwał spowiedzią, przedstawił nam w najprostszych rysach pełny rozwój życia człowieczego. Lamartinowi zarzucano, że ogłaszał swoje «Zwierzania się.» Nie mam ja bynajmniej pretensyi wchodzić, jak to wolno było znamienitemu filozofowi lub poecie, w drobne szczegóły własnej biografii — nie zaiste — atoli cóżbym nie dał za to, gdyby mi wolno było choć od 1846 roku, daty, od której zaczynam opowiadanie moich przygód, prowadzić dzienniczek wszystkiego co się widziało, słyszało, myślało i czuło; dzienniczek, mogący posłużyć obecnie za materyały! Lecz żyjąc pod rządem, gdzie nawet wygadanie się przez sen z swych uczuć mogło było być poczytane za występek, dziś jedynie ze zgliszczów ubiegłej przeszłości odkopuję niniejsze obrazki.

W tej chwili naprzykład, różnorodne, zamglone czasem wspomnienia, wirują bez ładu w mej głowie. Różne postacie, grupy, mogiły, skielety dopominające się natrętnie, cierniowe korony, biegą w pamięci jak stada ptaków odlatujących pod jesień. Chcę je ścigać, chwytać, lecz one mięszają się i nikną, jak blade meteory. Z wypadków tylko, które wyryły się niejako w młodocianej duszy, usnute naprędce szkice, zapisuję tu z nieśmiałością. Niech je czytelnik w swem sercu wykończy.

Postępującemu z Brześcia ciągle ku południowi, przez Kowel do Łucka, Wołyń, jako miejscowość, w dosyć posępnej ukazuje się panoramie. Zaraz za Bugiem, nagła zmiana krajobrazu uderza wzrok podróżnego. Znikły już gustownej architektury stacye pocztowe, wspaniałe domy zajezdne, jakby pałace; zakłady fabryczne, murowane wioski, altany, angielskie ogrody

i strzyżone szpalery, napotykać się tam dające przy drogach, wijących się, jak białe wstęgi, wśród zielonych łąk i gajów; znikł ów ruch i zgiełk, cechujący kraje ożywione przemysłem i handlem, ale nie znikła staropolska gościnność i zacność w sercach Wołyniaków. Niejednokrotnie, i to w niedoli, otrzymałem dowody takowej. W królestwie, trzeba rękę do piersi przyłożyć, aby posłyszyć, że serce bije — a mocno bije — na Wołyniu, serce jak na dłoni.

Przybyliśmy do Łucka.

Na najętej w drodze podwodzie, z powodu nóg popodbijanych marszem, do miasta sobie wjechałem najspokojniej, o niczem złem nie myśląc, gdy nagle, ni z tego ni z owego, zjawia się jak z powietrza jakiś junkier, polak zmoskwicony, i jak szalony który się wyrwał ze szpitala waryatów, wytykając mię palcem: «Ja, gdybym był carem, to zamiast ich wozić, powywieszać bym kazał!» wrzeszczy do przechodniów na całe gardło. Przechodniami tymi, byli profesorowie i uczniowie z czerwonymi kołnierzami, wychodzący o południu że szkół obwodowych. Powitali mię oni sympatycznym ukłonem, a jeden studencik malutki, czupurna sztuczka, odezwał się do napastnika: Nie dał Pan Bóg świni rogów, bo by bodła. Drugi zaś wyższy, dodał: Przecie to wieprzek, rodzaju męzkiego.

Po tej ulicznej scenie, zaprowadzono naszą partyę na podzamcze i ustawiono szeregiem przed domem naczelnika. Rozkryliśmy tłomoczki i pisarz odbył ścisłą rewizyę, wedle zwyczaju używanego powszechnie na etapach, aby się przekonać, czy kto utratą, przemienieniem jakiej rzeczy, nie przyniósł uszczerbku skarbowi.

Do Łucka nie miałem żadnej rekomendacyi, ale za to podoficer dostał odemnie tego dnia całego pół rubla, aby mi służył za patrona.

Powiedział więc kapitanowi, że przez całą drogę, z woli naczelników, stawałem na kwaterach; że w niczem nie nadużyłem tego; a nawet byłem pożyteczny, jako «g r a m o t n y j» piśmienny, do apelu innych; nakoniec, że słuchy niosą z Brześcia, jakobym był g e n e r a l s k i m s y n e m.

Po tak korzystnem sprawozdaniu, powrócił do mnie i przywołał do kancelaryi przed kapitana.

U Rossyan czyn czyna poczytajet; to jest ich pewnikiem, zasadą życia społecznego, duchem towarzyskiej organizacyi. Ponieważ na poprzednim etapie, naczelnik dał mi nieco wolności — choćby ta tylko była wyjednaną za worek prochu lub mąki od obywateli — ten więc szanując wolę sąsiada, by w razie i jego szanowano, także łaskawie dozwolił mi przemieszkiwać w izbie rzemieślników wojskowych; tam mię też zawiedziono, a innych do zwalisk zamku łuckiego, do murów którego było przylepione nowo zbudowane więzienie.

Po mieście rozszedł się tymczasem odgłos o moim w Łucku pobycie i młodzież zaczęła mię odwiedzać, znosząc tytuń turecki (kontrabandę żydowską), cygara z Rygi, i t. d., a co najważniejsza, udzielając wiadomości miejscowych, wychodząc na zwiady, jakie mi tylko potrzebne były. Junkier więc ladaco zamiast zaszkodzić w opinii publicznej, to mi jeszcze pomógł. Przyniesiono także kartę Kaukazu, na który poglądałem jak na klatkę, niemal zewsząd okrążoną redutami moskiewskiemi. Mówiono, że w miarę zbliżania się ku Kijowu, coraz mniej współczucia znajdywać będę; że w Kijowie zobaczę jeszcze może kilka dam patryotek, a dalej, to tylko usłyszę słowo nieszczastnyj z ust włościanina, lub ujrzę chłopca, wybiegającego za mną z chaty z kołaczem w ręku w darze, i uciekającego napowrót.

Smutna perspektywa. Odskakiwać odemnie będą, jak od wyklętego, jak od Paryi! Szyniel więc ma mię oddzielać od wszystkich istot ludzkich!

Wieczorem odebrałem wizytę pana Naruszewicza. W Łucku jest wielu tego nazwiska; są dobrzy i źli Naruszewicze. Otóż przybywający zrobił mi miłą niespodziankę. Wydobywszy list: poznajesz pan tę rękę! zapytał. List od matki! który mię do łez rozczulił; list czyniący nadzieję zwrotu mię z drogi, w skutek zrobionych w tej mierze kroków do Paszkiewicza; zachęcający, abym nie upadał na duchu, polecił się Opatrzności, słowem, kreślony ręką macierzyńską.

Wyszedłem na balkon; cicho było wszędzie; niebo szarym płaszczem się odziało; światła w oknach dworków, rozrzuconych tu i owdzie po wzgórzach, migotały w oddaleniu; a fantastyczne ściany starego zamczyska, świadka dawnych dziejów, poważnie rysowały się na ciemnej kanwie nocy. Tylko tkliwe dźwięki

fortepianu dochodziły, pędzone wiatrem, do mego ucha. Wtedy przyszła znowu na pamięć domowa zagroda i owa nadzieja matki, której wcale nie dzieliłem.

List jej zmartwił mię nawet pod pewnym względem, pomimo całej oględności. Nieznośną jest niepewność i wahanie się w ważnych chwilach życia. Rozważam więc, że jeżeli łudzić się będę jakąś wątłą nadzieją: bycia wyrwanym z kleszczy moskiewskich — odstąpię od raz powziętego zamiaru, stracę na czasie i miejscowości, pójdę głębiej do Rossyi, a na pierwszej lepszej stacyi noga mi się pośliźnie — bo czyż nie trzymałem się jak na lodzie? — nadzieją kajdanki, to już ich nie zrucą aż na granicach azyatyckich, lub w jakim lazarecie. — Wtenczas chyba powiem sobie: mądry Polak po szkodzie; bo już będzie za późno.

Nie wierzę! ozwał się głos wewnętrzny przeczucia i z tym to głosem, powróciwszy do izby, padłem na łoże, które mi żony żołnierskie, panie sołdatowe, usłały.

Nazajutrz rano, już sam, bez żadnej assystencyi, poszedłem do miasta, nie prosząc o pozwolenie nikogo. Kupiłem u żydów furażerkę cywilną i niektóre niezbędne drobiazgi; kazałem wysmarować buty, ażeby były nieco miększe i nie obcierały mi kostek; wyprać bieliznę; a trzeciego dnia zrana, nająwszy jeszcze podwodę by dobrze wypocząć, udałem się do zamku w celu połączenia się z gotowym do podróży etapem. Partya powiększoną została kilkunastoma żołnierzami, idącymi z wolnej nogi do innego pułku, pomiędzy którymi dostrzegłem jednego niebieskiego żandarma, także junkra prześladowcę.

Przechadzając się po wielkim dziedzińcu zamkowym, pamięcią w przeszłość biegłem. Ten Łuck, tak biedny, odarty i opuszczony dzisiaj, jakże świetny, i ożywiony być musiał stukiem kolas, karoc, i rżeniem rumaków, w czasie uroczystego zjazdu Zygmunta z Witoldem! Te mury, w których niegdyś grzmiała huczna muzyka, dziś drzemiące pod całunem bluszczów i mchów odwiecznych, przypominały wyobraźni: jaśniejących złotem posłów i rycerstwo, pomiędzy któremi zdało mi się widzieć zamyśloną twarz Witolda nad losami Litwy.

Nic takiego smutku nie obudza, jak widok zwalisk, opuszczonych zamków, i upadających świątyń w Polsce; owa kamienna

historya, jakiej ręka czasu podkopać nie zdołała, szarpana twardym zębem wroga.

Przypominam sobie, że rząd proponował jednemu z mych krewnych, naddzierżawcy dóbr skarbowych Bodzentyna, aby tenże, wspaniały i malowniczy zamek fundacyi biskupa Bodzanty, panujący dumnie z opoki, na której stoi nad całą świętokrzyzką okolicą, rozebrał, a materyały staną się w nagrodę jego właśnością. Ani myślał on shańbić się podobnem świętokradztwem; nie chciał nagrody, ani pragnął sławy Herostrata.

Wróg patrzeć nie może na matkę polkę, opowiadającą zaczynającemu myśleć synowi. Barbarzyniec nienawidzi owych podań i legend pełnych poezyi, w narodzie królów i kapłanów, jakie lud u nas przywięzuje niemal do wszystkich pomników starożytności.

Owe zaczarowane księżniczki, ukazujące się o północku, w pewne dni świąteczne, na wieżycach; ów chrzęst zbroi, szczęk oręża, wychodzący z podziemi, tentent koni z podwórców; dzwony, które nie przestają odzywać się jeszcze, choć zatopione w jeziorach; te wielkie prawdy ludowe, ciągłe nadzieje i oczekiwania, są dla tyrana upiory i strzygi, które go we śnie kąsają.

Lęka się on, aby jakiś kamień, odrywający się znienacka od baszty groźnego zamczyska, nie zgruchotał mu głowy!

VIII.

UCIECZKA.

VIII.

UCIECZKA.

VIII.

«Chmury z drogi! wiatry z drogi!
Ja pędzę — ja nie znam trwogi —»
ADAM.

W małem miasteczku Młynowie, na ostatnim noclegu pod Dubnem, w dobrach Chodkiewiczów, w samym rynku, w karczmie u żyda, odbywa się biesiada.

Jest obchodzony dzień moich urodzin.

W pierwszej gościnnej izbie, żołdactwo podochocone i uperfumowane dziegciem, wyskakuje kozacze prysiudy, towarzyszone hołupcami, przy kociej muzyce, złożonej z brzęku o trzech strunach bańdurki, ze świstów, bębenków i janczarek.

W alkierzu zaś, niebieski żandarm, junkier z galonkami na epoletach — obecnie już uniżony służka — koroniarz w bluzie i jego aniół stróż inwalida, siedzą przy stoliku i ciągną djabełka.

Ktoby się jednak dobrze wpatrzył w oblicze przedostatniego, możeby dostrzegł, że od chwili do chwili rzuca on ukradkowo wzrokiem na zegar ścienny i że, choć ciałem pochylony nad kartami, myśl jego niespokojna błądzi gdzieindziej. Ba! dostrzegłby może, że nie bez celu nawet przegrywa, to do tego to do owego, jużto kapciuszek misternej roboty, już fajkę piankową, i t. d. jakby dla dogodzenia szanownym współbiesiadnikom w swym dniu uroczystym.

Na drugim zaś stole, postawionym w kącie komnaty, skrzętna żydówka rozlewa herbatę, dolewając hojną ręką do trzech

szklanek araku, gdy w czwartej, złoconej, i większej od innych, podaje czystą herbatkę.

Już północ minęła, już rozmażone żołdactwo powynosiło się swym kosztem z szynku; gra jeszcze się przeciąga, a usłużna żydówka jeszcze raz obnosi kolejno szklanice.

Solenizant ostatni raz spojrzał na zegar; powstał wreszcie i — na wiwat i dobranoc, rumu zakomenderował.

«Zdrowie kolegów!» i sam palnąwszy kielich, aż mu świeczki w oczach stanęły, podaje ochoczo następnemu.

Wiele ten czyni, co musi.

Potem; każdy rozlega się na tapczanie; dla inwalidy miejsca brakuje, junkier go więc wygania do pierwszej izby, potem światła gasną powoli, głucho się robi do koła. Pierwszy sen najtwardszy, po długiem czuwaniu, i para spirytusowa ogarnia mózgi; wszyscy zasypiają snem bohaterskim Bachusa, wyjąwszy jednego, który ciągle czuwa i rachuje tchnienia wszystkich, odróżniając senne od niesennych.

Doskonale! Dosyć tego udawania z wami plugawe istoty! bodajeście się przebudzili na Józefata dolinie! —

Wstaję więc — jeszcze raz poglądam na rozciągniętych — i słyszę, jak szatani się z nich w piekle naśmiewają. Potem ubieram się pocichu, dobywam z mantelzaka woreczek z przygotowaną bielizną, rozpozcieram siermięgę na sienniku, i tak w podróż, w nocną wycieczkę wybrany, uchylam bez skrzypnięcia wypróbowane wprzód okno, a obtarłszy nogi z kurzu, daję pierwszy krok, na los szczęścia, na świat boży. Co będzie, to będzie!

Swobodny jestem nakoniec siłą własnej woli. A teraz, cofać się nazad niepodobna — wszędzie mię znają po drodze — więc naprzód, puszczam się na Opatrzność! Naprzód ku Dubnu, gdzie następnego wieczora miała partya przybyć — tylko już bezemnie.

Szczęśliwie przebyłem miasteczko; minąłem szopę oplecioną sitowiem, gdzie etap z oddanymi w sołdaty spoczywał, i niezadługo ujrzałem się na błotnistej grobli pomiędzy bagnami; i tę przebrnąłem — byle dalej!

Noc była chłodna i mglista; widzę jednak opodal przed sobą aleę, postępuję nią, mijam dworzec dziedziców Młynowa i wy-

chodzę gdzieś w pola. Zgubiłem drogę i zabłąkałem się zupełnie — a nie było chwili do stracenia.

Trudna rada; rozpatruję się, powracam, szukam, i dopiero tuż przy dworze znajduję rozdzielający się z gęstej alei gościniec, wysadzony rzędem młodocianych topól.

Napadłszy przecież na tropy, pośpieszam dalej, a słupy wiorstowe zdają się ustępować z drogi.

Aliści, słyszę zdala dzwonki od strony Dubna; ktoś jedzie i jak na złość zbliża się ku mnie. Nagle uderza mię przypuszczenie, że nuż też podróżnemu przyjdzie chęć zatrzymania się w karczmie, zkąd uciekłem — złe mogą ztąd wypaść następstwa, tem gorsze, że nieprzewidziane. Zakłopotany, nie mam co począć, jak zejść z drogi i położyć się w bruździe: tak też i czynię. Powózka mija, a ja niepostrzeżony pędzę dalej.

Aż tu za godzinę, ktoś znowu, lecz już za mną i bez dzwonków, jedzie; a więc to nie poczta — może coś gorszego; słucham, czy nie pogoń; ale nie; powózka powoli się toczy — szukam jednak na prędce punktu na obserwacye, znalazłszy takowy za krzakiem, patrzę, czy nie będą się wychylać okrągłe czapki inwalidów? sylwetka zwoszczyka w kapeluszu, jadącego przecież samotnie, rysuje się tylko na tle powietrznem. Doganiam go zatem i proszę aby mię wziął z sobą, obiecując dać na piwo. Przystaje; wskakuję więc na wózek. Wkrótce, Morfeusz roztacza nad nim skrzydła, drzymie, kiwa się; ja zaś co tchu poganiam jasnokościste bucyfały — byle dalej.

Bachus i Morfeusz wydocznie sprzyjali i dzięki im, postrzegłem Dubno, zanim świtać zaczęło. — Budzę więc woźnicę, oddaję mu lejce, bicz i obiecany datek, a sam zeskakuję.

Teraz następuje zmiana rzeczy. Dubno, jest to ostatni punkt południowy Wołynia, zkąd etapy posuwają się już, co krok, to na wschód, na wschód — a właśnie na wschód iść tak mi się nie chciało, bo tam im dalej tem gorzej. Wschód piękny na obrazku — sielanki Delila lub Gesnera piękne na papierze — z tem wszystkiem, nie miałem ochoty przypatrywania się zbliska moskiewskim Filonom i Palmirom. Biorę się więc ku zachodowi gościńcem prowadzącym do Radziwiłłowa, ostatniego miasta położonego nad suchą i do tego w lesie granicą galicyjską.

Już świtało; już kurkuryki kogucie, rozłożone na dyszkanty i basy, z pod strzech się odzywały; dymy z kominów, ognie w oknach, i wychodzące na dwór staruszki, ukazywały się tu i owdzie.

A teraz, gdy zdawało się że ślady do poszukiwania mię stracone, bo je nawet na błocie z początku zacierać nieomieszkałem, nająć konie wypadało; ale z drugiej strony, wałęsać się po wsiach z ostrzyżoną czupryną, było niepodobieństwem. Pewniejsza więc jazda na dwóch własnych wierzchowcach i daleko mniej kosztująca; nie ugręzną w kałuży koło ani resor się nie złamie, stangret nie klnie i szkapa nie dyszy.

Pod wpływem, czy bez wpływu, tej filozoficznej uwagi, zachęcając jak mógłem mych przyrodzonych wierzchowców, mijałem pola, sapy, strugi i sioła. W jednem siole nakoniec zaszedłem do karczmy by się pożywić. Zastałem tam czeladkę patrzącą na mnie z ukosa, bo też w bluzie, na pół cywilno, na pół wojskowo ubrany, musiałem arlekinowato wyglądać; ale nikt jakoś o nic nie zapytał. Gdyby to było w Rossyi, tam natychmiastby mię związano, dla kilku rubli nagrody rządowej za dostawienie człowieka bez paszportu do zwierzchności. Tu przeciwnie, szynkarka nawet, sprzedając mi na prędce chleba i sera kawałek, dodała: «Idź pan! szczęść Boże.»

O ile wdzięcznym jej byłem za to życzenie-przestrogę, o tyle słowa: idź pan, ubodły mię do żywego; utwierdziły bowiem w przekonaniu, że uchodząc jakby z pod pręgierza, nie otrząsnąwszy się jeszcze dostatecznie z piętna takowego, przebywam most, chwiejący się i ciernisty, wiszący nad przepaścią!

Idę więc, idę i idę, bo do Radziwiłłowa miałem siedm mil z ogonem; a tego samego wieczora jeszcze chciałem się dostać za granicę, zanim komenda inwalidna w Dubnie zawiadomioną o mojem zniknięciu zostanie i nie rzuci się w celu żerowania mię na wszystkie strony. Ale błota i deszcze jesienne niepokoiły bardzo — ujrzałem się w dzikich puszczach wołyńskich, gdzie za najmniejszym złowróżbnym szelestwem, jak ptak płoszony rzucałem się w gęstwinę. I tak przebywałem lasy, smugi i knieje, pytając się o drogę jedynie tylko kobiet zbierających grzyby, w przekonaniu że one, jeźli nie dopomogą, to nie zdra-

dzą, a przynajmniej w podobnej okoliczności. — Byłem tak młody, wypieszczony synek mamuni! a którejże z czułych matek, widzących mię w nieszczęściu, nie przypomni się jej własne dziecię, myślałem.

I nie omyliłem się w rachubach. Bo oto, przeziębły, a pragnący posilić się czemś ciepłem, zachodzę w lesie do jednej karczmy. Zastaję tam samotną szynkarkę, która, na powitanie: «Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus» odpowiada po rusku, a rzuciwszy na mnie wzrokiem badawczym, podaje krzesło przed kominem, na którym roztliła wielkie ognisko; nie mieszkiem, jak to czynią wychudłe paryżanki, broń Boże, ale kilkorazowem dmuchnięciem silnej piersi wołyniańki. Potem następują pytania: zkąd pan Bóg prowadzi? czy daleko? Snać to jakaś dwórka, bo bardzo grzeczna i gościnna; powiadam jej więc otwarcie, że zdążam na granicę, do Radziwiłłowa. Klasnęła tylko w ręce na tę nowinę, oznajmiając, że jej kmotr z końmi pocztowemi niezadługo tędy powracać będzie, to mię zabierze z sobą. Tegoż mi tylko i było trzeba.

Choć głodny, jeść nie mogłem; a oczekując na kmotra, tak się czułem znużony i wycieńczony na siłach, że wstawszy z krzesła, zacząłem utykać po kątach, szukając miejsca, gdzieby przytulić głowy. Postrzegła to z politowaniem domyślna gosposia; przyzwała mię więc i otwierając drzwi do ciemnej komory: «Tam będzie spokojniej i wygodniej, na mojem łóżku» rzekła; gdy zaś wszedłem, drzwi za mną na klucz zamknęła i wyciągnęła go z zamku.

Zmięszał mię nieco z razu ten jej postępek, jednak wdrapałem się z pewnym rodzajem zobojętnienia na wszystko, co mię spokać może, na kupę pierzyn i poduszek, i utonąłem w nich z zamróżonemi oczyma, pocąc się tylko gorączkowo, a zasnąć wcale nie mogąc. Zdawało mi się, że łóżko obraca się ze mną: zdało mi się słyszeć po niejakim czasie dzwonki bryczki powracającego kmotra; słyszałem nawet jakieś szepty zamienione z przybyszem pod mojemi drzwiami; a sam, jakby z letargu, podnieść się nie byłem zdolny.

Ale nakoniec drzwi się otworzyły. Przeczuwałem jak patrzono na mnie i dosłyszałem wyraz: «nieszczastnyj!» wymówiony pógłosem przez gospodynię.

Czy ten fakt, ta scena rodzinna, nie może posłużyć za jeden dowód więcej, że rusin, chociaż zowie polaka lachem, a rossyanina moskalem, skłania się przecież współczuciem ku pierwszemu?

Rusinka mię zamyka w swej sypialni; dla czego? bo wiedziała, że wróg krążył jak jastrząb okolo chałupy.

Otóż na jej słowo nieszczastnyj, wstrząsnąłem się dopiero i powstałem nabrawszy otuchy. Komu w drogę, temu czas! Nim jednak opuściłem miejsce przytułku, okryła mię ona swem futrem, jakie kmotr miał za powtórnym przejazdem zwrócić.

I ten jej ostatni czyn nie był bez podwójnego celu, gdyż zaledwie wychodzimy, aliści i tu postrzegam znienacka etap z dezerterami, stojący tuż naprzeciwko karczmy pod szopą, chroniąc się od deszczu.

Spojrzeliśmy sobie oko w oko; wzdrygnąłem się na widok tego koczującego smętarza, lecz nie wiele myśląc, wskoczyłem w oka mgnieniu do bryczki, jednocześnie z izwoszczykiem. Ten krzyknął: Hej z gorki na gorku, panicz dast na wodku! a posłuszna trójka uniosła nas cwałem, kawałami błota bryzgając. Trzymałem się poręczy obudwu rękoma, aby nie wypaść. Skoro konie biedz przestawały, woźnica znowu im przymawia po rusku — po rusku a nie po rossyjsku; proszę nie mięszać jednego z drugiem: — Zabyli dieti — sokoliki moi! ukazując bat tylko, a one, jak na skinienie różczki magika, znowu puszczają się, parskając ogniście, gdy my toczymy się dalej.

Pocztylioni nie noszą w zabranych krajach, jako też w Rossyi botfortów i służbowych mundurów; nie zobaczysz tam malowanych bryczek, ani usłyszysz trąbki przygrywającej twym dumaniom. Tam izwoszczyk nie wychodzi ze szkoły pocztylionów, jak to ma miejsce w kongresówce; prosty jak natura, często obdarty, nie zna tego wszystkiego, nie przywykły do formalności, ale za to pędzi z kopyta.

Ani postrzegłem, kiedy dojeżdżaliśmy do Radziwiłłowa.

Izwoszczyk zapytał, czy chcę wjechać do miasta, lub też zatrzymać się w ostatniej karczmie przed miastem.

W karczmie — odpowiedziałem. Nie pragnąłem wjeżdżać do miasta, bo miast unikać postanowiłem.

Stanął zatem, zlazł z kozła, ja wygramoliłem się z futra i i błota, poszedłem za jego przykładem; wstąpiliśmy do karczmy, on coś długo na stronie szeptał znowu z gospodarzami, poczem wetknąłem mu kilka złotówek na pożegnanie. Mnie więc zostawia, a sam rusza dalej.

Później się dowiedziałem, że poczciwa gosposia moja protektorka, w której mieszkaniu dobry byt dawał się postrzegać, jej kmotr woźnica i nowe postacie które teraz napotkałem, byli to wszystko kontrabandziści.

Popadłem więc przypadkowo pomiędzy ludek trudniący się przemycaniem towarów z wolnego miasta Brodów; ludek, który jak wiadomo, po wszystkie czasy stanowi pewną oppozycję przeciwko wszelkim policjom.

Ale nie w głowie były mi wówczas uwagi nad ekonomją polityczną. Obliczam, że plan mój doszedł w części do skutku, atoli tylko w części; że moi ex-towarzysze podróży znajdowali się w Dubnie, gdy ja o siedm mil dalej — nad granicą austryjacką; lecz jeszcze nie za granicą. Przepłynąłem w poprzek bystrego potoku, byle tylko na brzegu nie utonąć. Oj! dopiero by się też moskale ucieszyli, gdyby mię teraz pojmali.

IX.

DZIEWCZYNA KONTRABANDZISTKA.

IX.

U młodycy włos długi, rozum krótki, ale serce tęgie!

Nowymi aktorami; jakich teraz spotkałem na scenie życia, był karczmarz, chuda, niepoczesna postać, jego godna połowica, jego siostra wdowa i ich wychowanica usługująca wszystkim wspólnie i każdemu z osobna.

Siedząc przed ogniskiem i przesuszając przemokłe suknie, wdałem się z dziewczyną w rozmowę, aby wydobyć od niej niektóre wiadomości, mogące mi posłużyć do przebycia granicy. Dziwny zbieg okoliczności! Nie wiedząc, że jestem między kontrabandzistami, wziąłem na siebie rolę przemycarza, lubo nie z rzemiosła, by snadniej dostać się do Galicyi. — Otóż powiadam im, że przybyłem dla kupna niektórych drobiazgów z Brodów, ale żem niaświadony miejscowości, chciałbym, ażeby mię tam kto doprowadził, za nagrodą, tegoż samego wieczora, i zakupione sprawunki za mną przyniósł nazajutrz.

Karczmarz słuchał wprawdzie, pokaszlując, przemowy, lecz słuchając uśmiechał się dwuznacznie w milczeniu, jakby chciał powiedzieć: Zmyślasz waćpan! — Nie uszło to mojej uwagi, ale nie uszło także i to, że czerwony nos jegomości zdradzał pociąg jego do kieliszków. Gdyby go też troszkę bardziej rozpłomienić, możeby i język się rozwiązał, tem więcej, że napomknął mi zaraz za przybyciem, że ma doskonałą, przewoźną, wiśniówkę. A więc, w trudnym razie, użyjmy ludzkich namiętności, kiedy nie możem inaczej:

«Dobądź-no owej zachwalonej wiśniówki, panie arendarzu! Zdrowie waszeci! zdrowie jejmości i całego towarzystwa!» Zrobiwszy początek, częstuję szczodrze wszystkich.

Zauważyłem, że płeć niewieścia wylewała ukradkowo ofiarowany jej napitek w szklanki, rada z odbytu jaki arendzie robiłem, lecz z zadowoleniem także postrzegłem, że pan gospodarz nie był tyle skrupulatny, wychylał kubek za kubkiem, obiecując mię sam przeprowadzić do Brodów.

Ufny jego słowu, grzałem się spokojnie i czekając aż się jajecznica dosmaży na węglach, siedziałem pochylony przed kominem, gdy nagle żandarm zjawił się do karczmy. Na widok tego nieoczekiwanego gościa musiałem zbladnąć; serce zaczęło mi bić i niespokojnie czekałem co dalej będzie, gdy sprytna dziewczyna usiadłszy przy mnie, jak gdyby obok swego starego znajomego, i chichocząc dla odwrócenia pozorów: «Nie bój się pan, szepnęła, on przyszedł z granicy, napije się gorzałki i pójdzie do czorta.»

Jak powiedziała, tak się i stało; żandarm nikogo nie nagabując, postąpił do znanej mu szynkowej szafy, wychylił blaszankę wódki i wyniósł się do licha. Nieoszacowany żandarm!

Cokolwiek bądź, nie pragnąłem mieć powtórnie podobnego spotkania; ubieram się więc i zachęcam gospodarza do najprędszej wycieczki, ale z nim trudniejsza teraz sprawa, tak się bowiem ze mną spoufalił, że nietylko już przeprowadzić do Brodów, ale i wypuścić z szynku nie chce, brzdąkając coś o jutrze: będzie mi niby służył jutro.

Dziękuję uniżenie — mamże czekać jutra? — I niewiele się zastanawiając, zbliżam się ku drzwiom, lecz on staje naprzeciw. Tego już było za nadto; staram się go przekonać, ale słowa nie skutkowały, bo przebrał miarkę i w słabej głowie zaszumiało.

Ponieważ tu nocować, a w dzień wałęsać się po-nad granicą nie było moim zamiarem, postanowiłem siłą zawadjaka odepchnąć. Kobiety nie wstrzymają mnie; pomyślałem, on pijany, las o kilka kroków, choćby mię więc ta szereda, uzbrojona w miotły, nieco zadrasnęła, zawsze jednak wyjdę, choć nie z zaszczytem, ale bezpiecznie.

Odmalować następującej sceny humorystycznie nie potrafię, gdy wywiedziony z cierpliwości, porywam w obronie wolności

osobistej za stołek i staję pośród karczemnej gawiedzi — ustąpcie! — wołając.

Nie wiem z jakimby się ukończyła skutkiem ta przygoda, gdyby do drzwi ze dworu nie zastukano. Fury zajechały; mój więc przeciwnik drzwi odmyka, a ja opuszczam oręż. Chłopstwo zaczęło się cisnąć do izby, siła przemagająca, lecz w tem zamięszaniu, dziewczyna z przytomnością sobie wrodzoną, upatrzywszy stosowną chwilkę, przewija się około mnie i za drzwi się wymyka; ja za nią niepostrzeżony, zapomniawszy i o torbeczce z rzeczami; ona przeskakuje przez płot do przyległego ogrodu, następnie zdąża do lasu, ja i tam za nią w pędy; w lesie dopiero stanęliśmy i tu nastąpiła narada.

Zbawczyni moja zrozumieć nie mogła, dla czego mię gospodarz zatrzymywał; tem więcej, że, jak mi mówiła, otrzymał on rozkaz przez zwoszczyka który mię przywiózł, od królowej kontrabandzistów, żeby mi nic złego nie zrobiono. Dopiero się dowiedziałem, że miałem zaszczyt mieć królowę za protektorkę. Nakoniec zuchowata mołodyca ofiaruje mi się sama za przewodniczkę. Leśna ta Dyanna musi znać wszystkie zakręty, krzaki, a nawet i gwiazdy; chętnie więc przystaję. Ale jak się pokazało, Dyannie nie zbywało na chęciach, nie skąpiła trudu, lecz więcej miała dobrej woli niżeli przezorności.

Nie przewidziała, że przesmyki z jakiemi była obznajomioną pomiędzy bagnami, o ile były łatwe do przebycia latem, o tyle niepodobne jesienią; zaprowadziła mię więc na takie bezdroża i trzęsawiska, w nocy, wśród słoty, że brnąc przez nie, o małośmy nie zginęli bez wieści oboje.

Ona przemokła nieboraczka, nie mając krynoliny, wyglądała jak zwiędły tulipan; mnie rozpacz obejmowała, bo czas upływał, a przebyć granicę było niepodobna.

Wedle jej rady, potrzeba było wrócić do miasta, i szukać pomocy doświadczeńszego przemycarza; a choć w tem było nie mało niebezpieczeństwa, jużeśmy się kierowali nazad ku miasteczku, aliści w drodze napotykamy znanego jej człeka, który podejmuje się nam przewodniczyć, i z nim razem dochodzimy nad granicę. Tutaj każe nam się zatrzymać, a sam postępuje naprzód, niby na zwiady, i w cieniu drzew niknie.

Lecz coś długo nie powraca; dziewczyna się rozgląda i oznaj-

mia że poszedł prosto w kierunku, gdzie się znajduje szałas żandarma strażnika — może wstąpił w gościnę do niego, dodała z widocznym niepokojem; a po chwili namysłu: «Wątpię ja o zdradzie, bo mam pewien wpływ nad nim» rzekła.

Słuchaj dziewczyno! zawołałem, nie powątpiewam o potędze twej krasy, ale czy wiesz co mię czeka, jeźli mię pojmają? —

Te słowa tak ją wzruszyły, że cofnęła się ze mną natychmiast ku miastu, z zamiarem udania się do jednego z najzaufańszych przyjaciół.

W samej rzeczy, przyszedłszy przed mały, chludny domek, zapukała do okiennicy z pewnymi miarowymi przestankami:

— Gdzie wesele? spytał wewnątrz przebudzający się głos na znak dany.

— Na mogiłkach — odpowiedziała.

Na to dziwne hasło dopiero nam otworzono i gdy światło zajaśniało, zacząłem się rozpatrywać w komnacie.

Znajdowałem się w obec młodego człowieka, dosyć okrzesanego mieszczanina, który podawszy mi fajkę, i po naradzie zażądawszy trzech rubli za przeprowadzenie, oświadczył, że w porze dżdżystej nie mogąc przebyć przesmyków, trzeba doczekać ranka, a skoro żandarmi zbiorą się ze swych stacyi w jeden punkt na linii granicznej, dla spożycia razem śniadania, gdy tem samem kilka luk zostanie od nich oczyszczonych, wtedy przesuniemy się śmiało obok jednej z dróg publicznych. Co do człowieka zostawionego w lesie, wnosił, że choćby ten doniósł o nas strażnikom, to oni do poszukiwań kogoś z tej strony wcale nie są skorzy, w nadziei uczynienia zasadzki człowienia go na czatach, z towarami, gdy nazad powracać będzie.

Uwagi te, dosyć prawdopodobne, nieco mię uspokoiły. Doczekując ranka, moja przewodniczka rozmawiała ze swym znajomym, gdy ja, utrudzony drugiej doby bezsennością, zasnąłem głęboko — snem sprawiedliwego. —

X, XI.

WRAŻENIA GALICYI.

X.

Rankiem się wypogodziło; tylko chmurki, podobne do kędziorów wełnistych, pędzone wiatrem ku zachodowi, żeglowały jeszcze na błękitnem niebios sklepieniu — a na ten widok i mnie do serca jakoś pogoda wstąpiła.

Okryty starym płaszczem, pożyczonym od kontrabandzisty, z przetakiem w ręku, w gronie mych nowych znajomych i kilkorga dzieci podrostków, zebranych na prędce, wyprawiam się za miasto pod pozorem grzybobrania. Cała gromadka szczęśliwie przeszła ze mną ulice i groblę prowadzącą do rogatki; przy szlabanie pies tylko zaszczekał, strażnik miejski pokazał się z budki, powiedziano mu «dzień-dobry» i poszliśmy dalej.

Za pół godziny byliśmy już nad granicą. Na skinienie przewodnika zatrzymaliśmy się; on wysunął zwolna głowę z gęstwiny w przeręblę, czy nie zobaczy konia żandarmskiego przed szałasem, ale szałas był pusty — nic słychać nie było oprócz szelestu opadających liści, wstrząsanych jesiennym wiatrem, nic nie widać, oprócz drzew, pni, konarów i utkwionego z drugiej strony granicznego słupa.

Pora była sposobna. Po krótkiem a cichem pożegnaniu, kalwakada wróciła nazad, ja zaś z dziewczyną kilkoma skokami wpadliśmy w posiadłości austryackie.

A więc jestem za granicą! zawołałem wesoło, a ona zaczęła nucić ulubioną sobie śpiewkę. Upewniała naiwnie, że już nie mamy się czego obawiać. Brody są miastem wolnem, komora i straż celna z jegrów złożona, znajdują się z drugiej strony miasta od strony Galicyi.

Ale nie miałem czasu słuchać śpiewaczki. Dobywam czemprędzej mapę Rossyi, list mi pozostały do Kijowa i inne szpargały i notatki, i drę wszystko na tysiąc kawałków puszczając z wiatrem, by nie mieć przy sobie żadnego śladu, że byłem kiedy pod berłem mocarza północy. Postanowiłem nie przyznawać się do tego choćby mię niewiedzieć jak męczono; z czapki nawet wyrwałem herbowną podszewkę, by mię nie zdradziła, i po takich dopiero ostrożnościach, powędrowaliśmy dalej.

Niezadługo minąwszy lasek, ujrzałem łąkę otoczoną wysmukłemi sosnami wkształcie amfiteatru, a opodal pożądane Brody: jedną więc z ciasnych uliczek weszliśmy do Brodów.

Zmiana dekoracyi. Brody, trafnie to miasto tak się zowie, bo bród żydowskich tam pełno. Szwargot, szachrajstwo; żydówki w perłowych bindach i z żółtym kruszcem na szyjach, wyglądające jak żywe wystawki jubilerów; zaszargani faktorzy, sklepy, sklepiki, wszystko oznajmiało, że tu wyłącznie panuje pokolenie izraelskie. Jacyś policyanci, w rozmaitych nowych dla mego oka ubiorach, robią porządek w tej hałastrze; wojsko w białych mundurach ukazuje się na ulicy. Pewien niepokój zaczyna mię ogarniać — pierwszy raz za granicą, młodemu, niedoświadczonemu, zdało mi się, że wszyscy na mnie patrzą i że mię ktoś z tyłu za kołnierz chwyta. — Wierna tylko dziewczyna przy mym boku nie odstępuje mię na krok i prowadzi naprzód na kawę, a potem udajemy się do tandeciarzy. — Uprzedza mię wtedy, jako świadoma zwyczajów tamecznych, abym się nie lękał wstąpić do nich, bo ci przemyślni kramarze, przekupują, lub nawet staczają bitwy z policyantami, skoro idzie o przechowanie kogoś z ich klienteli; byle handel szedł.

Żydkowie zapytawszy mię, czy chcę mieć suknie mody paryzkiej, czy wiedeńskiej, skoro na ostatnią się zgodziłem, ubrali mię od stóp do głowy, a tak pozbywszy się cechy rossyjskiej, już śmielej poszedłem na bazar, gdzie zakupiłem perkaliki na podarunek dla mej przewodniczki. Następnie zaprowadziła mię ona do swych przyjaciół, poleciła ich sumieniu i dobremu geniuszowi i opuściła na zawsze.

Patrząc za oddalającą się, żal mi się zrobiło biednej. Znowu ujrzałem się samotnym i bez przyjaciela; nowi kontrabandziści,

pomiędzy którymi się znalazłem, nie potrafili zastąpić prostej, cichej, dobrego serca dziewczyny.

Nie mając co robić między nimi, nie potrzebując ich pomocy czynnej, powziąłem tylko niektóre wiadomości i postanowiłem puścić się w dalszą podróż — do Lwowa! zdając się na opiekę dobrego geniusza dziewczyny i myśląc że szczere jej westchnienie na mą intencyę, może wysłuchane zostanie.

Wydobywszy się zaledwie z pomiędzy bagnetów rossyjskich, teraz, ściganemu losem, wypadało przerżnąć się przez austryackie — wypadało przebyć wzdłuż całą Galicję, bez zwrócenia na się czujności policyi; a była to trudność niepospolita.

Zapaliwszy cygaro, wychodzę z miasta; widzę przed sobą komorę z odwachem, różnobarwne postacie których rzeczy przetrząsają, różne wózki toczące się tam i nazad, jak zwyczajnie, przy rogatkach. Ja nic nie mając do przetrząsania i deklarowania, jak Bijas filozof grecki uchodzący z ojczyzny, niby spacerem, z głową podniesioną, przechodzę na drugą stronę, nic się nie oglądając. Wstępuję do wielkiej austeryi przy gościńcu, gdzie rozmowny gospodarz i gospodyni, Niemcy, mieli ochotę wejść ze mną w gawędę. Ale przypomniałem sobie hotel wileński w Warszawie, źródło mego nieszczęścia; unikając więc wszelkich rozmów, zasiadłem w sali bilardowej nad kuflem niemieckiego nektaru, bawarskiego piwa, i czytam gazety — a dowiedziawszy się co się dzieje w świecie, wychodzę i upatruję przejeżdżających.

Długo wprawdzie czekałem, ale przecież wielkie bryki kupieckie, pokryte białem płutnem, toczą się jak rydwany, od strony Brodów.

— Stój żydku!

— Ny, a co takiego?

— Czy daleko jedziesz?

— Do Lemberga.

Tego się spodziewając, wskoczyłen do jednego z furgonów który był próżny i roztasowałem się jak w namiocie.

Jedziemy, popasamy i znowu jedziemy, bo do Lwowa było mil kilkanaście, jednak przebyliśmy je bez przypadku. W pewnej odległości przed stolicą zeskoczyłem z bryki. Nadziawszy świeże rękawiczki, otrzepawszy się z kurzu, zmierzam znowu,

sposobem przechadzki, ku rogatce, jednak nie bez pewnego niepokoju. By więc łatwiej się dostać do miasta, upatruję między przechodniami, do kogoby się przyczepić.

W istocie postrzegam nieopodal jakąś jejmość, która trzymając małą panienkę za rękę, szła przedemną. Toby miało jak raz pozór familijny dla ciekawych strażników, pomyślałem. Zbliżam się więc do tej pani i złożywszy, jak mogłem, najuprzejmiejszy ukłon, proszę, aby była łaskawą powiedzieć, jak się nazywa ukazana przezemnie okolica? Grzecznie odpowiada — ztąd zawiązuje się rozmowa, a gdy się dowiedziała żem koroniarz, obdarza niektóremi pytaniami, i tak gwarząc przebyliśmi rogatkę.

Już się zmierzchało, my rozmawiamy jeszcze, szczebiocze mi dowcipnie o teatrze Skarbka, śmiać się muszę, gdy dusza moja płacze na myśl, gdzie ja tu przenocuję? zwłaszcza we Lwowie — punkcie tak niebezpiecznym.

Pod opiekę tej pani zaprosić się była ochota, ale nie było możności, i ot, na zaułku, po wzajemnym ukłonie rozchodzimy się każde w swoją stronę.

Ale gdzie tu teraz moja strona? Gdzie się tu obrócić? Widzę się samotny wśród podobnych mnie istot i nie wiem co począć z sobą.

Wnijść do zajazdu, bez ekwipaża, bez żadnych rzeczy, żadnego papieru, ani myśleć o tem; zostać na ulicy à la belle étoile, to za bardzo romansowe, patrol weźmie — to jeszcze gorzej.

Biłem się z myślami w tak krytycznem położeniu, ale noc nie czekała; ujrzawszy się żydem tułaczem we własnej ojczyznie: zacząłem rzęsiście pozdrawiać Moskali.

Lecz klątwy na nic się nie przydały; koczuję dalej, przechodzę koło jakiegoś więzienia, z górnych okien którego słyszę brzęk łańcuchów. O! lepsza śmierć jak utrata wolności. Uciekam ztamtąd i napadam na plantacye czy bulwary.

Na plantacyach postrzegłem damę idącą około latarni z opuszczonym woalem u kapelusza; i mamże wyznać, że roztargniony, podbiegłem do nieznajomej, ale za zbliżeniem się, nie wiedziałem co jej powiedzieć; oświadczam tedy z niechcenia, że o tak późnej porze, jej wdzięki są wystawione na niebezpieczeństwo

— nie widząc, czy była stara czy młoda — że jeźli więc pozwoli sobie towarzyszyć, nazwę się szczęśliwym śmiertelnikiem, i t. d. Dama się odwraca, przyspiesza kroku, ja ciągle gadam, nalegam; mało dbając za kogo mię poczytać może. Szczęściem, że nie zawołała na policyą. Ale zauważywszy, że zakłopotana drugi raz krąży po tym samym bulwarze, jak gdyby w chęci pozbycia się natrętnika, nim wstąpi do swego mieszkania, poczułem wyrzut sumienia z mego postępku. «Wybacz mi pani, rzekłem, i ratuj biednego emigranta, który nie śmie wstąpić do zajazdu, by znaleźć schronienie na noc jedną! — Zechciej łaskawie wnijść ze mną na chwilę do któregokolwiek hotelu, zachowując incognito maskowego balu, by nie poznano że jestem zupełnie obcym w tem mieście; więcej o nic nie błagam! —»

Na ta dopiero słowa, Lwowianka zwróciła ku mnie oblicze, jakby usiłując przeniknąć mię na wskroś; a po chwili milczenia, rozmówiwszy się ze mną z całą łagodnością dobrze wychowanej osoby, łagodnością, którą byłem wielce ukarany za me natręctwo, zaprowadziła mię chętnie do hotelu, z narażeniem się bycia posądzoną najniewinniej, o rendez-vous z młodzikiem.

Jakżebym pragnął, aby niniejsza kartka przyjętą przez nieznajomą została, jako kwiatek miej wdzięczności, niezwiędłej wielu latami czasu! —

Przybycie moje do hotelu z poczciwą damą, może rzeczywiście było uważane za rendez-vous osób miejscowych, gdyż po jej oddaleniu się, pozostałem na noc niezameldowany, i spocząłem wygodnie z myślami mojemi, dopóki jutrzenka nie zajrzała przez firankę.

Nie czekając dłużej, opuszczam jednonocne schronienie; jestem świadkiem przeglądu wojsk austryackich, potem poszedłem do kościoła, westchnąłem w cichości; jedna lampa gorzała przed obrazem Zmartwychwstania i jedna myśl, myśl udania się do mej rodziny, utwierdziła się w duszy.

Dopytawszy się o żółkiewskie rogatki, nająłem furmankę i pojechałem do Żółkwi, gdzie zwiedziłem kościół, na ścianach którego cała epopeja wypraw hetmańskich, zachowaną w naturalnej wielkości freskach została.

Długo wpatrywałem się w owe hufce mężnych pancerników,

w owe surowe oblicza pradziadów naszych, zdające się przemawiać do odradzających się pokoleń. Nic tak nie budzi młodocianego umysłu z uśpienia, jak historya wyrażona w rzeźbie lub pędzlu, zwłaszcza, gdy ją napotykamy znienacka, wśród uroczystego milczenia świątyni.

Myśl moja uleciała w wieki przeszłości:

«Kara-Mustafa zasypiał w upojeniu jataganowej potęgi pod murami oblężonego Wiednia i słodko marzył sławę najświetniejszego podboju. Obóz jego błyszczał przepychem, purpurą i bogactwy; straszny obóz, przy którego łunie ognisk lśniało niezliczone mnóstwo złoconych namiotów muzułmańskich, otaczających gród chrześcijański, jakby pasem ognistym. Surmy i cytry odzywały się pośród haremów weselących się Turków i Tatarów nadzieją pewnego zwycięztwa i łupów.

W środku stał Wiedeń bezsilny, trawiony morową zarazą, bombardowany z góry, gdy motyki ottomańskie pracowały w podkopach. Napróżno biskupi starali się wzniecić męztwo upadłych na duchu mieszkańców; rozpacz ich obejmowała, dzwon trwogi roznosił smętne dźwięki w krainie niemieckiej, a śmierć zdawała się obejmować ją w swe piszczele.

«Najświętszy Sakrament był wystawiony w kościołach świata całego; ludy błagały Pana Zastępów o odwrócenie okropnej klęski od Europy, gdy zwątpiali Wiedeńczycy już tylko w zabobonie, w stadzie bocianów upadających w przelocie na ich dachy, szukali dobrej wróżby i chwilowej otuchy w nieszczęściu.

«Nagle okrzyk radości z krużganków wieży Ś. Szczepana rozlega się po nad stolicą, lance z chorągiewkami migocą w dali i polscy husarze, postrach bisurmanów, a na ich czele król, król pełen wiary w Boga, miłujący bliźniego i ufny w swą gwiazdę, przybywają niespodzianie na odsiecz oblężonym.

«Na samo imię brzmiące sławą bohatera, robi się alarm i popłoch w obozie Mustafy. — Ale bohater otoczony gronem, cisnących się pod jego rozkazy sprzymierzonych książąt, wojewodów, senatorów, rycerzy — nim wstąpi w zawody, pada naprzód na kolana u stopni ołtarza i z głową pochyloną, rękoma na krzyż złożonemi, modli się gorąco; potem przyjmuje opłatek oczyszczenia, a następnie uzbraja syna swojego, gdy tymczasem kapłan błogosławi zgromadzonym wojownikom. Okrzyk «Niech

żyje Jan Sobieski!» przebiega ożywione duchem bożym szeregi, a orły cesarskie chylą się przed nimi.

«Potem widziałem kruszące się półksiężyce o stalną pierś, zajadłość roztrącającą się dziczy, padające turbany, ginących paszów i janczarów —

«Zaćmienie księżyca pogrążyło w ciemności krwawe szranki; niebo przyjęło udział w bitwie pamiętnej.

«Gdy światło niebiańskie zajaśniało znowu, chorągiew z Matką Boską powiewała nad karawan-serajem Wielkiego Wezyra, a tłumna horda, jak zamieć, pierzchała na strony w ucieczce! —

«Nie stałbyś pyszny Wiedniu, gdyby przed stu laty» — mówiłem sobie siadając do bryczki, która mię zawiozła z Żółkwi o trzy mile dalej, do wsi Ulicka, własności jednego z mych krewnych.

XI.

Zmuszony jestem wyznać, wierny tym Pamiętnikom, że ś. p. kuzyn mój, do którego przybyłem, jakkolwiek nie był orzeł, ale był to sobie poczciwy obywatel, jakich Polska ma wielu, ze starego, dobrego gniazda. Widywałem go, będąc młodym podlotkiem w szkołach, przyjeżdżającego do Kongresówki w suto wyszywanej czamarze z barankami, z karabelą przy boku, co raziło Rossyan oglądających się na niego; lecz teraz zastałem w szlafroku tchórzami podszytym i w czapce zawieruszce.

Nagłe zjawienie się moje, spadnięcie jak z komety i do tego w charakterze uciekającego, zmięszało go bardzo, choć starał się tego nie okazywać; ale uwagi jego, że mandatariusz — wójt gminy przydany od rządu — mieszka na tym samym dziedzińcu, ciągła obawa w przechowywaniu mię, dały do poznania, żebym tam nie długo przebywał.

Wszelakoż zatrzymałem się na czas jakiś. Wychodziłem na wieś, przysłuchiwałem ludowi ruskiemu, który gdy płacze, śpiewem wyraża swoje boleści i utrapienia; miałem sposobność przysłuchania się także i szlachcie dowodzącej, jakkolwiek słabymi argumentami, że lepiejby jej było pod berłem Cesarza Wszech Rossyi. Ci zwolennicy zgubnego panslawianizmu, jak tonący brzytwy się chwytając, z jednej ostateczności wpadali w drugą.

Wypocząwszy na łonie rodziny, pewnego poranku, gdym wstał o świcie, znalazłem konie już czekające przed gankiem;

otrzymawszy więc na drogę błogosławieństwo mej ciotki i krzyżyk zawieszony na szyi rączką małego braciszka Kostusia, pożywiwszy przytem wychudłą sakiewkę, pojechałem z mym krewnym, który mię odprowadził aż do Rzeszowa.

O paszport prosić go nie śmiałem, przewidując, że z trudnością by mu przyszło starać się o niego, ale wdzięczny i za to co uczynił dla mnie, z Rzeszowa ruszyłem dalej ku Tarnowu. Pożegnanie nasze było tkliwe.

Im więcej posuwałem się ku zachodowi, tem naród piękniejszej rasy zdawało mi się postrzegać: wysmukłe, kształtne budowy ciała; owe nosy zakrzywione, przypominają tam skrzydlatego króla wyniosłych Tatrów.

W Tarnowie zajechałem prosto do oberży; przyniesiono mi na wstępię kartę meldunkową z licznemi rubrykami do zapełnienia, rozpisałem się w nich imionami własnemi i tytułami mego krewnego, i tym sposobem okupiłem noc spokojną. Lecz na drugi dzień wypadło zrobić nowy rachunek rzeczy; do granicy pruskiej zbliżać się potrzeba było. — Wydostanie się jak najprędsze z posiadłości austryackich uważałem za konieczność; że zaś Galicyę od Prus Wisła oddziela, potrzebowałem mówię, porozumieć się z ludźmi, w celu otrzymania jakiego paszportu dla przebycia takowej. Dowiaduję się że za Tarnowem mieszka książe Sanguszko — znakomite to nazwisko męczennika za wolność, tułającego się po Syberyi — trzeba więc złożyć uszanowanie księciu, w nadziei, że mi nie odmówi dobrej rady.

Zgłaszam się do pałacu, lecz oznajmiają mi, że «jaśnie pan» wyjechał do Lwowa na jakieś sejmy, formalności, czy obrady, ale że jego pełnomocnik pan *** — nie chcę wymieniać jego nazwiska — znajduje się we dworze. Anonsuję się przeto do niego kilkoma na prędce skreślonemi słowy, przedstawiającemi w całem świetle moje położenie, a następnie mam u niego posłuchanie. Oświadczył, że ponieważ wyjeżdża tegoż samego wieczora, mam go oczekiwać w oznaczonym mi przez siebie zajeździe w Tarnowie.

O naznaczonej godzinie, udawszy się wedle adresu i nie znalazłszy go tam jeszcze, oczekiwałem w bufecie hotelowym, przerzucając dzienniki. Wkrótce i przybył, lecz przeszedł około mnie, jak gdyby mię nie widział. Może istotnie nie zauważył za-

topioncgo w bibulastych arkuszach; wstaję zatem i idę do jego numeru.

Tutaj pan*** i przy nim ktoś drugi, zaczynają mi przedstawiać, że dziwi ich mocno, słowo dziwi wymawiając z przyciskiem, iż jeźli jestem tym kim się być mianuję, śmiało sobie pozwałam plądrować po kawiarniach, i t. d.

Dosyć tego panowie! zawołałem wywiedziony z cierpliwości; nie pomagajcie, ale nie hańbcie równego wam człowieka! Żegnam panów. —

Bolało mię bardzo to ich obejście się, zwłaszcza, gdy poglądając na świat wyobraźnią nowicyusza wstępującego na jego widownię, upatrywałem w ludzkości dwie strony towarzyskie: jednę prześladującą, drugą obowiązaną chronić mię od pierwszej. Nie myślałem wtedy, czy miałem prawo wymagania dla siebie ofiar, mogących narazić ojców familii na okropną odpowiedzialność w obec nieprzyjaciół —

Nazajutrz rano, zabrałem się z kupcami jadącymi przez Bochnię do Oświecima, ostatniego miasta Galicyi nad granicą prusko-austryacką położonego; ale w drodze pierwsza gwiazda — szabasówka — wschodzi i nasza karawana zajeżdża do najbliższej karczmy. — Na drugi dzień, żydkowie jeszcze się modlą w śmiertelnych koszulach; co do mnie, nie czując się w usposokieniu słuchania przez całą dobę straszliwego «adunaj!» talmudu, zjadłszy z cynowego talerza kawałek nadziewanego szczupaka, zakąsiwszy go macą i popiwszy miodem, maszeruję dalej w braku podwody, na piechotę. —

Cóż to za krajobraz? jakaż to świetna panorama roztacza się przed oczyma? To Kalwarya! jak nadobna dziewica wychyla z gór swoje śnieżne czoło, otoczone malowniczo wieńcami kołyszących się gajów. Odwieczne drzewa, gdyby dęby starożytnych Druidów, pochylają swe gałęzie, szmerem coś gwarząc do siebie, jakby spisek knowały.

Pobożne kompanje, silne jedną wiarą w Chrystusie, przybywają corocznie w te miejsca w licznych orszakach, podobnie jak do Częstochowy, ze wszystkich ościennych krain.

Flet pasterski lub kobza, ryk zrzędnej krówki i grzechotka na jej szyi, urozmaicają tę tak cudną i żywą sielankę. — Na co szukać i Szwajcaryi? — Nie mogłem się wstrzymać od wykrzyku

podziwienia na widok Kalwaryi, a usiadłszy przy szosie na zżółkłym trawniku, jak na rozciągniętym kobiercu, popatrzyłem po raz pierwszy na jej uroczą naturę i sztukę.

Melancholia jesieni, listki opadające zwolna, chmurki ruchome, wszystko usposabiało do marzeń i pogrążało w dumaniach. Zapomniałem i o podróży, bo nowi moi sąsiedzi: stara przyjaciołka Wisła, której nie miałem już nigdy oglądać, górale karpaccy, Krakus z Wandą, Kościuszko z Jadwigą, tudzież bogata dama Wieliczka, przyszli do mnie w odwiedziny w świątecznych strojach. Zapytałem ich o podania o Opryszkach i o ich poezyę: odpowiedziano, że dzielne kobiety Opryszków okrywały fartuchem brata górala skazanego na szubienicę i brały za męża, aby go zbawić od śmierci i uczynić lepszym — co mi się dziwnie podobało. Zwyczaj ten, praktykowany niegdyś, czyliż nie był więcej w duchu chrześcijańskim, aniżeli wszystkie dzisiejsze kodeksa karne, zostawiające tak mało środków do poprawy, najczęściej człowiekowi, którego wina pochodziła w części z fałszywej organizacyi społeczeństwa! —

Żałowałem, że spodróżowałem Galicyę tak szybko, że z jej żywych ksiąg wyczytałem zaledwie tyle, ilebym to zdołał uczynić z Krasickiego naprzykład, przewartowawszy go od deski do deski w przeciągu 24 godzin, i że nie mam talentu Dumasa, badacza z pierwszego poglądu —

Wziąwszy szczyptę ziemi na pamiątkę, puściłem się w calszą drogę.

XII.

ŻYD, NAUCZYCIEL OSTROŻNOŚCI.

XII.

Zawsze musi szkodować, kto się ze złym sprzęże,
Lepiej wleźć między wilki — lepiej między węże.

Blizko już Oświecim, przechrzczony na Auschwitz, choć nie przyjął obcej wiary. Zdala światełka tam migocą. — Oświecim błyszczy własnem światłem w zmroku; ale przy jego świetle, coś skrzypki i basy tam rzępolą. Byłożby to jakie weselisko? —

Jeźli tak, tem lepiej; przypatrzę się choć, jak panna młoda oberka wywija, a może też zaproszą, może i poczęstują — przyszedł mi na myśl głodny student z Krakowiaków i Górali — nie dostawało tylko jego elektryki, żeby za przybyciem cuda pokazywać można.

Zdążam do Oświecima i widzę się wśród weselących się kmiotków. Nie pomnę, co to była za biesiada. Wchodzę pomiędzy nich, a ujrzawszy jakieś naiwne chłopię, biorę go na stronę i pytam, czyby nie mógł wskazać, gdzie tu można cygar pruskich dostać. Macałem aby napaść na nitkę Aryadny, którąby mię doprowadziła do kłębka jakiej znowu królowej kontrabandzistów.

Chłopię się wzdraga z odpowiedzią, radzi wreszcie, abym się udał do propinatorki, lecz nic jej nie mówił, że on mi o tem powiedział. Uspokoiwszy go, poznajamiam się z panią propinatorką — dorzeczna to była i z waszecia białogłowa. Nazajutrz powiadam jej, że chcąc się widzieć z pewnym przejeżdżającym kupcem, który powinien był zatrzymać się w Byruniu — pierwszem mieście, tuż za granicą w Prusach położonem — zna-

glony jestem tam się udać, lecz nie mając czasu pisać o paszport do Lwowa, nie wiem jak sobie w tym razie postąpić?

— Jak postąpić? a iść prosto do Byrunia i kwita.

— Ale — zacząłem się jąkać.

— Ztąd każdemu wolno jest iść trzy mile w Prusy, w pasie granicznym, bez paszportu.

— A dalej? — zapytałem.

— Dalej, jeźli żandarm pruski zdybie, a oni się tam włóczą, to i zwróci nazad.

— Zwróci tylko, a już kajdanków nie nabiją jak w Rossyi — pomyślałem.

— A czyby pani nie była tak dobrą, nastręczyć mi jakiego przewodnika? — przyznam się, że nie znam ani miasta ani granicy.

— Przewodnika? i owszem. — Ale — czekaj-no pan. — Na co szukać i przewodnika? Wszak to dziś niedziela — niedziela dzień cały. — Icek w te dni tam chodzi za kupnem siana.

— Icek więc? —

— Otóż to; jeźli jeszcze nie poszedł, to można iść z nim razem.

I posłała po Icka.

Rudy i zyzowatek Icek wkrótce przybył.

Powiedziawszy Bóg zapłać gosposi, skierowałem się z nim ku miastu. Niewielka to mieścina: jeźli kto na jednym końcu kichnie, to na drugim zdrowia mu życzą; przebyliśmy więc je prędko, następnie most jeden na Wiśle, potem wstąpiliśmy na drugi — jegier tylko stojący na środku ostatniego, wybąknął parę słów po niemiecku. — Icek mu odpowiedział, że idziemy za skupnem siana.

Przeprawiwszy się tym fortelem przez granicę, z drugiej strony już żadnej straży, nawet przed komorą pruską, nie widziałem.

Uradowany, wstępuję z nim do zajazdu, ale ponieważ zauważyłem jego ciekawość względem celu mego przybycia do Prus, w zajeździe pytam, czy tu nie zatrzymał się kupiecki furgon o czterech białych koniach, tej nocy? Otrzymawszy odpowiedź, jak się rozumie, przeczącą, objawiam zamiar, aby pozbyć się faktora, oczekiwania niby na przybycie wymyślonego kupca, i

chcę mu ofiarować parę cwancygierów na odprawkę; lecz nie mając drobnych, rozmieniam sztukę złota.

Nieostrożnie zrobiłem, że zamiast zgarnąć zdawkową monetę, przeglądałem ten napływ w tamte miejsca bitego kruszcu z Korony, Krakowa, Prus i Austryi — potem poczęstowawszy Icka, nagradzam mu sowicie trudy, życząc szczęśliwej podróży.

Ale ten zaczyna gderać, że ponieważ razem ze mną przyszedł, razem więc powrócić musi. To jego rozumowanie nie bardzo mi przypadło do smaku; lecz skoro nadmienił, że jegier stojący na moście, możeby go przepuścił i samego, gdybym mu dał na przekupienie tegoż, poznawszy we wszystkiem nasze przebiegi, aby nie zwrócić na się uwagi mieszkańców, wychodzę czemprędzej z zajazdu i chcę się ostatecznie okupić. Wyjmuję sakiewkę, lecz zmyślny Izraelita, jednem, silnem szarpnięciem, wydziera mi ją z ręki, zanim zdążyłem schwycić go za pejsy, i ucieka na most z odwrotem.

Zrabowano mię wśród zabudowań, wśród dnia białego; wytrącono ostatnią broń, pieniądz! i zostałem nagle jak łódź bez steru na falach, pośród cudzoziemców, nie znający i języka, bez grosza, i nie śmiejąc szukać sprawiedliwości! —

XIII. XIV.

PRZYGODY W SZLĄZKU I SAKSONII.

XIII. XIV.

PRZYGODY W SZLĄZKU I SAKSONII.

XIII.

Potrzeba było uchodzić z duszą; nogi ustawały, głód dokuczał, noc się zbliżała, a dzięki starozakonnemu nauczycielowi ostrożności, w kieszeni pustki.

Choć bez grosza, wypada zajść na nocleg do gospody, a nawet wziąść tam osobną stancyę, z dobrą miną, po pańsku, bo tym tylko sposobem może uniknę, najprzód choroby, a powtóre zapytań o ów nieszczęśliwy paszport, na którym mi zbywało. Tak więc postąpiłem, i na dobre to wyszło: bo gospodyni karczmy, szlązaczka, odbierała od przybywających tam Niemców, mających nocować w ogólnej izbie, Reisebuchy, zapewne przez obawę, aby który nie uniósł nazajutrz przez pomyłkę cudzego mantelzaka.

Posiliwszy się nieco zupą z piwa i kartoflami w mundurach, udałem się na spoczynek do osobnego numeru, lecz noc spędziłem bardzo niespokojnie, gdyż po tak cierpkich przejściach, jakiś rodzaj maligny mię opanował i zdało mi się, że ktoś przez lufcik w drzwiach kłódki do mnie rzuca — z początku po jednej potem po kilka, następnie secinami. Zerwałem się z łóżka i pamiętam, jak rozmawiałem z napastnikiem, czyli z wiatrem kołacącym drzwiczkami luftu, wystawionemi na przeciąg powietrza.

Nazajutrz nowy kłopot — potrzeba się było wynosić, a przedewszystkiem zapłacić; nowy frasunek dla mnie — gdy umywając się, krzyżyk wysuwa się z za koszuli i błyska przed oczyma. Witam! miłą jesteś pamiątką, prawda, ależ nie na złocie cierpiał

nasz boski prawodawca. Tłomaczyłem sobie, żal mi jednak było krzyżyka, który zmuszony byłem ofiarować gosposi.

Porzuciwszy karczmę, głowa mi jeszcze ciążyła, bolała, lecz nie czas było kwękać; powiedziałem sobie: nie możesz chorować — i przebierałem się dalej, siłą woli, w towarzystwie dwóch wędrujących rzemieślników. Mijamy miasto Mikołów, a nie rozumiejąc się, rozmawiamy jak gęś z prosięciem.

Napotkawszy przejeżdżającego furmana, Niemcy zaczęli z nim wchodzić w układy; potem siadając do berlinki, mnie pozostawiają na drodze z pożegnaniem zum Wiedersehen mein lieber Herr; ale poczciwy furman, dowiedziawszy się że jestem polak i dla nich niemowa, zrobił miejsce obok siebie i jadąc, zaczęła się gawęda:

— Mospan polak? rzecze do mnie.

— I do tego czystej rasy, mój bracie!

Woźnica nasz, był to dobroduszny Szlązak, których tam nazywają Wasser-Polak. Rozmawiał ciągle tylko ze mną — miałem więc przewagę nad Niemcami, którzy z kolei rzeczy, zostali jak na polskiem kazaniu.

— Mospan Polak — rzecze dalej, i tak sobie z Niemcami wandrujecie. A czyście też widziali tego grafa Polaka w Mikołowie, co to się z ruskim powadził?

— Jakiego grafa?

— O! to mospan nic nie wi. Mamy tu grafa, co tu przyjechał, jak się z ruskim powadził; chodzi z brodą, a jak spotka idące z kościoła dziewki, to im każe śpiewać kantyczki — a tej, która najlepiej śpiewa, daje zawsze zwei a nawet drei i finf Silbergroschen.

To jest wszystko, co mogłem się w tym przedmiocie dowiedzieć — jakoteż, że nieznajomy stołuje się u burmistrza miasta.

Mówię tedy Bóg zapać Szlązakowi, zum Wiedersehen Niemcom, a sam wybieram się z powrotem do Mikołowa. Na odchodne, poczęstował mię kilkoma gumułkami — brakowało tylko chleba.

Ktoby to był taki, ów szlachcic? Stołuje się u burmistrza — zwolennik niewieścich kantyczek. — Runge przyszedł mi na pamięć, Runge, niemiec, reformator, jeżdżący w owym czasie z eskortą wojskową po Szląsku, w missyi religijnej. Otóż, padłem

na myśl, czy też opisany graf nie występuje zręcznie w opozycyi przeciw Rungemu, a tem samem i przeciw rządowi, zachęcając dziewczęta by pozostały wiernemi przodków wierze? — Konserwatysta to jakiś — cóż bowiem stanowi naszą narodowość upadającą, jeźli nie język, religja, zwyczaje i obyczaje własne.

Pocieszony temi uwagami, śmielej zbliżałem się do Mikołowa, a stanąwszy przed domem burmistrza, wartowałem, dopóki kto nie wyjdzie. Wybiega wreszcie jakaś panna fartuszkowa.

— Dzień dobry panience.

— Dzień dobry panu.

— Czy graf polak jest u państwa?

— Pan Wężyk? [1] przecież on pojechał do Krakowa; ale jego przyjaciel pozostał.

— Nie mogłaby mi panna wskazać jego mieszkania?

— Tam, gdzie mydlarka Fuksowa umarła.

— A w którym to domu?

— Pytaj się pan o Fuksa syna, a powie Mospanu.

— A ten Fuks syn? —

— Naprzeciw ratusza, w rynku, na środku!

— Fuks, czy ratusz, stoi na środku?

— Ratusz, proszę pana.

Po takim drogoskazie, znalazłem wreszcie mieszkanie Wężyka. Wszedłem na pierwsze piętro i ujrzałem się w salonie. Chodzę, stukam, pokaszluję; nikt nie wychodzi.

Z mieszkania zwykłem sądzić o ludziach. Postrzegłszy tam wesele krakowskie na obrazach, kilka książek wyborowych rozrzuconych na stole, raźniej mi się zrobiło. Wpada nakoniec lokaj i coś bełkoce.

— Ich verstehe nicht Deutsch, powiadam, a on co tchu niemiecką na polską mowę zmienia.

— To co innego, a teraz, proszę mię zameldować panu.

— Czy panu N.?

— Tak jest.

Pan N. prosi mię do gabinetu; rozmowa nasza była krótka, słów mało, ale czynu wiele z jego strony: bowiem należy do

[1] Autor opisu Egiptu.

rzędu ludzi umiejących przeniknąć i uczuć niedolę braci. Daje mi tedy, nad moje oczekiwanie: paszport [1], dzieli się pularesem, że zaś zbywało mi na mapie Niemiec, wycina środek z ogromnej karty Europy, mówiąc:

«Polskę krajali, krajmy i my Prusy.» Środek ten unoszę, a Europa z dziurawą oazą zostaje na ścianie. Wybrnąłem nakoniec z biedy!

Dostawszy się do Opola, siadłem pierwszy raz do wagonu; kocioł świsnął parowego marsza, liczne sioła umykają z drogi — dopiero lasek — już łączka — tańcujące pasterki — pasące się baranki — ja pędzę, jak na okulbaczonym lucyperze, zionącym ogniem i kłębami dymu.

[1] Paszport ten wybawił później z nieszczęścia jeszcze jednego młodego człowieka.

XIV.

«Breslau!» zawołał konduktor — i otóż skoczyłem, jak z procy, do Wrocławia.

Przebiegam ulice tej stolicy Szlązka, zatrzymuję się przed Fryderykiem na spiżowym koniu i zdziwiło mię, że naród wzniósł pomnik swojemu zdobywcy. Jakkolwiek Fryderyk nie był wielkim z każdej strony, panowanie jego porównywałem z mikołajowskiem, bo Mikołaj, jak ćwiek wbił mi się do głowy; porównywałem, mówię, monarchę myślącego o szczęściu ludu, pojmującego swą potęgę w potędze moralnej narodu, swą wielkość w wielkość cnót osobistych z drugim, gotowym poświęcić na rzeź połowę poddanych, dla nasycenia dumy! gotowym odświeżyć carską purpurę krwią męczenników!

We Wrocławiu, poznałem towarzystwo demokratyczne niemieckie — też same, które wiele oddało usług naszym ziomkom w 1846 roku, ułatwiając ucieczkę uwięzionym Krakowianom w fortecach pruskich Neisse i Kosel — i w domu szefa towarzystwa Reichsgraf von Reichenbach gościłem na wsi, gdzie się tuzinami przechowywali polacy. Zajmowałem tam mieszkanie, które protestant Runge przedemną zamieszkiwał. Niemcy śmieli się z zasad Rungego; mówili mi, że zawitał on nawet z chęcią propagandy do Warszawy, na salony Paszkiewicza, ale jak niepyszny, pod konwojem żandarmskim do granicy pruskiej powrócić musiał.

Zdaje mi się, że marzeniem Reichenbacha było wyswobodzenie Szlązka austryackiego i pruskiego i złączenie ich pod swą prezydenturę. — Był to dzielny mówca, człowiek nauki i

erudycyi. Obecnie malkontent, zamieszkuje w Ameryce. I cała partya, która pod nazwiskiem przyjaciół światła kwitła i dosyć silną zrobiła sobie przewagę w kraju i odgłos w prowincyach nad-reńskich, po wypadkach 1848 roku, przez rząd pruski wyplenioną została. Sprzyjała ona niby Polsce, jednakże nie uszedł mojej uwagi pewien kwas w słowach jej członków, ilekroć razy o sprawie Polski wspominano.

Pani Reichenbach, szczęśliwym od natury obdarzona charakterem. Ta znakomita pani, do swej uprzejmości łączyła miłą prostotę, do jakiej wznieść się potrzeba.

Nigdy nie zapomnę i pani B. rzadki to pojaw! Gorąca dusza Pascala, a zasady ateizmu. Cudowne odbłyski serca, walka, i bolesne istnienie! kwiat wieku, a już uroda świecąca zamglonym promieniem! Ruina po młodej kobiecie! —

Trudno być ateistą, jak trudno jest zostać prawdziwym kosmopolitą!

W przejeździe przez Saksonję, zwiedzając klasztór, którego malownicze położenie mię uderzyło, spotkałem tam nadspodziewanie jezuitę polaka. — Siwa głowa małego staruszka jest mi dotąd obecną w pamięci.

— Rewolucyoniści! nic dobrego! zapominacie o Bogu, a gubicie Polskę — tak mię witał staruszek, dowiedziawszy się żem emigrant.

A potem zaprowadził na śniadanie do refektarza i posadził obok przeora — —

Czuję dotąd gorącą łzę jego, padającą mi na skronie przy pożegnaniu, i słyszę błogosławieństwo poczciwego staruszka, którego już pewnie pokryła mogiła —

«Leipzig!» Cóż to za bazar świata całego w Lipsku! Trafiłem na ów sławny jarmark, gdzie książki są głównym towarem. Tu Grek, w białej tunice, rozprawia w Turkiem w zawoju; Polak z Kacapem, Fracuz z Anglikiem, jak na maskaradzie. Zdaje się, że zbratali się ogniwem miłości i zgody — gdzie tam! to tylko pieniądz łączy ich dzisiaj, a jutro znowu na łby się pobiorą —

W Lipsku odwiedziłem pole bitwy 1813 r. i miejsce śmierci ulubieńca polskiego wojska, Poniatowskiego. Na kraju prześlicznego ogrodu Gerharda szumi szara Elster; w miejscu gdzie

utonął dzielny żołnierz, stoi niewielki czworogranny kamień — na nim z jednej strony napis łaciński, a z drugiej polski:

«Tu w nurtach Elstery, Józef Książe Ponia-
«towski, naczelny wódz Wojska Polskiego, mar-
«szałek Państwa Francuzkiego, trzema śmier-
«telnymi dotknięty razami, okrywając ustęp
«wielkiego wojska francuzkiego, i ostatni ucho-
«dząc z pobowojska, życia, sławie i ojczyznie
«poświęconego, dokonał, w dniu 19 Października
«1813. Żył lat 52. — Tę skromną pamiątkę, łzami
«swemi skropioną, Polak współrodakowi, żoł-
«nierz wodzowi poświęcił.»

W środku ogrodu stoi grobowiec, pokrywający rok przeszło zwłoki bohatera, które później przeniesione zostały do pieczar królów polskich kościoła katedralnego w Krakowie.

Poznajomiwszy się w Lipsku z panem S. rok 1847 upływa mi z nim wśród skał alpejskich, wśród roskosznych Apeninów, uśmiechających się jezior, ruin zamków feodalnych baronów, wśród pięknych wiosny i cyprysów krain.

Ale to już oklepane rzeczy — muza moja nie ma natchnienia je opiewać; raczej zaprasza piękne panie i paniczów, z pod włoskiego nieba, na wschód, wschód Rossyi. Ma się rozumieć, pojedziemy do biednych pokoleń, rozsianych po za Wołgą i Uralem, kosztem najmiłościwszego cesarza, króla polskiego, bo inaczej, nie każdego tam puszczą, a przynajmniej nie wszędzie.

I u nich tam tyle poezyi! Niebo także przeźroczyste, lazurowo-jaskrawe; wielbłądy, antylopy, stada niezliczone owiec, bujające po stepie; złotopióre, niepłoszone bażanty w trzcinach — auły koczujących Kirgizów, nowe osady, słowem, oryginalna malowniczość! a panie tak podobno lubią oryginalność. Ten sam step bez końca — a jakkolwiek pokrywa go dziki piołun i wałęsające się gadziny: miryady drobnych jaszczurek, niedźwiadki i jadowite pająki, lubiące się wmykać za koszulę, gdy w najlepsze zasypiamy — przecież ma swą oddzielną poezyę, dając podobnie jak ocean, wyobrażenie nieskończoności wszechświata — —

Po drodze wstąpimy do Krakowa, aby pożegnać tego kochanego pradziada naszego. Przytem, coś tam szepcą rycerze,

poruszając się w trumnach na Wawelu, jak gdyby już godzina zmartwychwstania wybić miała, i dzwon zygmuntowski niezwykłym, jak na trwogę, odzywa się jękiem; a smok wszystkiemi paszczęki ryczy z pieczary przeraźliwie.

Nie tracąc chwili, zdążajmy przedewszystkiem obaczyć, co się tam dzieje?

Potem zajrzymy na rok cały do cytadeli warszawskiej, a później, hejże na Wschód, w kibitce — gratis! —

XV.

REWOLUCYA

w

KRAKOWIE I POZNANIU, 1848 ROKU.

XV.

«La servitude, que los rois appellent la paix, est une paix qui produit la guerre, car les vrais maux sortent des faux biens!»

Rok 1848. Wielka, uroczysta iluminacya w Krakowie. — Więźniowie stanu ze Spielberga, Kufsteinu, Monkacs, i wszystkich więzień austryackich, powracają tędy do domów.— Ogólna amnestya — pociągi kolei żelaznej przybywają z Emigrantami z Francyi, Algeru, Anglii, słowem z całego świata. Kokardy narodowe z białym orłem ukazują się na kapeluszach. — «Jeszcze Polska nie zginęła» brzmi w ustach ludu tańcującego ochoczo na rynku: krakowiacy z podkówkami a dziewoje boso.

Rząd tymczasowy i gwardya miejska wprędce się sformowały — ostatnia pod naczelnictwem Hr. Moszyńskiego — niegdyś wygnańca w Syberyi — z obywateli posiadających kapitał zmysłowy lub umysłowy — i z oddziału uniwersyteckiego.

Zaprawdę, zajmujący był wydok owej siły uorganizowanej, umiejącej z rzemiosła nabić i zabić, złożonej ze szwoleżerów, krzyżujących z ponurem wejrzeniem, szwadronami, tam i nazad po ulicach — pod hełmami z mosiądzu; a obok niej drugiej siły, siły nie-uorganizowanej, złożonej z młodzieży krajowej pospolitego ruszenia, gotowej do poświęcenia i ofiary z siebie, w oczach której malowała się święta radość, a na czołach jaśniał napis: «A boświa to jacy tacy?!» jaśniało rodzinne uczucie, którego nic stłumić nie zdołało.

Rząd austryacki zdawał się być usposobionym okoliczno-

ściami czasu do dania pewnej konstytucyi, ale młodzież nie dowierzając temu, uzbrajała się jak mogła. Kosy robiły się potajemnie; broń palną zbierano; starzy wojskowi przybyli z Francyi, służyli za instruktorów ludowi odbywającemu swe mustry, na jakie sam nawet Chłopicki niekiedy uczęszczał; a gromady rzemieślników wszystkich cechów, jak gdyby na komendę zmartwychwstałego Kilińskiego, ramię przy ramieniu, defilowały w szeregach ze sztandarami po mieście. Tymczasem niemcy umacniali się w zamku na Wawelu — gdy powstańcy barykadami zasłaniać się tylko mogli.

Rzeczy atoli odbywały się w porządku. Patrole polskie spotykały się z austryackiemi, zawiadamiając się wprzód wzajemnie o swych hasłach, by przy spotkaniu nocnem uniknąć przedwczesnych nieporozumień i mogących ztąd wyniknąć utarczek.

Żydzi nawet krakowscy, wyznać to muszę na ich pochwałę, dawali dowody wysokiego patryotyzmu. Przedmieście Kazimierz miało także swój oddział gwardyi, wybranych przez się starozakonnych oficerów, swoje wedety.

— Kto idzie? pyta żydek na straży.

— Swój! przyjaciel! odpowiadasz jemu.

Żydek nie dowierdza.

— Ny, może cudzy? woła, i dopomina się koniecznie o hasło.

Żeby się przekonać o zamiarach rządu, wysłano do Wiednia deputacyę złożoną ze szlachty, przybranej w kontusze, z wieśniaka, i z rabina. Deputacya powróciła z obietnicą Cesarza Apostolskiego, że ten nie zaniedba pomyśleć i zrobić wszystkiego, co uzna za najlepsze dla Polski.

Wtedy chmury brzemienne zawisły nad stolicą Jagiellonów, i spodziewać się można było co chwila wybuchu rewolucyjnego.

Smutne wypadki Krakowa z roku 1848 są znane —

Nieszczęśliwy grodzie! grało w twych murach niegdyś wielkie życie. Pod swobodą praw Rzpltej polskiej mieszkańcy twoi wzrośli w zamożność europejską. Ich okręty uwijały się po oceanach, ich głos ceniony był w radzie wolnych miast hanzeatyckich. Najprzedniejszy polski grodzie! w twoich murach zdarzyły się fakta, które na losy cywilizacyi wpłynęły. W twojej katedrze odbył się ślub Polski i Litwy; z łona twojego światło

akademii rozjaśniało północ. Tyś witał Tarnowskiego kiedy Polskę od Wołoszy, Sobieskiego, kiedy Europę od Turków ocalił. Czyż mógł wtedy Jan IIIci przypuścić, że zbawił naród, mający w przyszłości zadać tyle klęsk jego Ojczyznie, i że szyldwach austryacki strzedz będzie jego grobowca?

Krakowie! na rynku twoim, przed tronem królów polskich, przyklękiwali wazale Rzpltej. Tyś trzem bohaterom usypał od wieków potężniejsze mogiły, i tym wieńcem czci przeszłości zamknąłeś się, jako relikwiarz narodowości naszej.

Dzisiaj na głośnych niegdyś murach twych osiadła cisza. O wieże twych świątyń ocierają się w przebiegu swym wieki, patrząc z nich, niegdy na wielkość, dziś na ruinę twoją. Jako serce narodu związany jesteś z jego życiem; kwitnąłeś kiedy on kwitnął, upadłeś kiedy on upadł. —

Pozostawiłem Kraków w stanie uzbrajania się, wyjeżdżając do Ks. Poznańskiego, gdzie założoną została dla młodzieży polskiej szkoła sztabu, z zamiarem przysposobienia się w niej prędkiego.

Po drodze, w Mysłowicach, spotkałem się z kompanią piechoty pruskiej, tylko co przybywającej koleją żelazną ponad granicę obwodu Krakowa; a we Wrocławiu odwiedziłem demokratów niemieckich. Dowiedziałem się od nich, że kirasyery pruscy zostali wysłani do Księztwa z rozkazem czynienia rewizyi i zabierania wszelkiej broni, a mianowicie kos, jakich fabryki zakładano onego czasu niemal w każdej wsi w Poznańskiem; z rozkazem także postawienia wart przy dzwonnicach kościołów, aby odebrać ludowi możność zbierania się z okolic na odgłos dzwonów. Po takiej informacyi, otrzymawszy polecenie i karteczkę z kilkoma słowy po niemiecku, miałem udać się z nią co prędzej do Skalbmierzyc, wsi położonej ponad granicą Polski Kongresowej –

Przypinam więc kokardę na pół polską, na pół niemiecką, siadam do dyliżansu we Wrocławiu — i rzeczywiście, doganiam i mijam lśniących się białych kirasyerów, pod samym Ostrowem. W Ostrowie biorę extra-pocztę i przybywam do Skalbmierzyc.

Ale tu, wstąpiwszy do karczmy przy szosie, dowiaduję się od arendarza, że we wsi pozostali tylko starcy, baby i dzieci —

a wszystko co żyło, a zdolne było do oręża, wymaszerowało wraz z dziedzicem, czy też dzierżawcą, tej nocy, niewiadomo dokąd. Przypuszczano, że do Pleszewa, w celu połączenia się z oddziałem Białoskurskiego.

Nie pozostawało, jak tylko zabierać się do odwrotu. Wypytawszy się więc o drogę do Pleszewa, powziąłem zamiar tam się udać. — Nie dowierzając atoli arendarzowi, umyśliłem pojechać naprzód na wieś i sam się naocznie przekonać o stanie rzeczy. — Wychodzę tedy, lecz na nieszczęście, pocztylion pojechał napowrót, nie upomniawszy się nawet o Trinkgeld.

Nie zauważyłem także, że arendarz z którym rozmawiałem, znikł od kilkunastu minut z karczmy; uderzyły mię tylko twarze strażników pruskich, stojących przed komorą celną z oczyma ku mnie zwróconemi, uśmiechających się z jakimś dziwnym przekąsem. Nie przywiązując do tego wagi, skierowałem się ku wiosce, aż tu widzę gromadę żydów, w której dostrzegłem i arendarza, a która nie najlepszej wróżby mi się być zdała, gdyż za ujrzeniem mię, szwargot żydostwa się powiększył; a gdy zwróciłem się nazad, motłoch puścił się za mną w pogoń. — [1]

Ujrzałem się niespodzianie w położeniu okropnem. — Nie od kuli, nie od szabli, ale od żydowskich noży, zginąć bezbronny; a za grobowiec znaleźć kupę nawozu w oborze jakiego pachciarza — oto los, jaki mi się przedstawił. —

Potoczyłem wzrokiem na około siebie. Nagie pola nie przedstawiały żadnego schronienia, jedyny tylko, lecz malutki lasek, zobaczyłem o kilkaset kroków przed sobą; tam się więc dobieram. Chałastra w pogoni zatrzymała się przed laskiem, bo ten znajdował się już w posiadłościach rossyjskich; ze drżeniem postrzegłem słupy graniczne; żydostwo narobiwszy hałasu, obudziło czujność straży, i kozaki na koniach zaczęli przebiegać swe luki.

Gaik zaś mogłem przejrzeć na wylot, chronić się w nim długo niepodobna! Z jednej strony, czekała mię śmierć, z dru-

[1] Żydzi w początkach powstania r. 1848 w Księstwie Poznańskiem, dopuszczali się wielu zbrodni. O ile krakowscy sprzyjali sprawie polskiej, o tyle poznańscy okazali się najzaciętszymi jej przeciwnikami. Zdarzało się nawet, że napadali na dyliżanse w chęci mordowania przybywających emigrantów — dopóki przez powstańców skarceni nie zostali.

giej, gorzej jak śmierć, bo niewola, lecz być może, chwilowa — ostatnią wybieram, i gryzę szpargały jakie miałem; aby zaś uprzedzić grożące niebezpieczeństwo bycia pojmanym i posądzonym za emisaryusza, wkraczającego tajnie w posiadłości moskiewskie, za co w najlżejszym razie Kamczatka pachnęła, wychodzę z lasku i postępuję do nad-strażnika, wyglądającego z budki, z rogatki rossyjskiej.

Czerń, idąca z drugiej strony granicy, towarzyszy mi naigrawając się zdala.

Nad-strażnikowi oświadczam, że będąc poddanym rossyjskim, a znajdując się za granicą w obecnym czasie wszczynających się niepokojów, postanowiłem, jakkolwiek bez paszportu, powrócić do kraju.

Nad-strażnik posełа natychmiast kozaka z raportem do Gubernatora Kalisza, odległego o wiorst kilka, i daje do zrozumienia, że od tej pory zostaję pod nadzorem; mnie zaś cierpienie straconej nadziei służenia czynem świętej sprawie ojczyzny, trawić poczyna. Nie udało się! —

Parę godzin zaledwie upłynęło, gdy oficer delegowany przez gubernatora przybywa i zabiera mię z sobą.

W Kaliszu pozostaję dni trzy.

Czwartego dnia, w skutek rozkazu Namiestnika, mam być dostawiony do Warszawy. Żandarm więc i kozak, moi nieodstępni towarzysze owego czasu, siadają ze mną do bryczki — a po upływie jednej doby, pocztylion ostatni raz zatrąbił żałosną piosenkę mym dumaniom, i zatrzymał konie przed żelaznemi sztachetami bramy więzienia stanu, w murach cytadeli — gdzie druga epoka, drugie, szare pasmo mego żywota na ziemi ucisku, zacząć się miało.

XVI.

CYTADELA WARSZAWSKA.

XVI

CYTADELA WARSZAWSKA.

OBRAZ WIĘZIENIA STANU ZEWNĘTRZNY I WEWNĘTRZNY.

«Teraz też w gorzkości jest mowa moja.»

Księgi Hioba, xx, 2.

Bramę otworzono. Ujrzałem się pośród jedno-piętrowego gmachu, zbudowanego w kształcie kwadratu, którego wewnętrzny dziedziniec był przedzielony drewnianym parkanem. Pierwszy podwórzec i oficyny go okrążające, napełnione były żołdactwem, przeznaczonem do pełniena różnych obowiązków więziennych. Tutaj to przywiedli mię do jednej z izb sklepionych na dole, dokąd przybył kapitan od żandarmeryi, Żuczkowski — znany przez więźniów pod nazwiskiem Moroka, sławnego szarlatana z powieści Sue — i pierwsze słowa jakie usłyszałem, były:

«Rozbieraj się pan do naga!»

Gdy, posłuszny rozkazowi przemocy, stanąłem w postaci Adama przedpotowego, oddalono mię od sukni moich i odbyto najściślejszą rewizyę: szukano między palcami rąk, nóg, we włosach, pod pachami, w ustach. Potem oddano mi bieliznę obuwie, tużurek, paleto — popruwszy i przetrząsnąwszy je należycie — resztę zaś, jak kapelusz, szelki, chustkę, i t. d. — tudzież wszystkie drobiazgi kieszonkowe, kosztowności i pieniądze, zatrzymano u siebie.

Potem, Morok mruknął do żandarmów:

«Numer 44.»

I domyśliłem się, że moje nazwisko zmieniło się na «Czterdzieści cztery.» A gdy mię wyprowadzali:

— Na okna się nie drapać; po ścianach nie bazgrać! — rzekł.

— Ale czem? zapytałem — wszak nie mam nic!

— O, o, o! była jego odpowiedź.

Następnie, na dane hasło, furtka w parkanie się otworzyła, i postrzegłem z drugiej strony sierżanta na warcie, i sołdata z kluczem w ręku. Przeszedłszy drugi podwórzec, wstąpiłem do głównego korpusu gmachu.

Cichość w nim panuje, bo tu każdy myśli; stąpasz mimowolnie na palcach, z uszanowaniem, by nie przebudzić cieni żyjących męczenników — przestrach ogarnia na wstępie w te miejsca. Po obu stronach na pół ciemnych korytarzy, uderzają oko: rzędy drzwi, jedne przy drugich, numerowane, opatrzone żelaznymi ryglami, z wiszącym na każdych kluczem, i z okienkiem zasłonionem blaszaną klapą.

Są to pieczary wielkiego grobowca, zbudowanego dla myślicieli.

Izba 44ta otworzyła swą paszczę przedemną i zawarła się za mną — rozbrat ze światem! Co się wówczas we mnie działo, wyrazić nie zdołam.

Ujrzałem się w małej, zatęchłej celi, malowanej na zielono. Zmrok w niej panował, choć dzień był jasny na bożym świecie; szyby okna, acz wielkiego, zamazane były całkowicie grubemi, z obudwu stron, warstwami gipsu; a gęste kraty dodawały ciemności.

Były tu cztery kąty, piec piąty, i łoże ze słomianą poduszką, pokryte brudną, flanelową kołdrą. Oto moja kwatera!

Utykając czas jakiś po niej, ległem na twardym sienniku, czując się mocno strudzonym długą bezsennością, myślą i podróżą.

Jaki zaś był stan mój moralny, ten objaśnię, jeźli się da objaśnić, następującem wspomnieniem:

Parę lat temu, przejeżdżając około Niagary, słyszałem w wagonie opowiadającego Amerykanina, że Indyanin, zapędzony burzą na prąd tego wodospadu, gdy raz się ujrzy na nim, kładzie się spokojnie w łodzi, nakrywa głowę gunią, i pędzi wolą

wiatrów na złamanie karku, bo już nie ma dla niego ratunku. Otóż, z zimną rezygnacyą na wszystko co mię spotkać może, powiedziałem sobie: Kto tu zagrązł, nie powraca — i zmrużyłem obojętnie powieki na przygody losu.

Opiekuńcza władza, zapewne przewidując że nie miałem apetytu, nie znalazła się gościnnie, bo mi tego dnia jeść nie przysłano.

Ale za to wieczorem, gdy na chrzęst zaporów, nagle przebudzony, nie opatrzywszy się gdzie jestem, zerwałem się z posłania, drzwi się otworzyły, warta z kilku sołdatów otaczała je w półkole po na zewnątrz, pod przewodnictwem dežurnego żandarma, a weteran, posługacz, wszedł do komnaty, nasypał kupkę piasku na środku podłogi, i postawił na niej zapaloną łojową świecę, w glinianym lichtarzu. Tego samego wieczora, gdy służba zajęta była tem roznoszeniem piasku i światła, usłyszałem z prawej i lewej strony mojej celi, jakoteż z sufitu, pewne, miarowe stukania, zdające się coś wyrażać: lecz nie mogłem zrozumieć tego nowego dla mnie języka murów — i ze smutkiem pomyślałem, że zająwszy numer po kimś, zapewne biegłym w tej sztuce, przeciąłem mimowolnie komunikacyę, jedyną pociechę nieszczęśliwych.

Na pół rozmarzony, udając się stanowczo na spoczynek, obaczyłem w mem łóżku prześcieradło krwią zbroczone. Na ten widok, do drzwi zapukałem, żandarm przybiegł, powiedziałem mu żeby natychmiast dał znać komu należy, by prześcieradło przemieniono.

Uśmiechnął się tylko, żądanie moje zostało bez odpowiedzi i skutku.

Zaledwie zacząłem na nowo usypiać, znowu, z podobnemi jak poprzednie formalnościami, drzwi się rozwarły z łoskotem, weteran wchodzi, tą razą z nożycami w dłoni, aby objaśnić świecę, i to, pozostawiając knot swędzący w stancyi.

Za kilka minut znowu taż sama historya! Patrzyłem na nich, jak na nocne, przeszkadzające larwy prześladowania! I proszę sobie wyobrazić, że przez wszystkie nocy całego roku mego pobytu w cytadeli, larwy te, co kilka minut, snuły się z operacyą około knota, gorejącego u nóg moich, jak przy nieboszczyku.

Nie piszę tu romansu; pióro moje jest maczane w sumieniu i prawdzie — z tą książką gotów jestem stanąć na sądzie ostatecznym!

Nazajutrz rano ból głowy męczył mię niesłychanie. Przyniesiono bułkę chleba i butelkę wody. Później wpada żandarm i woła: «Odiewatsia do Komisyi! prędko, prędko, prędko!» Jak gdyby tam, Bóg wie, co ważnego było. W cytadeli wszystko jest skierowane do sprawiania przestrachu więźniowi.

Gdy się ubrałem co tchu i wyszedłem, jeden piechur z karabinem staje z przodu, drugi z tyłu za mną — dežurny żandarm przy pałaszu «Taszczy!» woła i pędzi nas przez różne korytarze na pierwsze piętro, unikając wszelakoż aby z drugim takimże konwojem, prowadzącym innego więźnia, przypadkiem się nie spotkać; aby więźniowie się nie obaczyli. — Gdy w innym korytarzu kogoś przeprowadzają, wtedy drzwi takowego zamykają mi przed nosem na czas potrzebny.

Na każdym korytarzu, sołdaci składający warty, w liczbie równej ilości stancyi więziennych, siedząc oddziałami, powstawali w szeregi za ukazaniem się mojem, trzymając karabiny, wsparte o podłogę, przed sobą. Zdziwił mię nadzwyczajuie ten tryb ich postępowania, zdawało mi się z początku, że broń prezentują — że to są jakieś szydercze honory; ale za bliższem przyjrzeniem się, dostrzegłem, że to forma ostrożności — że każdy żołnierz trzyma ręką za bagnet u wierzchu lufy, gdyby przez obawę, by mu go nie zerwano.

Ileż w murach tej wielkiej kostnicy zajść musiało okropnych wypadków, które posłużyły wrogom za lekcye doświadczenia w ich działaniach, a dla nas są pokryte kirem, może wiecznej tajemnicy!? —

Gdym przybył przed wielkie drzwi komisyi śledczej, żandarm kazał mi się zatrzymać, a sam przyłożywszy ucho do dziurki od zamku, pomruknął, że nie pora jeszcze. — Oczekując, zamknął mię w przyległym numerze, gdzie nic nie było, wyjąwszy mnóstwa brzozowych pęków.

Nareszcie mię przyzwano. Zmiana dekoracyi. Ujrzałem się w sali, w pośrodku której przy wielkim stole, nakrytym zielonem suknem, siedziała pyszna trójca, a mianowicie: na pierwszem miejscu, błyszczący w złotych naramiennikach i przy orderach,

jenerał Jołszyn, jako słońce — a obok niego pułkownik żandarmów Leichte i major Szwajkowski [1], jako dwa niebieskie satelity. — Skłoniłem się trójcy na prawo i lewo, a słońce ozwało się do mnie, po polsku:

— Co pan tu porabiasz?

— Proszę mi pozwolić oznajmić, że w ciągu niespełna jednej doby, postępowanie ze mną w cytadeli, pomijając podróż jaką odbyłem, tak mię znużyło, że nie jestem w stanie, nie mogę odpowiadać dzisiaj na żadne indagacye.

— Jakie postępowanie? — co to znaczy?

— Tak, jenerale. Morzą głodem zaraz na wstępie — dają pościel po jakimś trupie czy kalece — całą noc wpadają jak mary, pod pozorem objaśniania świecy — a przytem, zachciało się żołnierzom straszyć mię, jak dzieciaka, zamykaniem do składu rózg. «Nie zasłużony, ale szczęśliwy» dodałem z gorzkim uśmiechem.

— Pościel ja każę oczyścić; co do innych pretensyi, jak świecy, to jest zwykły tutejszy porządek. — A teraz, masz pan tu kilka arkuszy papieru, zacyfrowanych moją ręką. — Odpoczywając, pisz sam swój protokuł. — Zostawiamy mu wolność zupełną.

I na tych słowach, zawróciłem się do wyjścia.

— A propos, czy pan już po kawie?

— Nie, jenerale.

— To można kazać sobie przynieść a conto własnych funduszów, jeźli masz z sobą takowe.

— Dziękuję!

Po tej wstępnej rozmowie, powróciłem do mej klatki.

Za chwilę, Morok czyniąc zwykły ranny obchód więzienia, przyszedł z księgą i ołówkiem w ręku.

— Jak się mają? rzecze, poglądając na kraty i ściany.

— Kto jak się ma?

— Pan.

— Dziękuję; dobrze.

— Czy czego nie potrzebują?

[1] Wypędzony ze służby za łajdactwo, ze stopniem jenerała, w r. 1860.

— Kto?

— Pan.

— Kawy, z rozkazu jenerała.

Morok na stronicę 44 kawę wprowadził — i niezadługo, jakieś fusy, pod nazwiskiem kawy, zjawiły się z jego kuchni, za które drożej, jak za mokkę w kawiarni u Zuzi, zapłacić sobie później kazano. —

NAPISY NA MURACH.

Popiwszy tedy fusów, zacząłem rozpatrywać się bliżej w nowem mieszkaniu; a nazwyczaiwszy już nieco oczy do zmroku w niem panującego, postrzegłem wyraźniej ściany podrapane w około i poznałem, że to wszystko były, jużto świeżo, już dawniej zacierane napisy, w różnych językach — jakoteż nazwiska osób, które na pierwszym wstępie nie uderzały wzroku. W zakątkach jednak, jak między kaflami pieca, na nogach łóżka, pod krawędziami okna, i t. d., dostrzegłem jeszcze mnóstwo, już to napół zatartych pyłem czasu, już całkowitych napisów, które, zwłaszcza wieczorem, za przybliżeniem świecy, stawały się czytelnymi. Oprócz napisów zwykłemi literami i rysunków, znajdowałem także — podobnie jak we wszystkich innych celach, dokąd mię później przenoszono — wiele wierszy kropkowanych dziwnym rozkładem. Mniewałem więc, że pod tymi nowoczesnymi hieroglifami utajone myśli spoczywają, i że to jest język piśmienny porozumiewania się między więźniami — podobnie jak pukanie zastępować im musi ustny.

Ale jak dojść do nauczenia go się samemu? Oto zagadka.

Oczekując jej rozwiązania, pójdźmy odgrzebywać myśli oryginalne i z różnych autorów wzięte, wyrażone po większej części w języku aniołów, w poezyi a rzucone na martwe mury tej Pompei, która pochłonęła tylu ziomków naszych. Któraż z polskich rodzin nie opłakiwała tam kogoś blizkiego jej sercu?

Oto jego słowa:

«W lochu ciemnym, wilgotnym,
Więzień na słomie leży;
K' woli chwilom samotnym,
Pamięcią w przeszłość bieży,
I co kochał, co lubił,
Czemu duszę poślubił,
Z czem myśl, życie skojarzył,
O wszystkiem — wszystkiem marzył.»

«Dulce et decorum est pro patria mori.»

«O luba Polsko! krwią zbroczona niwo,
Los zajrzał twoim wawrzynom;
Ale im więcej jesteś nieszczęśliwą,
Tym jesteś droższą twym synom!» —

«Skoro nieszczęście dni twoje zachmurzy,
Uzbrój się cnotą i męztwem zuchwałem;
Cnota prawdziwa nie lęka się burzy,
Rozpacz jest tylko słabych dusz udziałem.»

«A kto wszystko za kraj stracił,
Kto Ojczyznie służył szczerze,
Ten spokojny i w Sybirze;
Bo część długu już odpłacił!»

«Księże! Czy ty znasz moskiewskie batogi?
Czy wiesz, że wszelka władza od Boga pochodzi?»

KSIĄDZ.

«Wiem, że i władza szatana od Boga pochodzi.»

«Wszystko mi, wszystko, niebiosa wydarły,
Lecz reszty dumy odebrać nie mogą.»

«Skazany zostałem dnia — do ciężkich robót do Nerczyńska, na całe życie.»

«O! oddajcie mi moje ułudzenia stare,
Miłość — nadzieję — i wiarę!»

«Niewinnie cierpiałem.»

«Z prochów naszych powstaną mściciele.»

«Bonaparte powiedział, że gdy dusza jest chorą, potrzeba ją leczyć, jak się leczy rękę albo nogę. Ja krzepię ducha mojego jedynie nadzieją.»

«Niech przepadnie świat, a niech istnieje sprawiedliwość!»
«Będą ci pokazywać oskarżające cię protokóły z podpisami twych kolegów — nie wierz! — żądaj naocznej konfrontacyi.»

«Czyż ty żyjesz jeszcze Feliksie?»
«Żyć czy nie żyć?»
«Czyż dane mi życie jest mą wyłączną własnością?
«Co wolno było Katonowi, niewolno Chrześcianinowi—»

«Za przeszłością żale ronić,
W obecności cierpieć skrycie,
Za przyszłością nie śmieć gonić,
Ach — to jest śmierć takie życie!»

«Dzieckiem w kolebce kto łeb urwie hydrze,
W młodości zdusi Centaury,
Ten piekłu ofiary wydrze,
Do nieba sięgnie po laury.
Hej! ramię do ramienia!—»

«Śpią po mogiłach mężni bracia moi»
A do mnie nawet sen się zbliżyć boi.»

«Bo jadłem świata gorzkie, zatrute kołacze,
To mi ciężko na sercu i dla tego płaczę;

A jeźli się rozśmieję, to jak za pokutę,
A jeźli będę śpiewał, to na smutną nutę,
Bo w mojej zwiędłej twarzy, zamieszkała bladość;
Bo w mej zdziczałej duszy, wypleniono radość.
. . . . . .
Jest trosków, kolców, bolów, nie mało w tem życiu,
I więcej niż na jawie, płynie łez w ukryciu.
A kto się hucznym śmiechem wśród jęków odzywa,
Jak szalony w szpitalu, szczęsnym się nazywa.»

«I w słowie własnem zaparłem siebie.»

«Na Saskim Placu, siedmiu kpów,
Strzegą cztery orły, ośm lwów!»

«Poczekajta-no kopułki!
Przyjdą jeszcze z Francyi pułki;
My nie chcemy obcej wiary,
Wrócą nasze i Pijary.»

«Gdy młodzieńcowi ranne rozśmiały się chwile,
Chciał być zwycięzcą na widowniach fali,
W tem go nagle do portu porywają wody;
Wybiegł na ląd żeglarz młody
I odpoczął na mogile,
I już nie pojechał dalej.»

«Z piekła rodem Katarzyna,
Moskalami nas zalała.»

«Myśl o was, jak trupią woń,
Będą odganiać potomni,
Będą schylać smutną skroń,
Ile razy kto was wspomni:
— My nie mieli przodków, nie. —
Rzekną, kryjąc wstydu łzę.»

«Nasze zagrody wywracają kury,
I dachy nasze runą nam na głowy;

Kamień i glina i piasek gotowy,
Złóżmy je w jedno, a ujrzymy mury.«

«Wszelkie Królestwo, wszelkie miasto i wszelki dom rozdzielony w sobie, nie ostoi się i upadnie.»

«Do jedności więc przedewszystkiem. Bracia! do jedności!»

«Komisya czyha, by nas poróżnić i w mętnej wodzie ryby łowić.»

«Panie Boże! Ojcze nasz!
Który jesteś w niebie:
Ty potrzeby nasze znasz,
Błagamy więc Ciebie.
Niech będzie wola Twa święta,
Przyjdź Królestwo Twoje Panie,
Skrusz jarzmiące Polskę pęta,
Daj wolności ponowanie.»

---

i t. d.

Ale następujący wiersz szczególniej mię zaintrygował:

«O mes amis! Le retour serait doux!
Je voudrais aimer et vivre encore;
Mais s'en est fait. Ce ciel que j'amais me dévore,
Plaignez-moi mes amis, car je meurs loin de vous.»

Byłyż to słowa Francuza umierającego? —

Przyniesienie mi obiadu o południu, przerwało poszukiwania. — Siadając do stołu i na nim postrzegłem cieniutko wyryty napis: «Testament. Wysuń szufladkę, przewróć, i odskrob zaschły chleb w szparze.» Łatwo się domyśleć, że przystąpiłem natychmiast do odszukania testamentu. Znalazłem stalowy trzpieniek, podobny do osi wydobytej ze sprzączki, i na jednym końcu zaostrzony. Nie mogąc zrozumieć jego znaczenia, z uszanowaniem zachowałem go nazad, w przekonaniu, że wielce użytecznym będzie, skoro mój poprzednik aż testamentem go leguje.

Nie darmo Żuczkowski powiedział: «po ścianach nie bazgrać.» Wzięła mię teraz ochota połknąć jego drugi owoc zakazany: na okno się wdrapać; i u góry, w lufciku, zrobić obserwatoryum; lecz że okno było wysoko, a wasser-zupka stygła, wziąłem się najprzód do drewnianej łyżki.

JAK KARMIĄ W CYTADELI?

Śniadanie, jak powiedziałem, składa się z bułki chleba i butelki wody: chleb ten ma służyć i do obiadu; wody na żądanie żandarm dostarcza więcej.

Obiad z trzech potraw:

Jakaś rumforska zupa, pod nazwiskiem rosołu — było nazwisko, brakowało tylko rzeczy. — Przynoszono ją w cynowej salaterce, do której zamięszał się niekiedy strzępek sołdackiej szynieli kucharza, lub kuchty. Na salaterce był wyrżnięty numer stancyi.

Drugą potrawą, do której nie dawano widelca ani noża, była sztuka-mięsa, zwykle wybrana z jakiegoś ochłapa, że się tak wyrażę, a to z powodu oszczędności gospodarza Moroka.

Trzecią, jeźli można ją liczyć, był sos na kwaśno do mięsa, który miał służyć i za desser. Lecz jeżeli nie sos, to gliniane miseczki, na których go podawano, były wielce ulubione przez więźniów; gdyż nie będąc opatrzone numerami, koczując do różnych stancyi, z jednej części gmachu do drugiej, gdzie trafem popadły, przenosiły zazwyczaj na dzień-dobry, w dyskretnych na sobie kropeczkach, zakazaną kontrabandę: różnego rodzaju nowiny, zapytania i odpowiedzi — słowem, służyły za telegrafy depeszy wewnętrznych naszej więziennej republiki.

Na tym obiedzie dyety utrzymywano więźnia, dopóki pierwszych indagacyj z nim nie skończono, co częstokroć dosyć długo trwało; później otrzymywał w dodatku kawałeczek pieczeni i trochę jarzyny.

W wigilię Bożego Narodzenia nastąpiła przemiana: zjawiła się śledziowa główka z kartoflami zaprawnymi octem i oliwą, nadto butelka piwa, na całodzienny posiłek. Główka ta przynosiła chociaż tę korzyść, że jeźli który z więźniów stracił datę miesiąca lub dnia, mógł za ujrzeniem jej sprostować swój kalendarz, już to w głowie lub na ścianie znaczony; a co większa, przenieść się myślą w grono rodziny lub przyjaciół, łamiących się opłatkiem i zostawiających jedno krzesło próżne przy wieczerzy.

Na Wielka-Noc zaś, święcone było wyśmienite. Z przyniesionego talerzyka, napełnionego kawałkami jajka, różnych ciast i mięsiw, już nie zalatywał zwykły sui generis zapach kuchni morokowej, a tłomaczący się przez dziegieć; ale uderzała powonienie miło woń ciast, w których matki nasze celują; ciast nadesłanych przez dobroczynne Polki, troszczące się o nasze Alleluja.

A jednakże kuchnia Moroka dostarczała marcepany, w porównaniu z tem, co dają za pokarm wygnańcowi, gdy go już nazwą sołdatem, tam — po za Wołgą i Uralem; pokarm, którego do ust nieprzyzwyczajonemu wziąść niepodobna, bez zamrużenia oczu. —

Co do kuchni prywatnej, jeżeli kto z krewnych, lub znajomych uwięzionego, postarał się za pomocą wpływów swoich, o pozwolenie dostarczania mu artykułów do pożywienia, mógł mu dosyłać przekąskę raz na tydzień, w poranek Sobotni; rozumie się, jeźli się to nie sprzeciwiało widokom komisyi śledczej — ale wtedy wszelkie mięsiwo czy ciasto, krajano drobno, szukając jakiej ukrytej korespondencyi. — Rzadko się jednak zdarzało, ażeby z odbieranych przez Moroka posyłek, wszystkie dochodziły więźnia — zapewne także przez oszczędność.

Myślę, że z powodu częstych ekonomji, musiał on w prędkim czasie przeistoczyć dom swojej żony, na krainę mlekiem i miodem płynącą; dom żony, bo sam na korytarzach więziennych zwykle przemieszkiwał.

Że zaś nie ma reguły bez wyjątku, zwłaszcza we wszystkiem, u rządu rossyjskiego, jeżeli tedy komisya rozporządziła, że temu lub owemu z zamkniętych, ma być dostarczana porcya rumu lub wina — Morok ścisły był w wykonywaniu rozkazu.

Może kto zarzuci: «Jakto, trunek więźniowi? — chyba na wiwaty rozpaczy — przecież to się nigdzie nie zdarza.» Otóż dla tego, że nigdzie, zdarza się w cytadeli; bo dla komisyi wszelki środek jest dobry i prawy, najkrzywsza droga prostą, byle do celu prowadziła —

Lekarz urzędowy bardzo trudne ma tam obowiązki, częstokroć ciężkie na sumieniu ołowie — a biedny więzień, zwłaszcza nowicyusz, nie wie, zkąd następuje nagła zmiana w jego mózgu i systemacie nerwowym. I wy, sami Warszawianie, nie wiecie, co się u was dzieje!

Nie mam zamiaru oskarżać medyka, jak nie oskarżam nikogo, cierpienia osobiste zostawiając ubiegłej przeszłości; wyznam tylko, że jego głęboka ironja, pokryta pięknemi słowy, w lekarzu odwiedzającym więźniów cierpiących, jedynie za własne przekonanie i coś daleko świętszego, co prawy Rossyanin zrozumieć potrafi, bardzo mi się nie podobały. Wyznaję także, mając na uwadze dobro publiczne, że w ciągu uwięzienia, doznałem pierwszy raz w życiu, dziwnych paroksyzmów gorączkowo-nerwowych, jakich i współ-koledzy moi, których później spotykałem na wygnaniu, doświadczali, i że niektórzy z nich dowodzili, że więźniowie unoszą z cytadeli zaród trucizny, denerwującej zwolna.

Nie mogąc ze skutków na sobie dojść rzeczywistych przyczyn, żadnego w tym względzie sądu wydać nie mogę. To jednak pewna, że choć obecnie stąpam po ziemi wolnej, doznawałem i tu jeszcze, ze starych zabytków, jakiejś słabości, przestrachu, acz chwilowego, z którego sobie sprawy zdać nie potrafię. Na wygnaniu zaś, wzbudzał go najczęściej, huk jakiś niespodziewany, komenda, groźba, lub bęben mikołajowski, jęk konającego w szpitalu podczas mojej warty, lub piętnowanie kobiet na szafocie.

Czy zaś cytadela tego przyczyną, późniejsze a zbrojne towarzystwo, przerażające widoki, lub wszystko razem wzięte? powiedzieć nie potrafię.

Truciciele! okropne to przypuszczenie — —

Mniemałbym raczej, że szkodliwa woda z Uralu, że postępowanie rządu z Polakami, oddanymi w sołdaty, za tak

zwane polityczne przestępstwa; rządu, skazującego ich jednych tylko, pod pozorem służby wojskowej, na gnicie bezczynne w koszarach, lazaretach i aresztach, pod nadzorem i ciągłem prześladowaniem barbarzyńskiego żołnierstwa, są pewniejszym, niż wszystkie inne, zarodem trucizny, działającej na ciało i umysł, wytkniętych palcem carskim ofiar.

PROTOKÓŁ.

Dnia następnego Morok, z wielką księgą i swojem: «Jak się mają i czy czego nie potrzebują» zjawił się. — Nic od niego na ten raz nie potrzebowałem, ale on zażądał odemnie protokółu. — Przyobiecałem mu więc przygotować go nazajutrz, a gdy wyszedł, zacząłem się zastanawiać, jakby w rzeczy samej skreślić ów dokument, na którym losy moje ważyć się miały? Lękałem się, wiedząc jakich mieć będę sędziów, każdego wyrazu, mającego wyjść z pod pióra mego, ażeby w nim nie upatrzono dwuznaczności i nie wytłumaczono w przekładzie rossyjskim wedle swego widzimisię, na moją niekorzyść.

Wszak wiadomo, że Wolter, nawet w najwznioślejszych słowach Modlitwy Pańskiej, umiał fałsze znajdować, gdy chciał koniecznie tego — czegóż więc oczekiwać nie można było od Leichtego, którego szatański spryt i zła wola były gieniuszami cytadeli? —

Mając arkusze papieru porachowane i nie mogąc nic zużyć na brulion, ale pisząc od razu na czysto, obawiałem się czynić najmniejszej poprawki, aby i ta nie dała powodu nieprzyjaciołom do wyprowadzania jakichś wniosków. Zaprawdę, trudno jest czynić wyznania człowiekowi, który nie ma wiary w poczciwość sędziów swoich. Namyślałem się długo, zanim siadłem do pisania nieszczęsnego protokółu.

Przyszła nawet na pamięć obrona pewnego obywatela krakowskiego, mającego czynny udział w powstaniu w roku 1846,

który wyrwał się przecież z matni swych badaczy. Obronę tę, mniej więcej, za wzór prostoty w tłomaczeniu się przyjąć zamyślałem. Szlachcic w tym guście się tłumaczył:

«Jakkolwiek zarzucają mi panowie, że byłem powstańcem, a to z powodu, że mię widziano z bronią w ręku w liczbie innych, wszelakoż zdanie to mylne jest. — A oto, jak się rzecz miała:

«Szedłem sobie najspokojniej ulicą, gdy ni ztąd ni z owąd, napada na mnie jakaś gromada ludu zbrojnego «Chodź z nami!» wołając. Z razu nie poszedłem z nimi, ale chciałem przedłużać zamierzoną drogę, gdy oni kulą w łeb mi zagrozili. Kula w łeb, mości dobrodzieju, to były nie żarty. Chcąc nie chcąc, musiałem iść i patrzeć, jak drugich podobnie werbowano.

«Przechodząc około Magistratu, wymknąłem się im przecież z zamiarem zaniesienia użalenia samemu dyrektorowi policyi — ale proszę sobie wystawić mój zawód, gdy cały gmach pusty znalazłem, bo policya gdzieś się podziała — ja zaś wyszedłszy, drugą gromadę w ulicy spotykam, która znowu mię z sobą zabiera.

«Pytam się, dokąd mię prowadzą? Do szarej kamienicy! odpowiadają.

«Szara kamienica — szara kamienica wszak tam żadna z władz nie przemieszkuje? — myślę, ale już nic nie mówię i idę za drugimi. Przybywam na miejsce, aż tam widzę chorągwie powywieszane, i powiedziano mi, że tam jest Rząd Narodowy. — Zapisano mię, dano broń, i naturalnie, nosić ją musiałem, skoro nowy rząd rozkazał.» —

Nazajutrz, gdy Morok mię wezwał dla odczytania protokółu, poprosiłem przedewszystkiem, aby mi oznajmić raczono przed kim staję: czy przed Trybunałem, lub komisyą śledczą? i kto są członkowie, których mam zaszczyt widzieć przed sobą?

Odpowiedziano, że ta wiadomość wcale mi na teraz nie potrzebna. Dodałem, że nie wiem, kto i o co mię oskarża, a w każdym razie, nie znając prawa krajowego i nie wiedząc, na mocy jakiego prawa w cytadeli odpowiadać winienem, w razie czynienia mi zarzutów, z powodu których zapewne aresztowany jestem, prosiłbym o przydanie mi adwokata.

— A cóż to? czy pan zabiłeś albo zrabowałeś kogo, żeby ci aż mecenasów potrzeba było? odezwał się Leichte.

— Właśnie też, że nie poczuwam się do żadnej zbrodni, nie przewidując, czem mogłem wykroczyć przeciw prawu karnemu, spisałem tylko, na żądanie, krótki bieg życia mojego; bo nawet nie rozumiem dostatecznie, co znaczy słowo «protokół».

Potem, odczytawszy mój rodowód, wyraziłem, co tu w treści przytaczam:

«Działo się w Warszawie, w 1846 roku. Przybywszy tam, w przedmiocie naukowym, za paszportem krajowym, zostałem, zatrzymany w skutek fałszywej denuncyacyi, zaniesionej przez złego człowieka, nazwiskiem Brzezańskiego, do ober-policmajstra miasta Warszawy, jenerała Abramowicza.

«Donos był najnielogiczniejszy w sobie, bo oskarżał mię o szkodliwe wpływy. Jakie wpływy mógł mieć 19° letni młodzieniec, który świeżo opuścił ławę szkolną? — Oskarżał mię oraz o zakazane rozmowy przeciwko rządowi, jakoby prowadzone z donosicielem Brzezańskim; nadto o zamiar udania się tajemnego za granicę i namowę do tego jego, którego osobiście nie znałem. Wiem tylko, że człowiek mieniący się być tego nazwiska, przychodził często do hotelu, w którym na czas mego pobytu w stolicy zatrzymałem się i że usiłował narzucić mi się ze swą znajomością.

«Oskarżyciel nie złożył żadnych dowodów na swój donos; nie wyraził nawet przyczyn, dla których miałem, jak twierdził, udać się za granicę w charakterze tajemniczym.

«W skutek jego doniesienia, zatrzymany w hotelu rzeczonym, i po kilkodniowem uwięzieniu mię w policyi, zostałem wydalony do Rossyi, bez odbytego śledztwa i sądu nademną; bez powziętego o stanie mego zdrowia zdania lekarskiego, zanim udałem się w podróż; słowem, z pominięciem wszelkich formalności prawnych.»

— Musiała być konfirmacia Namiestnika; przerwał Leichte.

— Jeżeli była, takowej mi nie odczytano, nie pokazano — nie podpisałem jej; nie mogłem więc i nie mogę, jak tylko uważać ją za nie byłą — a sam, nie przekonany będąc przez władzę o żaden postępek przeciwny kodeksowi karnemu, uważałem się i uważam za ofiarę jakiejś okropnej pomyłki, jeźli nie gwałtu publicznego.

— Ale co nam pan tam za androny prawisz! Co nam tam

do poprzedniej sprawy jego rzecze znowu Leichte. Wreszcie — proszę czytać dalej.

«Opuściwszy Warszawę w gronie złoczyńców, nie widziałem za co, dokąd, i w jakim celu mię pędzono?

— Czy słyszy jenerał? A to czyste tysiąc nocy, powiastki arabskie, młodzieniec nam opowiada. — Czy i przysięgi także nie wykonałeś? Czyż nie wymawiało się wyraźnie i nie podpisywało, że sztandaru do ostatniej kropli krwi bronić się będzie? Wszak łatwo było wiedzieć, że się nie idzie na księdza, ale na żołnierza.

— Być może, łatwo to było dla kogoś innego. Co do mnie, ja się tego nie domyśliłem. Zbyt byłem młody, niedoświadczony, kiedy mię przywiedziono zbrojno do przysięgi — nie ma się więc czemu dziwić, jeżeli w stanie przelęknienia, w jakim się na stopniach ołtarza znajdowałem, nie byłem zdolny do zastanawiana się nad wyrazami, które mi kapłan po sobie powtarzać kazał. — Słysząc zaś niegdyś, że każdy z mieszkańców kraju, winien wykonać przysięgę, tak zwaną, homagjalną, na wierność najjaśniejszemu panu, przysięgałem w przekonaniu, że po raz pierwszy takową homagialną przysięgę składam. Mniemałem nawet, że może przyczyna aresztowania mię była ta, że dotąd tej przysięgi nie wykonałem.

— A czy do przysięgi nie poszło się z włosami ostrzyżonemi; już nie we fraczku, ale w uniformie rekruckim?

— Tak pułkowniku — i to właśnie było przyczyną powiększenia mego przerażenia przy akcie uroczystym. Z drugiej strony, że włosy mi ostrzyżono, jak strzyżono, a nawet golono wszystkim w partyi, do której wcielony byłem, nie wyłączając i okutych w kajdany; jakoteż, że mi dano szarego koloru opończę za ubranie, na której nie znajdowało się metalowych guzików, numerów, ani kołnierza lub wypustek kolorowych, co się daje spostrzegać zwykle na wojskowych, to mię nie przeświadczało o nadanym mi charakterze wojskowym, jeźli go nosiłem.

— A więc pan nigdy w życiu swojem rekrutów nie widziałeś? Gdzie się pan wychował? zapytał Jołszyn.

— Wychowałem się tu w Warszawie — tu byłem w szkołach. — Wśród wielkiego miasta zajmowały mię inne widoki — może i rekruci przechodzący kiedy około mnie, zwrócili na się

me oko, podobnie jak wiele innych przedmiotów, ale nie uwagę; bo ich sobie nie przypominam.

— Szedłeś pan do wojska. — Wszak i my wszyscy, których tu widzisz, nie odrazu zostaliśmy oficerami. Każdy początek jest trudny. Nie ma więc co narzekać, jeżeli się losem popadło pod przepisy konskrypcyi. Wreszcie, ta cała historya, do nas nie należy.

— Upraszam jenerała o łaskawe wysłuchanie końca mego sprawozdania.

— Słuchamy! słuchamy!

— Papiery, mianowicie: świadectwa szkolne i wybór jedynactwa — z adoptacyi — na mocy którego nie mogłem być oddany do wojska ze zwykłego naboru, jako popisowy, zostały mi przy rewizyi odebrane przez policyę i nie zwrócone.

«W ciągu drogi, byłem opanowany słabością, która zostawiona bez pomocy, mogła zamienić się w chorobę. Czując się niezdolnym do wytrzymania ciężkich trudów długiej podróży i zbyt surowego obchodzenia się z mną na stójkach, walczyłem między życiem a śmiercią. Nie mogłem starać się o przyniesienie mi ulgi, będąc otoczony bagnetami. Poddałem się rozpaczy, i pod jej wpływem korzystałem, nierozmyślnie, ze sposobności ucieczki, i poszedłem, gdzie mię oczy poprowadziły.

«Później atoli, zastanowiwszy się nad własnym postępkiem, nie wiedząc co począć, żałowałem go, ale juz zapóźno. Obawa otrzymania kajdan, odwiodła mię od powrotu na etap; i przedsięwziąłem dostać się do Warszawy, w celu zaniesienia użalenia do JO. Księcia Namiestnika.

«Lecz błąkając się po lasach, aby nie być schwytanym i związanym, jako nie posiadający paszportu, wyszedłem w końcu na drogę, która mię doprowadziła do Brodów, miasta o kilka mil położonego od punktu, z którego poważyłem się uciec. W Brodach dopiero, rozpatrzywszy się, poznałem, że mimowolnie wstąpiłem do posiadłości austryackich.

(Uśmiech audytorów.)

«Raz za granicą poznajomiłem się z kilkoma cudzoziemcami; nadarzyła się sposobność odbycia podróży po Niemczech i Włoszech, z której jako młody człowiek, powodowany ciekawością zwiedzenia obcych krajów, korzystać nie omieszkałem; zawsze

jednak z zamiarem starania się, po ukończeniu onej, za pośrednictwem jednego z pp. ambasadorów, o sprostowanie krzywdy mi wyrządzonej, jedynie przez dozwolenie powrotu i wolnego przemieszkiwania w kraju.

«Wszczynające się zamięszania w Europie w r. 1848, przyspieszyły ten powrót. Aby uniknąć rewolucyi, przybyłem do kraju, zdając się na łaskę Jego Cesarskiej Mości, którego jestem poddanym.

«Zważywszy, że czyn złej woli, nadużycie, lub pomyłka, w r. 1846, powyżej opisane, były źródłem, z którego wypłynęły wszystkie moje nieszczęścia w następności, mam honor upraszać najpokorniej dostojne posiedzenie, aby sprawę tę roztrząsnąć i zawiadomić władze wyższe raczyło.

«Któż z panów zaprzeczy, że gdybym nie był niewinnie strącony z drogi sobie właściwej na fałszywą, los mój nie wziąłby był innego kierunku? Odwołuję się do chrześciańskiego sumienia panów.» —

Po wysłuchaniu niniejszego, żaden z audytorów nie wyrzekł ani słowa; ołowiane, bez wyrazu, oko suchotnika Leichtego, zawisło na mnie. Jołszyn skinął, abym papier złożył na stole, co uczyniwszy, opuściłem posiedzenie.

PORÓWNANIE WIĘZIEŃ AUSTRYACKICH Z ROSSYJSKIEMI. SYLVIO PELICCO.

Jakże przykre jest przebudzenie się więźnia i jego zapytanie gdzie jestem? gdy czuł we śnie ciepłą rękę brata, siostry, lub przyjaciela! Widok kraty spycha go nagle z eterycznego świata do smutnej rzeczywistości.

Ileż to razy, w owem echu gwaru Warszawy, które dolatywało mię jak żałosne pienie, jak smętna przegrywka myślom, zdało mi się słyszeć zmięszane głosy osób ukochanych, mieszkających blizko, a nie domyślających się o mym losie!

Na myśl o matce, przedstawiała mi się Golgota i łzy Maryi; wtedy, o ile smuciłem się że jej widzieć nie mogę, o tyle cieszyłem, że oszczędzoną jej została boleść oglądania mię w więzieniu.

Upływały dni, tygodnie i miesiące, odkąd złożyłem był protokół; miesiące, jak wieczność długie, a najmniejsza zmiana nie zaszła w mem życiu jednostajnem. Myślałem, że nawet komissya zapomniała o mnie.

Może byłby zajmującym opis mych walk wewnętrznych, jako historya człowieka, jego upadku i rozwoju w niedoli, wśród obawy, powątpiewania, ludzkich słabości, wśród głosu własnego sumienia, wiary i nadziei w Boga; lecz opis podobny przeszedłby zakres pisma tego, w którym jednak mniejbym, bez wątpienia, użytecznego powiedział nad to, co już nam wyraził pod tym względem Sylvio Pelicco w swoim, że tak powiem, hymnie cierpienia, poświęconym Bogu i ludzkości.

Szczęśliwy, że mógł w najcięższych więzieniach austryackich znajdować pokarm dla duszy, tę mannę go pokrzepiającą, na której mi zbywało; że i tam nawet mógł świadczyć drugim dobro.

«Moje biedne serce, mówi on, ty kochasz tak łatwo i tak gorąco!»

Dla człowieka uczuciowego, dla którego miłość jest życiem, jakaż to pociecha módz wylewać się do podobnych sobie istot! Sylvio znajdował tę pociechę. Więźniowi Cytadeli jest ona odmówioną, przez jakieś ciężkie na niego losów zagniewanie!

Sylvio znajduje głucho-niemego malutkiego przyjaciela w więzieniu w Medyolanie, kształci go i myśli o jego przyszłości; podziwia śpiew czysty jednej z sąsiadek: «Któż odda nieszczęśliwej szczęście które straciła?» nuciła Magdalena — rozczaja upór dozorcy Schillera do tego stopnia, że ten ukazuje czułość serca, jaką starał się ukryć. Wszystkie istoty które napotyka, mówią; gdy w Cytadeli języki są skostniałe pod groźbą Moroka. Jeźli się odezwiesz do żandarma lub posługacza, próżne twe słowa, bo struchlały, milczeniem odpowiada. Zdaje ci cię, że te strwożone postacie, zaparły się nietylko języka, ale i myśli!

Sylvio: rozmawia w więzieniu z mieniącym się być synem Ludwika XVI, koresponduje z drugimi więźniami, widuje swych współkolegów, ma biblią, klucznicy dostarczają mu książek; bywa w kościele w gronie swych przyjaciół, słyszy pieśń pobożną kobiet przy muzyce organu, stacza w listach polemikę, nawraca towarzyszów niedoli do wiary, pociesza i jest pocieszanym, uduchownia się — żyje!

Nawet pod ołowianym dachem w Wenecyi, przychodzą do niego małe dziatki. Naiwna Zanze, córka dozorcy, przynosi mu kawę, mówiąc: «To ja tę kawę robiłam» albolitež: «Gdy nie widzę mego narzeczonego, wszędzie mi się nudzi, wyjąwszy tutaj.»

«Wizyty Zanzy, powiada, pokrywały rzeczywistym wdziękiem moje nieszczęście i podwajały życie. — Jej towarzystwo było dobrodziejstwem, ono łagodziło mój charakter.»

Piekąc się w gorącu, skąsany od komarów, zapytuje siebie: «Czy chciałbyś być wolnym i przejść do innego mieszkania ochłodzonego miłym zefirem, lecz nie widzieć więcej tej serdecznej dziewczyny?»

«Wyznam, dodaje, że nie czułem odwagi, aby odpowiedzieć sobie na to pytanie.»

O! ileż to zasiłków życia, które dopomagały austryackiemu więźniowi do nabierania otuchy, do powstawania z upadku, któremu poddawała się niekiedy jego dusza, do ukochania bliźniego, więcej jak samego siebie! — Okoliczności powyższe, jako mnóstwo innych, rozwijały błogo jego charakter. Czuł on za milion swych współbraci, i znajdował szczęście w uczuciu własnem; a postępując tą drogą, wzniósł się nakoniec do najwyższej potęgi, archanielskiej czystości ducha: nauczył się przebaczać swym katom!

Ale w Cytadeli, wszystko coby mogło budzić w człowieku myśl i uczucie, władza usuwa. Tam więzień nie zobaczy uśmiechu małych dziatek, jak nie zobaczy promieni wschodzącego słoneczka. Nikt nie poważy się podejść do jego okna, chyba zapędzona wiatrem ptaszyna — nikt do drzwi, oprócz skradającego się cichaczem żandarma — nikt do jego celi, oprócz milczących mar objaśniających świecę, jak przy nieboszczyku. Tam on męczony, nie mogąc znieść częstokroć przygotowanych sideł, zdrad i piekielnych katuszy, zaczyna się śmiać z Boga, z świata, z ludzi; dziczeje, przestaje kochać, zamienia się w kamień! a raz znalazłszy się w tym stanie, trudnym staje się mu powrót do uczuć wzniosłych.

Pelicco nawet, mówiąc o uniesieniach rozpaczy, powiada: «Przestawałem modlić się, powątpiewałem o sprawiedliwości boskiej, przeklinałem ludzi i świat cały, i przypominałem sobie wszystkie sofizmata naśmiewające się z cnoty.»

W Cytadeli nie ulituje się nad więźniem żaden Schiller dozorca, bo takowego tam nie ma. Tam biedny żołnierz, z bronzową twarzą pokolenia mongolskiego, w zbroję okutą, pilnujący ciebie, zmienia się z warty i ucieka ztamtąd; następuje drugi, trzeci i dziesiąty, podobny do pierwszego, i ci wszyscy nikną, nie wyrzekłszy i nie przyjąwszy ani jednego słowa.

Czuła piosenka żadnej Magdaleny, choćby występnej Magdaleny, zawsze jednak młodszej siostry naszej w Chrystusie, nie ozwie się także, bo i tej tam nie ma — usłyszysz czasami o zmroku, cichym głosem, wydobywającym się zkądsiś, jak z pod ziemi, zanucone słowo z psalmów Dawida; głosem, jednego z uwięzio-

nych kapłanów, wystawiających się na karę za przestąpienie milczenia, dla chwały bożej. Usłyszysz jęk opodal, lub suchy kaszel piersi, w której ostatnie pękają struny, bo innej melodyi mury tam nie znają.

Żadna Zanze nie zawita z wyrazem pociechy, chociaż jeźli w którym kraju, to zaprawdę, w rozkrzyżowanej Polsce nie zbywa na podobnych niewiastach; ale zawita raz na miesiąc komendant fortecy, aby zapytać więźnia, czy nie ma powodu do zażaleń, i czy mu dobrze?

«Bardzo dobrze!» miałem zwyczaj odpowiadać. —

Wziąłby był raczej komendant młode orlę, strąciłby je z właściwej sfery, związał skrzydła, rzucił w kałużę, i zapytał, czy mu dobrze?

Rozumię, że położenie więźnia stanu, w sile wieku, z rozwiniętym duchem, który cierpi za ojczyznę, za ludzkość, może być znośne, aczkolwiek względnie; może mieć swoje słodycze, chwile szczęścia nawet. Taki, spełniwszy posłannictwo swego żywota, wzniósłszy się nad poziom, staje myślą między ziemią i niebiosami, i czuje wielkość ofiary swojej. — Wielkim jest w męczeństwie; więzienie, to jego poświęcenie; z pogodą jaśniejącą na czole, z uśmiechem pokoju na ustach, oczekuje chwili skonu — a krew jego użyznia niwę, na której wzrasta ziarno boże. Tego Człowiek-Bóg, wołający z pod ciężkiego krzyża: «Nie płaczcie nademną, ale nad tobą i nad dziećmi waszemi» dał przykład.

Ale położenie więźnia, młodzieńca nierozwiniętego, który nie miał jeszcze czasu wszystkiego zgłębić, nie umiał jeszcze zdać sobie całkowieie rachunku z cierpień swoich w obec Boga i Ojczyzny, dla którego cierpienie nie jest wyobrażeniem obowiązku, jest okropne. Znosi on, jak dziecko, wielkie cierpienia męża, bez znalezienia ulgi w dolegliwościach. Częstokroć pragnąłem światłego spowiednika!

Andryan, w swoich wspomnieniach więźnia stanu w Austry i przytacza rozmowy budujące, pełne pociechy, jakie tam prowadził z Misyonarzami, które go, sceptyka, nawiodły na drogę prawdy, światłem ewangielicznem, kładąc balsam na bolesne rany. W Cytadeli więźniów cieszyć — i księżom niewolno. Nawet na Wielkanoc duchownego nie widziałem. Ciężkie były moje

grzechy, wypływające z fałszywego stanowiska, na jakie mię rzucono!

Wiele pisano o Bastylii, Spielbergu, dagerotypowano Botany-Bay, więzienie Filadelfii, i t. d. Dla czego zaś nikt nie wystąpił dotąd z opisem środkowego więzienia Polski: Cytadeli Warszawskiej? Wszak dzieło tego rodzaju byłoby zajmującem i godnem powszechnej uwagi? Odpowiedź na to: że Francya, Anglia, Austrya, Ameryka, i inne państwa razem wzięte. nie zdołają tak skryć człowieka, jak go skryć i oniemić potrafi Rossya, by nie głosił jej tajemnic — że ten, kogo nie zabiła cytadela, kto z niej nie wyszedł idyotą, tego dobiły obszary pustyń; a jeżeli udało się kiedy powrócić ztamtąd jakiemu znękanemu i okrytemu szronem starcowi, do rodzinnej strzechy, to już nie do pióra mu było. — Ja należę do szczęśliwych wyjątków.

Słyszałem, że Mikołaj I, za ukazaniem się dzieła Sylvii Pelicca w Petersburgu, unosił się, przed jednym z Polaków, nad poddaniem się bez szemrania tego znakomitego więźnia.

Tyranom podobają się ofiary, które się nie bronią; bo zdaje im się, że je łatwiej zgładzić. Mogło się nawet zdawać Mikołajowi, u którego tylko bagnet, paszcze spiżowe i okrucieństwa stanowiły potęgę i siłę, że Polska, która nie splamiła się w dziejach podniesieniem ręki zabójczej na monarchę, łatwą jest także do zagłady — lecz sądzę, że Mikołaj ani Pelicca ani Polski nie zrozumiał, nie pojmując, tak w jednym jako i w drugiej, siły wyższej nad żelazo, spiże, i wszelkie męczarnie, siły niezwalczonej: siły moralnej.

Weź krzyż i idź śmiało do celu — a dojdziesz! Choćby drogą twoją być miała nić pajęcza ponad przepaścią, i po tej dojdziesz, bo cud się zjawi! —

NAUKA JĘZYKA MURÓW.

Znowu upływały dni i tygodnie, a zawsze byłem w jednem położeniu; ale jakaż to dola samotnego więźnia? Zamknięty w ciasnej kazamacie, krąży w niej, dopóki znużony nie padnie na łóżko z westchnieniem. Nie raz zdawało mi się, że mam ogień w głowie; to znowu, wycieńczony na siłach, wpadałem w letargiczny spoczynek, i godziny całe schodziły mi na gnuśnem leżeniu, z utkwionemi oczyma w sufit, bez zrobienia najmniejszego ruchu ciała. Czasami, uniknąwszy czujności żandarma, wdrapałem się na okno, aby wyjrzeć na świat Słodycz, z jaką wciągałem w siebie powietrze, tylko więzień uczuć może a żadne pióro wyrazić jej nie zdoła. Wtedy myśl, czyby niemożna się jako wymknąć z fortecy, świtała w głowie — czyby nie udało się, wychodząc kiedy z komisyi, odziać się płaszczem i furażerką jednego z audytorów? — Próżne złudzenia! Byłem pod wpływem tych marzeń, gdy kastaniety — tak nazywałem pukania mych współ-towarzyszów niedoli — odezwały się nademną, bo do mnie przestano oddawna pukać — nie chciano zapewne narażać się, a bezkorzystnie.

«Wielki Boże! Ty, któryś zmięszał języki pysznych w Babelu, a ukazał płomieniejące nad głowami apostołów, daj mi dar słowa!»

Po tej modlitwie, postąpiłem do ściany i zapukałem zcicha. Sąsiad odpowiedział podobnym znakiem, i znowu powtórzył to, co już od kilku tygodni czynić zaprzestał, to jest, posunął czemś pięć razy po ścianie, jakby znacząc pięć linii, jedna pod drugą. Cały w słuch i uwagę się zamieniłem, i znowu zapukałem. Wówczas uderzył zwolna 23 razy i zamilkł.

Wydobyłem natychmiast z ukrycia żelazny sztyft — zostawiony Testamentem — i w pięciu liniach rozłożyłem 23 głosek alfabetu — następnie, wyszukując potrzebne do składania wyrazów, w sposób, jak zię wyszukuje liczby w tablicy Pitagoresa, zacząłem znowu, lecz na ten raz systematyczne, pukanie. Sąsiad zrozumieć mię jeszcze nie mógł, ale w sposobie jego odpukania, przebijała się radość z mego postępu w nauce.

Przypuszczałem, że alfabet przyjęty w cytadeli, jest skrócony, skoro składa się tylko z 23 liter, i że w skracaniu go właśnie była przyczyna mojej pomyłki, ale że dojść do celu muszę. Z tem mocnem postanowieniem, udałem się weselszy na spoczynek. Nazajutrz rano, posługacz przyniósłszy, wedle zwyczaju, miskę z wodą, wyszedł na korytarz — umywając się, postrzegłem krzyżyk wydrapany na jej polewie. Na ten niezwykły znak, podniosłem ją i obaczyłem nu boku, skreślone tajemnicze abecadło — przez sąsiada — w rozkładzie następującym:

	1.	2.	3.	4.	5.
1.	a	b	c	d	e
2.	f	g	h	i	k
3.	l	ł	m	n	o
4.	p	r	s	t	u
5.	w	y	z.		

Zatarłem je, a zaledwie miskę zabrano aby ją ponieść do następującego numeru, podstąpiłem do ściany i wypukałem «dzień dobry.» Kolega odpowiedział: «dzięki Bogu!»

Gdyby ktoś udoskonalił teleskop do tego stopnia, że obaczyłby po raz pierwszy ludzi, lub inne jestestwa na jakim planecie, nie ucieszyłby się może tyle, ile ja z mego odkrycia.

Łatwo czytelnik zrozumie zastosowanie powyższego abecadła tak do pukania, jako do pisma. Naprzykład, chcąc wyrazić głoskę i, uważam, że zajmuje ona czwarte miejsce w drugim szeregu: oznaczam ją więc czterema i dwiema kropkami (·::·) i t. p.

Imię Jan, wyrazi się więc, jak następuje:

·::·:: : ·.·.·

Łatwo także się domyśleć, że mogąc rozmawiać za pomocą stukania, trzymając się wyłożonej tu zasady, można porozumie-

wać się i kaszlaniem, chrząkaniem, świstaniem, a nawet śpiewem, czyniąc w ostatnim pewne przestanki.

Otóż znośniejszą stała się niewola, gdy mogłem o szarej godzinie zamienić, chociaż z trudnością, słów parę z kolegą.

Lecz w niewoli trudno jest znaleźć czystą uciechę, bo i w tym razie podejrzenie zatruwało mi onę. A jeżeli sąsiad jest narzędziem podstępnych badań? Myśl ta rozdzierała mi serce. Jakże smutno domyślać się na każdym kroku zdrad i zasadzek! widzieć w otaczających cię samych tylko wrogów — czuć ciągle trwogę, nawet na odgłos bratniej, choć niewidomej dłoni — a jednakże trwoga ta, z natury rzeczy, musi męczyć więźnia, i usprawiedliwioną później została podejściami, jakich się na mnie dopuszczała komisya.

Raz mój dobry kolega zapukał: «Ty głodny musisz być, mój bracie kochany. Jeźli już złożyłeś protokół, poproś Moroka o pieczeń i jarzynę. W ich polityce jest, ażeby ich prosić.»

Z razu, niepodobała mi się ta rada; zastanowiwszy się jednak, pojąłem, że rozumie on, ile głód dokuczać mi musi — i jakkolwiek ze wstrętem, obróciłem się nazajutrz z prośbą, czyli raczej formalnością prośby, do Moroka.

— Zkąd pan wiesz, iż tu pieczeń dają? zagadnął, utkwiwszy we mnie badawczo oczy.

— Codziennie zapach sosu mię zalatuje.

— Hum — sosu, bąknął, zatrzaskując drzwi za sobą, i już był na korytarzu, a jeszcze: su — su — so — su! słyszeć się dawało.

POTĘGA WYOBRAŹNI W WIĘZIENIU. ROZMOWA PRZEZ DZIURĘ W ŚCIANIE.

Wyobraźnia moja, nigdzie nie była tyle twórczą, samodzielną, ile w cytadeli; ale pamięć nigdzie nie była tyle, ile tam niedołężną. Płody wyobraźni z różnych okresów życia, są mi obecne aż do tej chwili; te zaś, które ożywiały mię wśród więziennej samotni, opuściły mię niemal wszystkie za pierwszym krokiem ztamtąd: ich rysów nie przypominam sobie.

W cytadeli tak się czułem słabym, bezwładnym, że chwiejąc się stąpałem. Okazuje się, że w wątłem ciele silna wyobraźnia zamieszkać może — ale jest ona gorączkową. — Gdybym miał był pióro, zdaje mi się, że kreśliłbym szkice kolorytu żywego, jaskrawego, uderzające wydatnemi kształty i szatą godową. Wszak i to winienem po części wyobraźni, że zdołałem przeniknąć tajemnicze abecadło, na rzucony ku temu wątek.

Ale jak głodnemu chleb na myśli, tak mnie, oddzielonemu od cudnej przyrody, stawała ona zawsze na oczach. Rzeźbiarz potrzebuje marmuru na sukienkę dla idei, malarz farby; mnie potrzeba było błękitnych wstęg i smugów niebios, na tło do mych marzeń. Rzeczywiście, czyż te czarowne panoramy, jakich żadna optyka, żadna latarnia magiczna wydać nie zdołała, kwieciste doliny, ruczaje, jakieś szczęśliwe sioła, grody całe, nie przesuwały mi się czasem w mózgu, dla tego jedynie, że mi zbywało nawet na powietrzu?

To znowu jak promienie słońca, odbite od zwierciadła, biegą gdzieś w nieskończoność, tak wyobraźnia, w odbiciu się od ziemi, ulatywała w wyższe sfery, w oderwaniu, niezależne,

istniejące dla nich samych, jak piękność dla piękna, prawda dla prawdy.

Dumania kończyły się zwykle wieczorem, gdy służba zaczynała się krzątać około przygotowywania światła, zbierania naczyń, i t. p., bo wtedy na zapukanie sąsiada; jak przebudzony lunatyk, powracałem do świata rzeczywistego.

Pewnego razu umówiliśmy się, aby wywiercić dziurę w ścianie, w celu łatwiejszego porozumienia się i zaraz wzięliśmy się do roboty. Ściany pomiędzy numerami są cienkie. Więzienie bowiem zrobione zostało z koszar; podzielono wielkie izby na małe, za pomocą tarcic obitych trzciną i tynkowanych. Miejsce na otwór wybraliśmi między spojeniem kafli pieca wspólnego, bo deska tam do wklęsłości nie dochodząc, nie mogła tamować roboty.

Praca była długa i mozolna, gdyż tylko w upatrzonych chwilach mogliśmy ją wykonywać; a za całe do niej narzędzia, były drewniane łyżki, których trzonki służyły nam za świderki. Co wieczór zatykało się szczelnie chlebem, zaczętą robotę, nie zaniedbując zamalowywać zalepionego miejsca zebraną ze ściany farbą. Kropla wody kamień przebija — koniec końcem, i dziura stanęła gotowa.

Kolega mój był także samotny. Otóż jego męztwo podtrzymywało moje, i wzajemnie. Jeźli jeden wpadał w głębokie, przerażające zamyślenie, drugi go rozweselał jakąś uwagą uśmiech wywołującą; to znowu, z rozmów wspólnych pryskała iskra światła, jak z uderzającej się stali o kamień.

Pewnego razu, wysunąwszy do mnie słomkę: «przytknij do niej usta i ssij» rzecze. Przytykam je więc na wezwanie i ciągnę. Poczuwszy smak wina, zdawało mi się, że nektar pokrzepiający rozlewa się po mych żyłach. «A teraz — dodał — powinszuj mi imienin.»

Jakże się ucieszyć musiała matka tego biednego, słabowitego chłopca, siedzącego już czwarty rok w cytadeli, pod sądem wojennym, gdy otrzymała pozwolenie przesłania mu dnia tego szklanki wina, kilku ciastek i cygar!

Ciastami dzielić się mu było niepodobna; ale cygara paliliśmy wspólnie. Ja otwierałem usta, a on puszczał mi ze swoich kłęby dymu, przez słomkę — co złapałem, to i połknąłem.

Gdy poznaliśmy się bliżej, opowiadał, jak udała mu się raz sztuka napisania do matki, między krochmalnemi fałdami koszuli, odsełanej do prania, także słomką z siennika, jaka mi służyła za kieliszek i cybuch; kawałek zaś papieru zagryzmolonego, pozostały z przysłanego ze szpitala proszka, spalony i zmieszany ze śliną, miał być wyśmienitym atramentem.

Długie częstokroć były nasze pogadanki. Trafny był pogląd jego na Cytadelę:

«Szczęśliwyś, rzekł, iż sprawa twoja jest takiego rodzaju, że sam bronić się w niej możesz na wszystkie strony; ale proces wytoczony tutaj razem kilku lub kilkunastu osobom, należącym do jednej sprawy, a rozdzielonym w więzieniu i badanym pojedyńczo, wystawionym na zasadzki, jakie chyba piekło wymyśleć zdoła, jakże jest trudnym do przetrwania! Z jednej strony, ciągła trwoga zaszkodzenia innym i całej sprawie, pożera więźnia — z drugiej, trudność walki przeciwko ustawicznym obwinieniom i podejrzeniom zwierzchności; niebezpieczeństwo zaś wzmaga się jeszcze w miarę nowych odkryć i aresztowań. — A jakże boleśnie, gdy te odkrycia wychodzą z własnego koła stowarzyszonych, podające wrogom nić do kłębka! Są między nami nawet tacy nieszczęśliwi, którzy upadając na duchu pod zadawanemi im cierpieniami, plotą niestworzone rzeczy, w nadziei polepszenia sobie losu. Mięszają do sprawy nieznane im osoby; a komisya cieszy się: raz, że potrafiła zdemoralizować służącego świętej sprawie, a słabego człowieka, częstokroć do tego stopnia, że ten opamiętawszy się, brzydzi się samym sobą i staje się godną politowania ofiarą; powtóre, że upatrzywszy jakieś najmniejsze prawdopodobieństwo w słowach szalonego oskarżyciela, aresztuje niewinne ofiary, nie wiedzące o niczem, z których jednak rzadko kogo nie potrafi zrobić winnym; bo na tem polega jej interes. — Wykazując jak najwięcej przestępców politycznych, członkowie jej dowodzą przez to samo o potrzebie i ważności swoich urzędów — a że niewinnych Polaków kości spruchnieją na wyganiu, to się bynajmniej nie sprzeciwia polityce Cara. Pozorem zaś winy nie trudno jej okryć aresztowanego. Umie zaplątać go w sieć tak dziwnie skojarzonych intryg, że przywiedziony do ostateczności, choć nie wykroczył w niczem, będąc wolny, zrobi coś w niewoli, czego nie zaniedba

ona podciągnąć pod prawo karne moskiewskie, złożone z ukazów różnych Carów i Caryc, sprzeczne w sobie, dające się naciągać wedle woli sędziów.

«Tutaj mój bracie, podejrzani tyraństwu, staliśmi się wzajem sobie podejrzanymi, bo inaczej być nie może w jaskini szpiegostwa [1]. Systemat niesprawiedliwości i kłamstwa, tłumi nie w jednej duszy pojęcie dobra i prawdy, uczucie miłości Boga i bliźniego, a wyradza — nienawiść!»

Żałuję, że nie mogę przytoczyć wiele z opowiadań mego kolegi. Wcałym opisie opuszczać muszę szczegóły ciekawe, któreby służyły za dowody do niego — aby nie dać wrogowi możności ścigania kogoś, z niniejszem wydaniem w ręku.

Przez otwór mogliśmy rozmawiać o każdej niemal porze, jakkolwiek zcicha, dosyć jednak śmiało, gdyż słuch więźnia, jak wzrok i wszystkie zmysły, tak staje się czujny, że najmniejszy, a złowróżby szelest w korytarzu, nie uchodzi jego uwagi.

Żandarmowi się zdaje, że może więźnia podejrzeć, podsłuchać; a nie wie, że zaledwie się poruszył w krześle, jeszcze kroku nie zrobił, już szmer jego płaszcza spłoszył mię jak ptaka, od miejsca gawędy; i gdy po cichutku, na palcach, skradał się pod okienko, rachowałem jego stąpania.

Ale nadeszła ogólna rewizya — dziurę znaleziono — kołkiem zabito — a nas rozprowadzono do innych kazamat.

Wezwano mię do komisyi. — Jołszyn wpadł w kaznodziejski zapał: dziurawić mury skarbowe! taka to zbrodnia, że aż Morok zdawał się być nią zgorszony. — Pomimo tego jednak, oświadczono, że mi pierwszy i ostatni raz przebaczają. Przebaczono — jednak pieczeń i jarzyna, która zaczęła mię już dochodzić, od tego czasu cofniętą została.

Od tego także czasu, nie słyszałem nic o losach współ-towarzysza.

[1] W roku 1848 ukazał się na świeczniku cywilizacyi petersburgskiej projekt założenia akademii szpiegów, przez inkwizytora jenerała Liprandego.

POGLĄDY Z OKNA. WIĘŹNIOWIE POMIĘSZANYCH ZMYSŁÓW. PODEJŚCIE KOMISYI ŚLEDCZEJ.

Jakkolwiek zmieniono moje nazwisko na 72, jakkolwiek głęboki żal mię dręczył po stracie kolegi, przecież w nowym numerze znalazłem pewną, chociaż smutną, rozrywkę. Mieszkanie było na piętrze, okno wychodziło na dziedziniec; wdrapałem się na nie, aby zobaczyć co się w cytadeli dzieje.

Więzień samotny przechadzał się powolnym, chwiejącym krokiem. Dwaj żandarmi go strzegli: jeden miał utkwiony wzrok w więźnia, drugi rzucał oczyma na okna więzienne. Warty przy bramie parkanu stały, swoim porządkiem, nieruchome i milczące jak posągi. Więzień był blady, jak mury go otaczające.

Po nim wyprowadzono drugiego, a następnie innych. Domyślałem się, że to byli ci, z którymi pokończono śledztwo, skoro dozwolono im wychodzić. Przechadzka każdego trwała zaledwie kilka minut, a dzień cały nie wystarczył dla wszystkich, bo nazajutrz nowe oblicza postrzegałem.

Niekiedy ukazywało się dwóch, a rzadko trzech razem. Nie zajmowali się rozmową wśród przechadzki, bo każdy miał droższe, nad wszystkie inne, zajęcie: wciąganie widoczne powietrza w siebie.

Stosunkowo do liczby cywilnych więźniów, zbyt wielką zauważyłem ze stanu duchownego. Z wojskowych zaś, jednego tylko junkra widziałem, w ułożeniu którego tyle było udatności,

a w obliczu potęgi ducha, że nigdy jego rysów zapomnieć bym nie mógł.

Nie zapomnę także pewnego mężczyzny, w sile wieku, na którego czole jaśniał gieniusz i nieszczęście.

Nie zapomnę i chłopka, stangreta w karazyi. Z ruchów jego przyzwyczajonego do życia czynnego, łatwo było wnosić, ile gnuśne życie więzienne było mu ciężkiem. Widziałem go raz wychodzącego, w czasie poczynającej się burzy; żandarmi chcieli skrócić przechadzkę; wtedy boleść na jego twarzy, którą wzniósł ku niebu, była uderzającą. Zdawał się chcieć zatrzymać jeszcze chwilkę, posłuchać grzmotów i napawać deszczem.

Patrząc na tych ludzi, których wiek rokował najpiękniejsze nadzieje dla ich rodzin i dla kraju wyludnionego z dobrych obywateli, więdnących, jak przesadzone rośliny z pod słońca do ciemnicy, łza wilży powiekę.

Na drugim dziedzińcu, grono kobiet stoi u wrót, smutno poglądając na mury. Zdają się one oczekiwać kogoś. Są to żony, matki i siostry męczenników. Czy nie zebrały się na pogrzeb jednego z nich? Na tę myśl, Józef z Arymatei, Nikodem, i orszak pobożnych niewiast, przedstawił mi się w wyobraźni.

Ale Morok nadchodzi, napuszony, zdaje się sprawować obrzędy Cytadeli. Focht, jego pomocnik, i posługacze, przyjmują od kobiet posyłki dla więźniów. Był to dzień posyłek.

Gdyby dziecię, nad którego kolebką zamyślona matka śpiewa, mogło zrozumieć jej uczucie, jak je zrozumiał Rafael i wyraził na czole Madony — gdyby mogło pojąć święty ogień, pałający wjej oczach, utkwionych w jego twarzyczkę, nie zniosłoby jego blasku — było by to nad jego wątłe siły. Gdyby więzień przejrzał mury i obaczył swą narzeczonę, z obliczem branki boleściwej, podstępującą z prośbą do Moroka, nie zniósłby tego widoku.

Moimi nowymi sąsiadami byli: z jednej strony ksiądz protestancki, zazwyczaj zatopiony w modlitwie; z drugiej, dość rozmowny sąsiad; a za nim, pod N° 74, siedział krogulec.

Historya krogulca następująca:

Pewnej nocy, dano znać Morokowi, że więzień 74, coś drapie po ścianach. Morok wpada i pyta go stojącego na oknie, co to znaczy?

— Co znaczy? a czyż krogulcowi drapać nie wolno u siebie w klatce?

— Jakto krogulcowi?

— A cóż to, czy nie widzisz, żem krogulec.

— A więc N° 74 umyślił się w krogulca bawić? — rzecze z drwinkami Morok.

— Czujesz moje skrzydła? zawołał pierwszy, i skoczywszy na barki Moroka, zaczął go tłuc łokciami i szarpać.

I od tej chwili został krogulcem.

Nic go z tej manii wywieść nie zdołało. Niekiedy jednak, rozmowy jego były rozsądne i warte posłuchania.

Opowiadał mi sąsiad pewne zdarzenie, jednoczesne z naszym w cytadeli pobytem, które może przeszło w tradycyę tameczną. Jeżeli jakie miejsce rozdzielonej a jednolitej Polski, mogłoby dostarczyć podań do wielkiej tragedyi narodowej, to bez wątpienia Cytadela. Tam naprzykład, spalenie się dobrowolne w pokoju, rodakta Levittoux aby nie zdradzić pod mękami powierzonej mu tajemnicy, ale ją nieskalaną raczej ponieść do grobu, czyliż nie jest rysem bohaterskiego samobójstwa, które zaćmiło czyn Scevoli?

Oto opis tego wypadku:

Był na Cytadeli sąd na miateżników —
Więc siedli jak czarci za stołem:
Jenerał, adjutant i czterech piszczyków,
Ze sercem miedzianem i czołem. —
I rzecze adjutant, «Bat'ku Jenerale,
Czart chyba się z Lachów co dowie.
Wziął pałki Lewitu, lecz milczy zuchwale.[2]
«Sto pałek! pod pałką odpowie.» —
Straż stawi Lewita, skutego w kajdany,
I biorą na rozpyt go kaci.
Wnet zdjęto zeń szaty co kryły mu rany,
A sędzie wołają: «Zdradź braci!»
A był tam nad nimi w tej izbie szatańskiej
Krzyż z Panem Jezusem na ścianie.
Lewitu wzrok jasny utopił w krzyż pański,
I modlił: «Daj siły, o Panie!»
I poszedł pod pałki w pół nagi bez lęku —
Wnet krwią mu opłynął grzbiet cały;
Choć bito go w rany, nie wydał i jęku,
I milczał jak skamieniały.
A gdy go złożono na nędznej pościeli,
Rozważał czy ciało wytrzyma,

Te męki, bo znowu tak chłostać go mieli
Sędziowie. I poczuł: «Sił nie ma!»
Lecz święcie dochowa tajemnice bratnie,
Bo sto ich zginęłoby może;
Toż westchnął do Boga o męki ostatnie,
I ognia nasypał pod łoże. —
I usiadł na łożu spokojny, bez lęku,
Gdy jasne płomienie wstawały;
Choć ogień gryzł kości, nie wydał i jęku,
I milczał jak zakamieniały.
Przez kraty wnet bracia błysk ognia ujrzeli,
Straż alarm krzyknęła w podsieniu;
Jenerał i draby wpadają do celi:
Lewitu już skonał w płomieniu.
Więc z grozą ten węgiel rzucili w rogoże,
I w ziemi kazali pochować — —
Tą śmiercią w płomieniach pochwalon bądź Boże,
Bo żywym ją będziesz rachować! —

Zdarzenie opowiadane przez sąsiada, jest następujące:

Było to w roku 1849. Przywieziono do cytadeli 17 letniego chłopca — nazwiska jego nie pomnę — ktory przy naocznej konfrontacyi, w sali posiedzeń, z innymi, zadziwiał mocą charakteru, nad wiek swój. Mając świadków przeciw sobie, a nie chcąc dać żadnego objaśnienia w sprawie, został wzięty na tak zwane punkciki. Skazanemu na nie, zaśrubowywują podobno głowę, w nowego wynalazku maszynę, do przyznania; dając niekiedy szczutki w nos, dopóki krew z niego nie pociecze. — Podobnie niegdyś w pogańskim Rzymie; kat nasycał się ofiarą, zanim przystąpił do gruchotania jej kości. — Młodzian zniósł torturę, nie wyrzekłszy ani słowa, ale wychodząc z pod niej, zanucił oprawcom zwrotkę: Jeszcze Polska nie zginęła! Przerażała ona potem przez kilka nocy swym grobowym tonem więźniów, dopóki ofiara nie przeniosła się z nią do wieczności. —

Z mym nowym kolegą mogąc tylko znosić się wieczorem, mało więcej dowiedzieć się mogłem; i tego w niedługim czasie komisya odemnie oddzieliła, by zastawić na mnie sidła swoje.

Rzecz tak się miała:

Pewnego razu, słyszę zwykłe, jednorazowe stuknięcie w ścianę, i odpowiadam tym samym znakiem — następnie, niewidoma ręka zaczyna rozmowę — lecz jak fałszywy pieniądz, który kasyer rzuca między rulonem innych, uderza odmiennym dźwiękiem wprawne jego ucho, tak mię uderzyło na ten raz pukanie.

Nie była to już ręka mojego kolegi, nawykła do języka murów; ale zastępowała ją inna, nierównie wolniej i dobitniej pukająca: «Dwóch emisaryuszów dziś powieszono — wojna w świecie — górą nasza!»

Na tę nowinę, odpowiedziałem jednorazowem, a silniejszem stuknięciem, dając do poznania że nie rozumię; i pomyślałem, że ponieważ przybyłem z zagranicy, wyraźna to na mnie zasadzka. — Po wyjeździe z cytadeli na wygnanie, odczytałem gazety z powyższej epoki, zapytywałem Warszawian, nic nie potwierdzało doniesionego wypadku o emisaryuszach. — Ręki prawdziwego kolegi więcej nie słyszałem, fałszywa także znikła, a numer sąsiedni pozostał pusty. O! więzień z taką łatwością poznaje współ-towarzysza dłoń, z którym już obcował, jak się poznaje dźwięki muzyki, tępa broni, chód, lub głos przyjaciela.

Znowu ujrzawszy się samotnym, oderwałem kawałek obcasa od buta, wydobyłem ćwieczek, i tym pisałem po ścianach, dla rozpędzenia nudów. Z początku mi zacierano, a potem pozostawiano. Wśród nocy zaś bezsennych, rozrywałem się oswajaniem myszy, igrających i nie uciekających odemnie.

Ale wielkie było me zdziwienie, gdy pewnego dnia żandarmi na przechadzkę mię wyprowadzili — gdy w godzinę potem, hitorę Rossyi Karamzyna mi przyniesiono; jakoteż nową fajkę, na długim pieprzowym cybuchu, i paczkę żukowa. Coby znaczyło to nagłe udobruchanie się komisyi? Zapaliłem fajkę mówiąc sobie: Trzeba się mieć na baczności.

KOMISYA BIERZE MIĘ W OBROSY.

Gdy po dniach kilkunastu zostałem przywołany do komisyi, malowała się na twarzach członków pewna ku mnie życzliwość. Przy jenerale Jołszynie stał próżny fotel, na którym kazał mi usiąść, i oświadczył, że po pilnem odczytaniu mego protokółu, zdaje mu się postrzegać, że mam tyle zdrowego rozsądku, iż nie wątpi, że powrót mój do kraju nie był w złych zamiarach. — Że zdaje mu się, i chciałby temu wierzyć, że nie należę do liczby owych półgłówków, którym się roi, że 100,000 bagnetów zwalczyć kiedy potrafią. Ale że, ponieważ przedstawienia komisyi o aresztowanych, względem wyjednania dla nich uwolnienia u władz wyższych, muszą być poparte dowodami, aby nie były odrzucone; danie więc ich, odemnie samego zależy. Że jeżli tylko w całem postępowaniu mojem podczas śledztwa, okaże się szczera prawda, wierność monarsze, to mogę być pewnym, że powrócę do domu. Pewność tę zaręczył słowem honoru. Potem, zaczął przeglądać leżący przed nim protokół, potrząsając głową nad niektórymi jego ustępami, z wyrazem współczucia. Przez ten czas, cichuteńko było w sali — nikt się nie odzywał. Portret Mikołaja wisiał na ścianie, a wszystkich oczy były spuszczone na zielone sukno stołu, na środku którego stał krucyfix. Zimne tylko, szarę oko Leichtego, było na mnie zwrócone.

— Musiałeś bardzo cierpieć młodzieńcze, rzecze nakoniec Jołszyn. W tym wieku, i już tyleś się tyrał po więzieniach. —

Piszesz, iż na etapach walczyłeś między życiem a śmiercią. — Pierwszy jesteś, który nam powracasz z etapów, i który możesz opisać, co tam postrzegłeś, i co ci się najwięcej uczuć dało. Zapewne krzywdzono cię nadużyciami, które cię skłoniły do ucieczki, nieprawdaż? Ale cesarz jest miłosierny, miłosierny. — Proszę nam opisać to wszystko; nie będzie to dla pana bez korzyści. —

Otrzymawszy kilkanaście arkuszy papieru, powróciłem do celi.

Wyznaję, że byłem do tyle rozbrojony na chwilę łagodnością komisyi, że zapytywałem siebie: czy podobna, aby ludzie, chociaż zepsuci, byli do tego stopnia złymi, iżby jak tygrysy rzucać się mieli na drugich, bez przyczyny? Gdy tymczasem, gorące wytknięcie cierpień w mym opisie, gdzie etapy były schwycone jak na dagerotypie, posłużyły tylko wrogom za próbkę mego charakteru, na moją niekorzyść.

Winienem tu nadmienić, że Cytadela ma swoją oddzielną literaturę, swoich pseudo-filozofów, sofistów, podobnie jak Sybir i Kaukaz. Może kiedyś wyjątki z ich płodów, będą umieszczone na kartach historyi narodu polskiego, jako dowód dla następnych pokoleń, przez jak ciężkie próby naród przejść musiał, zanim odzyskał samodzielność.

W tej tam warowni, rząd proteguje piśmiennictwo i talenta, chcące mu służyć. Skazuje jednych na samotność i bezczynność, uważając ich za straconych; a nie przewiduje, że w tej surowej szkole milczenia, rzeczywiste zdolności same się rozwijają; drugim, dopomaga do czytania, do nauk: dla tego, jedni z nich piszą historyę, inni odpowiadają na ważne kwestye w polityce, ekonomii, administracyi, i t. d.

Moje pióro widać na nic się nie zdało, bo mi już nic więcej pisać nie kazano — i znowu dni mi upływały na rozpamiętywaniach.

Parę tygodni przeszło.

Wezwany do komisyi, zostałem przyjęty z podobną jak poprzednio względnością. Tą razą Leichte przemawiał. Oznajmił nawiasowo, iz powinienbym zrozumieć, że lepiej jest dziesięciu niewinnych wydalić z kraju, aniżeli wpuścić jednego szkodliwego — że komisya przychy-

lając się do opinii, na moją korzyść wyrzeczonej, przez JW. Generała prezydującego posiedzeniu, chciałaby poprzeć mię w obec rządu, lecz że zbywa jej jeszcze na potrzebnych ku temu dowodach z mej strony. Po tych i tym podobnych oświadczeniach, podstąpił do szafy i wydobył Almanach de l'Emigration Polonaise, kazał mi go czytać i mówić, czy znane mi są niektóre osoby w nim umieszczone, lub przynajmniej, czy o nich co słyszałem. Następnie, wziął książkę odemnie i sam zapytywał, czy znam tych lub owych. Mało kogo z nich znałem, o niektórych słyszałem i mówiłem mu o tem. Pytania Leichtego o rzeczach publicznych, uważałem za wyraźne mię próbowanie.

Z toku, zapytał mię, czyli nie znałem niejakiego Mroczkowskiego za granicą.

— Z tym rozmawiałem tam razy kilka; rzekłem.

— A gdzie on się teraz obraca?

— Nie umię panu powiedzieć — podobno w Niemczech. —

— Zdaje się, że on należał do partyi demokratycznej?

— Tak jest; powiedziałem.

Następnie Leichte spisał moje zeznania i podał do podpisu. Podpisując je, myślałem: pokiwajcie palcem w bucie tamtym, co są za granicą.

Ale zbieg okoliczności dał mi wkrótce poznać, że byłem w okropnym błędzie niedoświadzenia; i że właśnie wtedy, gdy się uważałem bezpiecznym od zewnętrznych wpływów na sprawę moją, wpadłem znienacka w zastawioną matnię. Może sobie czytelnik wystawić moje przerażenie, gdy w kilka dni potem, przeglądając wedle zwyczaju miseczki przy obiedzie, na jednej z nich postrzegłem wykropkowaną, pierwszą połowę nazwiska Mroczkowskiego.

Powziąwszy przekonanie, że i on jest w warowni, że go jakieś fatum rzuciło na drogę życia mego, byłem jak piorunem rażony. Zginęliśmy obadwa, mówiłem sobie. Teraz te hydry przedstawią moje zeznanie tamtemu — może zdołają poróżnić nas — wymogą jego zeznanie przeciwko mnie — rozgałęzią sprawę na lat kilka — i kto wie, czy obudwu nie oddadzą pod sąd wojenny.

Chciałem wleźć na okno, w nadziei ujrzenia go na przechadzce, lecz jak na złość, popadł na dežurstwo żandarm niezmordowany w zaglądaniu do okienek. Brakło mi cierpliwości. Nie mając na kim się zemścić za podstęp komisyi, a więc zemściłem się na żandarmie, w sposób następujący:

Wydobywszy sztyft z obcasa, włożyłem go wieczorem w zapaloną świecę, przy samym knocie. Sztyft, rozgrzewając się, opadał, i świeca szybko, topiąc się, spłonęła. Wiedziałem, że żandarm drugiej świecy z nizkąd nie dostanie, bo jezt zamknięty wraz z wartą, w korytarzu na noc, przez Moroka. Słuch mój zawiadomił mię także, że Morok zwykle o godzinie czwartej zrana czyni obchód korytarzy. Gdy więc świeca zgasła, pośpieszyłem wyjąć sztyft z lichtarza i oczekiwałem przybycia Moroka. Godzina czwarta wybiła, a wkrótce potem pięści Moroka zaczęły się odbijać o policzki żandarma.

Na drugi dzień, strzegł on mię jeszcze gorzej, a ja pałałem jeszcze gorętszą żądzą obaczenia Mroczkowskiego, lecz niestety, napróżno. Na okno wleźć nie mogłem.

Następnej nocy, znowu taż sama była historya z żandarmem o zgasłą świecę, lecz tą razą myślałem, że go Morok zabije. Zrobiono też u mnie natychmiast rewizyę, ale sztyfta nie znaleziono; schowałem go pod język.

Nazajutrz, z żandarmem spojrzeliśmy sobie oko w oko. Moje zapytało go: «A co, czy będziesz mię szpiegował?» a jego odpowiedziało: «Farmazon! czort z toboj!» I odtąd byliśmy przyjaciele, i niemal całe dwa dni z rzędu na oknie przepędziłem; ale Mroczkowskiego, w liczbie przechadzających się więźniów, nie postrzegłem.

W takim razie, ułożyłem plan naprędce, aby jego i siebie ratować, oddając wet za wet komisyi, przy zdarzonej sposobności.

Sposobność też ta wprędce się nadarzyła. Wezwano mię i oświadczono, że Mroczkowski, którego podałem w zeznaniu za mego znajomego, znajduje się w Cytadeli; że mi go nawet widzieć pozwolą natychmiast, lecz że nie powinienem, za ujrzeniem go wymówić, oprócz zwykłego powitania: «Jak się masz kolego?».

Bardzo dobrze, odpowiedziałem. Posłano po niego. Kilka

minut upłynęło, usłyszałem zbliżające się kroki; opanowała mię trwoga, aby pierwszy, za wejściem, nie zechciał mię powitać. Drzwi się otworzyły, spuściłem oczy. Nie słysząc powitania, ośmielony, podniósłem je, i dostrzegłem, jak potoczył wzrokiem po sali, i mnie widział, nie patrząc wprost na mnie; miał w sobie coś imponującego. Zaledwie go poznałem.

Upłynęła chwila w milczeniu.

Leichte zniecierpliwiony: «No!» mruknął, zwracając się ku mnie. Wtedy spojrzeliśmy na siebie z Mroczkowskim, nie powiedziawszy ani słowa. Twarz jego zdała mi się być źwierciadłem myśli moich — ale widać i Leichte, Salomon cytadelski, w nie zajrzał, bo zrywając się ze wściekłością z krzesła:

— Łotry! oczyma gadają — jeden od drugiego lepszy — za drzwi! — wrzasnął na całe gardło.

Jak oparzony, poskoczyłem ku drzwiom.

— Gdzie idziesz? gdzie? ani się rusz ztąd! Mroczkowski za drzwi — a ty stój tutaj! — wołał, ukazując palcem na podłogę przed sobą. Gdy sam zostałem:

— Dla czegoś go nie powitał? pyta.

— Kogo pułkowniku?

— Czy nie wiesz kogo!? Mroczkowskiego, któregoś widział przed sobą.

— Dla tego, że go nie znam. Ten jest o głowę wyższy od tamtego, którego znałem.

Śmiech szyderczy, pogardliwy, piekielny, rozległ się po sali. Jołszyn zadzwonił, Morok się zjawił; Jołszyn skinął, Morok wyszedł. Za chwilę mię wyprowadzono; nie zastałem już w celi ani Karamzyna, ani fajki, ani żadnej rzeczy, która pochodziła ze szczodrobliwości komisyi — na przechadzkę nie wypuszczono — w nocy, ktoś na strychu drzewo mi rąbał, nad głową. Nazajutrz szczekotałem zębami, bo była zima, a w piecu nie napalono. Dnia trzeciego, było znowu zbyt gorąco i swąd nadzwyczajny; zupa także niesłychanie słona — pragnienie mię paliło, a żandarm więcej nad butelkę wody, przyniesionej zrana, dostarczyć jej nie chciał.

Przypominam sobie, że tego feralnego dnia wezwał mię także pomocnik Moroka, wpisał mój rysopis do sznurowej księgi; i że znajdował się podówczas w sali jeden z członków, pakujący do teki mnóstwo protokółów więźni, z przypiskami różnokolorowemi, wybierając się na sesyę do gubernatora Warszawy.

JAK LECZĄ W CYTADELI GHOROBY MORALNE?

«Bez utieszenij ja pogibał;
Moj złobnyj genij torżestwował.»
Poleżajew — «Więzień.» —

Nie będę się rozwodził nad procedurą komisyi — by nie powiedziano, że chcę piekło czernić. Nie mogąc się skąpać w rzece zapomnienia starożytnych, kreślę te kilka rysów. Nie ograniczam się częstokroć na prostem opowiadaniu faktów bo każda historya najwięcej zajmuje, gdy w niej przeważa osobistość historyka. Któż nie przyzna, zapatrzywszy się na wzory doskonałe, że Tytus Liwiusz, Kwintyn Kurcyusz, jako opowiadacze, pod względem stylu, są wyżsi od Tacyta? Dla czegóż więc ostatni, tak wielki wywiera wpływ na nas? Oto, że w dziełach jego przebija się jego ja, jego dusza, jego sąd; że zstępuje on do źródła złego, a wzruszywszy czytelnika wyłożeniem treściwem okrucieństw cesarskich, niesie mu słowo pociechy; i często kończy ustęp wykrzyknikiem boleści i oburzenia. «Jeźli nie ma bogów opiekuńczych, są bogowie zemsty!» woła ten uczciwy poganin, rozdrażniony widokiem zbrodni, zasiadłej na tronie, a wzywający kary na występnych.

Wszystko pochodzi z góry. Ten, kogo biją, bić także będzie, gdy mu się sposobność nadarzy; drażniony, zemstą zwykle pała — bo to są naturalne następstwa. Niewola nie krzewi miłości. Wróg i zawiść, chodzą z sobą w parze. To smutno, ale

tak jest! Słowa znakomitego Rosyania, Hercena: «w naszej miłości, mieści się nienawiść» łatwo jest zrozumieć.

W Cytadeli dostrzegłem na małą skalę to, co później w Rossyi w wielkich rozmiarach przedstawiało się oczom moim. Leichte gniecie Moroka, Morok wali żandarma, żandarm szyldwacha. Biedny szyldwach odwołuje się do artykułów wojennych mu czytanych, mówiąc, że on na warcie przedstawia osobę samego cara — żandarm mu odpowiada, że artykuły są napisane dla oczu Europy, a nie dla niego — i łupi go jeszcze bardziej. Tam, dežurny oficer nie śmie zajrzeć do okienka więźnia, choć to niby jest jego obowiązkiem — zmuszony trwogą dowierzać żandarmeryi. Z kaskiem w ręku, podstępuje na palcach do wart swoich, mówi półgłosem, a spuszcza oczy przy spotkaniu się z konwojem prowadzącym więźnia. W Cytadeli wszyscy się wzajem szpiegują. Żandarm inwalidę posługacza, inwalid żandarma; prezes komisyi: plac-majora, komendanta twierdzy, audytorów sądu wojennego; doktór felczera, felczer doktora; i ci co się podglądają, najczęściej chodzą z sobą w parze.

Im więcej mi dopiekała komisya, im więcej mię podciągała pod kary, nie przepisane żądnym kodeksem na świecie, ale wyszłe jak promienie, z mądrej Leichtego głowy — kary, niby nierozmyślne, przypadkowo dotykające, za które trudnoby się prawnie upominać — tem więcej tryumfowałem! i mamże wyznać, że głównie dla tego, iż zdołałem przywieść do złości mych inkwizytorów. Ale, jak płomień dogorywającej lampy buchnie ostatecznie razy kilka, i gaśnie, podobnie było z mojem uczuciem zemsty.

Następujące okoliczności wprowadziły mię w stan osłupienia:

Pewnego razu, wyprowadzono mię na przechadzkę — by wygodniej zrobić rewizyę w stancyi. — Spotkałem na dziedzińcu komendanta i byłego dyrektora gimnazyum lubelskiego a później członka komisyi śledczej, Sijanowa. Byłem wtedy w tak dziwnem usposobieniu, że patrzyłem na wszystko co mię otaczało, ale nic nie wzracało pilniejszej uwagi. Minąłem więc tych panów, nie skłoniwszy się żadnemu. Komendant, generał hr. Simonicz który w niczem nie dokuczał więźniom, zdawał się tego nie uważać — ale ex-dyrektor, wyprowadziwszy go za wrota, powrócił, i zaczął mię łżyć słowami, odgrażając podziemnym

lochem. «Czy nie wiesz, kto jestem?» wołał. «Czy mnie nie znasz?» — Spojrzałem mu w oczy, i poszedłem dalej. Na jego oskarżenie, łóżko mi na całą noc wyniesiono.

Nazajutrz, jeszcze mię kości bolały od leżenia na wilgotnej podłodze, gdy Morok wszedł z zapytaniem: «Jak się mają?» «Jak pies na łańcuchu!» rzekłem. Tego dnia odebrano mi arcaby, z chleba zrobione.

Przewidując, że sprawa moja miała się ku końcowi, gdy spojrzałem na me wytarte suknie, pyszło na myśl, że Moskale cieszyć się będą, gdy mię zobaczą wychodzącego obdartym. Chcąc zachować paleto, tarzające się na łóżku, od zupełnego zniszczenia, odprułem kawałek brytu od prześcieradła, skręciłem go w sznurek, z zamiarem przywiązania nim paleta do kraty, umieszczonej w małej framudze nade-drzwiami. Działo się to w nocy. Zaledwie zacząłem robotę, usłyszałem idących świecę objaśniać. Zdążyłem tylko ze stołu zeskoczyć i odstawić go, gdy inwalida wszedł i zaczepił głową o obwisły sznurek. Zrobiono alarm, sądząc że chciałem się powiesić; dano znać Morokowi, ten wpadł zaspany, czyniąc jakieś, niezwykle łagodnym tonem, perswazye, które dziwną stanowiły sprzeczność z jego tonem zwyczajnym — a odchodząc, kazał okienko we drzwiach odsłonić, i wartę przy niem w korytarzu postawić.

Odtąd, wąsata trwarz sołdacka z wytrzeszonemi oczyma, oprawna w ramki okienka, dzień i noc bez przerwy zwróconą ku mnie była, za każdym mym ruchem, jak na sprężynie się zwracając. Gdy podstąpiłem do ściany w sposób, że widzieć mię nie mógł, przyzywał konwój: drzwi otwierano i zaglądano, chociażby to co chwila powtarzać się miało.

Wezwano mię nazajutrz do komisyi. Sznurek już leżał przed prezesem. Na zadawane pytania, niewyraźnemi mono-syllabami odpowiadałem, z których mało co, lub nic dowiedzieć się nie mogli. Byłem już wówczas w stanie melancholicznego nastrojenia, jakiejś choroby, nieznanego mi nazwiska, która mię obojętnym na wszystko czyniła. Od tej pory raz tylko, pamiętam, jeszcze się uniosłem i schwyciwszy inwalidę za kołnierz za to, że zostawił knot swędzący na podłodze, za drzwi go wypchnąłem. Komisya wartę z korytarza przeprowadziła mi do celi.

Nieraz, ocknąwszy się, miałem szczerą ochotę pogawędzić

z sołdatem, myśląc że ludzie, gdyby znali się lepiej, gdyby porozumieli się wzajem, możeby się też między niemi i zaufanie znalazło; ale wszystkie me usiłowania w tej mierze były bezskuteczne. Uderzyło mię atoli, szczególniejszego rodzaju wpatrywanie się we mnie niektórych. Długo nie wiedziałem jego znaczenia. Gdy jednak dosłyszałem, jak raz szyldwach zdawał następnemu słowo: s'umaszedszyj — waryat — zrozumiałem bezecny wybieg komisyi, jako dodatek do srogich przykazów milczenia, dawanych żołnierzom.

Dzięki Bogu, zmysły moje ocalały; ale choroba sercowa wzrastała. Pragnąłem, aby zamieniła się w śmiertelną. Niekiedy, rzewną improwizacyę duszy, wyrażałem świstaniem. Orfeusz, szukał w lutni ulgi dla siebie — Szopen na fortepianie — Bajron na papierze — ja — w świstaniu.

Powzięto zamiar uleczenia mię, bo odtąd, szyldwach co kilka minut podchodził do mnie z pięścią i wykrzyknikiem «Nie dumaj!»

Sam Jołszyn raczył przyjść raz pod moje okienko, zajrzał, zastukał, a gdy nie powstawałem z łóżka, ukazał mi, pochyliwszy się, swój epolet. Napróżno. Ja go i bez epoletu poznałem, pomimo tego leżąc, świstałem sobie. Jołszyn i wszystko, co się koło mnie snuło, zdawało mi się być jakąś marą, nie mającą żadnego związku ze mną; i sołdackie nie dumaj! żadnego na mnie wrażenia nie robiło.

Stan ten trwał kilka tygodni. Przysłano mi książki, fajkę, prowadzono na przechadzkę, i przyszedłem nieco do siebie. Gdy się miałem lepiej, wezwano znowu do komisyi. Poraz pierwszy ujrzałem ją w komplecie. Był tam i sędzia inkwirent, w czarnym fraku, ze swoim protokólistą; był i pułkownik delegowany przez namiestnika, jako asystent ze strony obwinionego. Rzuciwszy okiem na te urzędowe twarze, przeczułem, że ostatni raz staję przed niemi, i przytomność umysłu wróciła.

POŻEGNANIE I KAZANIE.

Po spisaniu zwykłym trybem rodowodu, oświadczono, że protokół, moją ręką poprzednio skreślony, na nic się nie zdał — że ponieważ sam nie jestem w stanie pisać językiem urzędowym, protokólista mię zastąpi, a sędzia moje odpowiedzi dyktować mu będzie. Oznajmiono przytem, że co do oddania mię do wojska, rzecz ta już była rozstrzygniętą, że ponawianie jej do nich nie należy, i że śledztwo ograniczy się na mojej ucieczce z wojska. Odpowiedziałem, że ponieważ obrona moja i co do ucieczki znajduje się w zeznaniu; że opisany tam jest gwałt, wskazane źródło, które było jej przyczyną, dosyć więc jest oddzielić tę obronę od całego protokółu, bo nic więcej do tego, co raz napisałem, dodać, ani też ująć, nie mam. Prawda jest tylko jedna; rzekłem.

— Ale tam są nabazgrane fałsze; przerwał Leichte.

— Ażeby komuś je zarzucać, potrzeba ich dowieść.

Po tej przemówce, wzięto mię na pytania.

Wszystkie niemal odpowiedzi obracałem, jak na osi, na pierwszych zeznaniach, i nic w nich więcej nie wyraziłem nad to, co już czytelnikowi wiadomo. Różnica była tylko w słowach, wyrażeniach, rozwlekłości, i mnóstwie drobnych kwestyi, nie mających wprost związku ze sprawą, a wtrąconych umyślnie przez komisyę, aby nagromadzić jak najwięcej odpowiedzi przeczących: nie wiem, nie pamiętam, i t. d. a utrudzających zrozumienie rzeczy, i wzbudzających pewne podejrzenie.

Postrzegłszy się na tym zwrocie: odwołuję się do sumie-

nia pańskiego: rzekłem do sędziego w białym halsztuchu. «Nie masz mię pan potrzeby o to upominać — jestem przysięgły,» odrzekł, i już mniej kładł podobnych pytań, jak np.: o ulicę, na której mieszkałem za granicą, o datę jakąś, o ilość mianych przezemnie wtedy pieniędzy, i t. d., i t. d., postrzegłszy się znowu z swej strony, że już na nie zamiast przecząco, na chybi trafi odpowiadałem, w chęci nadania protokółowi cechy dokładności i prawdy.

Wspomniałem, że wyraziłem w nim to co w pierwszym; lecz o ile tamten, własnego pióra, był treściwym i jasno rzecz malującym, o tyle ten rozwlekłym, ciemnym, i wymagającym cierpliwości do wyszukania w nim istoty rzeczy. Język urzędowy, umiał drobnostki wyprowadzić na widok i wystawić w złem świetle, a główne punkta i energiczne wyrażenia właściwej obrony, już to opuszczać, już na usilne domagania się moje, wpisać, lecz to sposobem dziwnej retoryki, której sekret zna tylko Cytadela — retoryki, mogącej uśpić sędziów, zamiast zwrócić ich uwagę. Winienem tu przypomnieć, że protokół miał być jeszcze tłumaczony na język rossyjski, a przekładu już zeznającemu nie pokazują.

Bezczelność komisyi dochodzi częstokroć do tego stopnia, że targuje się ona z więźniem, mówiąc: «pozwolimy ci umieścić na twoją obronę to lub owo, lecz pod warunkiem, że my w tem a w tem miejscu, dodamy to a to» — jeżeli widzą, że to co dodadzą będzie szkodliwszem, aniżeli to, co pozwolą umieścić, obraniającem. Jakżeby potrzeba być samemu biegłym śledcą, ażeby się w tej grze z nimi nie oszukać.

Sędzia wraz z Leichtem wynosili się za drzwi w celu uradzenia pytania, aby mię pokrzyżować w zeznaniach. To im się jednak nie udało, dzięki mej dobrej pamięci.

Potrzeba było zachować zimną krew przy tej nieszczęsnej obronie, by mimowolnie nie wypowiedzieć tego, na co sidła naprzód były zastawione. Do tego chłodu wiele mi pomogło moje osłabienie ciała, i owe niezważanie na nich. Wszyscy razem krzyczą, każdy o co innego pyta, ażeby cię zmięszać, nie dać się zastanowić, lub zbić z drogi, na jaką w obronie popadłeś. Najlepiej wtedy czekać, dopóki jeden nie zacznie gadać.

Gdy dałem do zrozumienia tym ichmościom, że nie jestem

na giełdzie, ale w obec ludzi, którym powierzono wymiar sprawiedliwości:

— Będzie ci wymierzoną z pod sądu wojennego, jako dezerterowi — ozwał się Leichte.

— Pod tym względem, jestem zupełnie spokojny, zawołałem. Nastąpiłoby to chyba, gdyby J. O. X. Namiestnik zgodził się, aby na jednej ze mną ławie sądzono Generała Abramowicza.

— Bredzi, jak gdyby przed parlamentem. — Czy bywałeś na zgromadzeniach ludowych? zapytał z szyderstwem.

Dopytywano usilnie, co znaczy podkowa wisząca u mej laski, i nie chciano wierzyć, że to był wymysł rękodzielnika. Gdy, pod względem Mroczkowskiego, zacząłem się tłómaczyć tak szczęśliwie, że odpowiedź moja mogła mi posłużyć za punkt wyjścia do zupełnego uprawiedliwienia się w kwestyi, Leichte powstał i powiedziawszy sędziemu, aby zrobił nawias w protokóle, podyktował mu wyrazy:

— Komisya mając sumienne przekonanie, że obwiniony chce odpowiedzią niniejszą w błąd wprowadzić władzę, zabrania mu jej dokończenia. —

Zwróciłem się do pułkownika, mego asystenta. Ten muskając sobie wąsy, wybrzdąknął słów parę, niby wstawiając się za mną, które jednak tyle mi pomogły, ile umarłemu kadzidło; a dały tylko Leichtemu sposobność do popisania się z długą perorą nad procedurą śledczą i sądową. Mówił, że adwokaci i zbrodniarzy uwolnić potrafią wybiegami prawnemi — z czarnego zrobić białe; ale że oni, członkowie komisyi wojennej, wojskowi, ludzie zasłużeni i dobrej woli, gotowi do przelania krwi dla dobra kraju, noszą broń dla przecinania nią wszelkich nici do złego prowadzących — i ukazał na swój pałasz.

Lecz nie tyle Leichte, z całym swoim cynizmem, gniewał mię, ile major Szwajkowski, który w przeciwnej mu występował roli. Gdy odmawiałem podpisu, przybrał on charakter mego przyjaciela, patrona, uśmierzającego niby swym wpływem uniesienia komisyi i jednającego mię z nią. Wyraźna to była komedya.

«Ale zwróćcież, szanowni współkoledzy, uwagę na młodość, niedoświadczenie, dobre wychowanie człowieka, z którego kuzynem służyłem w wojsku,» i t. d. Słowa tego faryzeusza były

nieznośniejsze dla mnie, aniżeli wszystkich krzykaczy saduceuszów.

Podpisałem protokół, by się wyrwać coprędzej z jamy piekielnej.

Przy odejściu, nikt mię nie pożegnał, wyjąwszy Leichtego. Podstąpił do mnie, i głaskał z miną kota, po raz ostatni igrającego ze swoją zdobyczą, moje w sznurki polepione włosy.

«Tobie się może zdaje, rzecze nakoniec, żeś wielki człowiek — a tyś dureń; ale mógłbyś mieć syna lub wnuka, jeszcze większego durnia, któryby nawet był szkodliwym krajowi, to i lepiej że sobie pojedziesz. — Szczęśliwej podróży!»

I pojechałem! — A teraz przychodzi mi myśl, jakże biednymi są te chełpiące się płazy, o których Brodziński wyrzekł:

«Zamknęli się w twierdzach najeżonych działami, a oto drżą na widok chmur, które się nad ich głowami gromadzą; niosą światło w ręku, a zaćmieni niem, dnia jasnego nie widzą. Gdzie jest prawda i potęga nie wiedzą, bo zmylili z drogi miłości. —

«A oto sprzymierzeńcy umęczyli cię teraz już w imię religii i prawości, żeś się zastawiał za prawo twoje najświętsze; i burzycielem zwą naród, że wolną, przygotowaną mu śmiercią nie chce w cichości umierać.

«Nad tem ci wrogi nasze pracują, aby nas niedobitych w obcy naród przemienić. Oni najwięcej przeszłość naszą usiłują zatracić i wyniszczyć nasze pokolenie; tak jak niegdyś gdy Sławianom niewolę na krzyżu przynoszono, głoszono iż wolni ich niegdyś ojcowie, wszyscy w piekle goreją, ale oni rzekli: więc nie chcemy zbawienia, jeżeli ojców naszych widzieć nie będziem, i wolimy goreć z nimi w otchłani. Tak dla ojców chrztu odstępując, raczej mordować się dali.»

O! natura ludzka ma swoje prawa, których zniweczyć wszyscy Leichte, wszystkie Cytadele nie potrafią. Napróżna walka szatana z Bogiem. Niechaj piekło całe uzbroi się przeciwko armii z niebian złożonej, siła szatańska materjalna, ustąpić musi przed potęgą siły duchowej!

Dziki, koczujący Indyanin, przenosi na barkach kości przodków swoich; Fenix starożytnych odradza się z popiołów; popioły w urnach trzymano, jako relikwie. Po zburzeniu Troi, gdy

pozwolono Eneaszowi wynieść co miał najdroższego, wziął na plecy — ojca swojego!

Choćbyście nie tylko tysiące, ale miliony z ognisk domowych przesiedlili, to wolnego od wieków ludu nie zabijecie. Napróżne groble przeciw postępowi narodu, który party brzemieniem świetnej przeszłości, musi posuwać się naprzód. Im twardsza grobla, tem silniejsze wód uderzenie.

Wasze wschodnie uragany, rozproszyć i w niwecz obrócić mogą dziewięć ziarn siejby, ale dziesiąte, cięższe od innych, padnie na uprawną niwę naszą i dwadzieścia zrodzi.

Daremne słupy śmierci i pręgierze z kłódkami i łańcuchami do koła, obok rozwijającego się powolnie, naturalnie, drzewa wolności. Nie przeszkadzalibyście raczej do jego rozwoju, bo wywołujecie tylko pogardę, a żadnej ztąd korzyści dla was samych. Inaczej, czyny wasze przeszłyby jako fakta do archiwów, a w teraźniejszości i przyszłości bylibyście szczęśliwszymi. Lecz wy nawet własnego egoizmu zadowolić nie potraficie.

Skoro w Europie wyzwala się jaki naród, widmo rozćwiertowanej, na zagładę skazanej a wielkiej Polski, staje przed wami. Daremny zjazd wasz w Warszawie, bo sprawa narodowości stanowić będzie między narodami konieczną solidarność. Daremny bratni wasz toast ze krwi wytoczonej — śmieszne nazwanie świętem kołem, koła dusicieli!

Zdaje się wam, że budujecie niewzruszone bastyony na wieki, a nie rozumiecie, że w dzisiejszej epoce przejścia, szałasy by wam tylko dla siebie stawiać wypadało. Nie zdążycie położyć kamień na kamieniu, gdy już je fale daleko od was uniosą i zostaniecie bez schronienia. Czyż nie czytacie historyi narodów?

Wtedy, gdy Mojżesz, sam jeden mądry, prowadził tłumy ciemnego ludu, cuda się zjawiały — a wy, w XIX stuleciu ery chrześciańskiej, gdy już wiedza jest rozsianą w masach narodów, śmiecie głosić jeszcze wolę Cara przy pałaszu, za nieomylną? niby papieża z boskiego ramienia! Czemuż już lepiej nie nazwać się synami słońca? O, co wolno było Mojżeszowi, coby wolno nawet może było i papieżom, nie wolno Carowi!

«Pokorities jazycy, ibo s nami Boh?» — Upokórzcie

się narody [1], bo z nami Bóg — słowa Mikołajowskie w manifeście i na medalach, z czasu wojny węgierskiej. «Ruś święta» jak swój kraj nazywacie; «wielki ruski Bóg» czyż to nie są bluźnierstwa wasze?! Wasz Bóg wielki, a węgierski mały. Czyż nie gorszymi jesteście od bałwochwalców, którzy mieli większych i mniejszych bożków — nie dalekimi od miłości chrześciańskiej? Nabożeństwo wasze w dzwonach i pokłonach, znaczenie w odzieży, a przemysł w kradzieży. Chińczycy, których staracie się demoralizować, są nierównie wyższymi od was. Oni wyznają w sercu Konfucyusza, gdy wy modlicie się obłudnie na rogach ulic. Podwójnym krzyżem mordujecie bliźnich — zdobicie infułami Simaszków, w ustach kalacie słowo prawosławie i czynami to potwierdzacie — choć powiedziano jest, i otrzymaliście już raz te wyrazy przez poselstwo dońskich Kozaków: «Dwa razy przeklęty, ktoby nam wydarł domy nasze!»

O! na tej drodze nie daleko zajedziecie. — To wam powiada sumiennie wasz były sołdat, który wam się przyjrzał; i nie mógł się nie przyjrzeć, boście nie uważali na niego.

Drżycie na widok tego ludu moskiewskiego, tych jaskółek rewolucyjnych, pośród których żyjecie, a który nazywacie czerń nieproswieszczennaja — gmin nieoświecony. — Lud ten roboczy, cierpliwy do czasu. Zdaje wam się, że stąpając po rozpalonym cyferblacie, niezdolny jest dojrzeć maszyny z pod spodu; że stąpa jak koń na deptaku. Zgubne wyobrażenia! Czekają was wielkie nieszpory Sycylijskie, jeźli się nie poprawicie. Poruszenia tej czerni, jak ją zowiecie, cząstkowe, a częste i groźne, mianowicie w Petersburgu i Moskwie, któreście jeszcze potrafili uśmierzać powrozami i krwi rozlewem, niech tylko przyjmą rozmiar nieco ogólniejszego wybuchu, wtedy nie ma, nie ma dla was przebaczenia i ratunku, i czeka was śmierć sromotna!

Czyż lud ten nie woli, aby mu o czorcie Iwanie gadano, aniżeli o dziedzicu lub urzędniku? Głusi na to jesteście — macie uszy, a nie słyszycie — to chyba ockniecie się, gdy wam przyjdzie, jak parzonemu skorpionowi, własne żądło w sobie utopić!

[1] Jazycy, wyraz stary sławiański. Znaczy narody, cudzoziemcy — najwłaściwsze jego znaczenie: poganie.

Lada chwila wystąpi olbrzym — imię jego będzie Pugaczew II — przydomek: pan życia i śmierci. Nie wystąpi jako car, jako samozwaniec, ani jako panslawista, w imię wolności której nie rozumie; ale jako powstaniec-niewolnik, który zerwał sobie kaganiec i idzie w imię zemsty, w krwi utopić poddaństwo. Na odgłos jego drgnie żyłka ludowa — rozhula się hajdamacka drużyna po stepy — mordy robespierskie zbledną — Car oczy zmruży — zaświeci łuna pożogów — Kołokoł londyński zadzwoni! —

Terroryzm w Rossyi — broń moralna w Polsce — od tych zginąć musicie — bo nie czas już, nie czas, blichtrem drugich ślepić. — Z Polską się jeszcze trochę, a napróżno szamotać będziecie. I runie z hukiem ten olbrzymi bałwan, jak go nazwał ksiądz Lescoeur z kazalnicy «z sercem lodowatem, z żelaznemi ramiony» który się już chwieje na glinianych nogach; bo to jest koniecznem następstwem — bo ambicya wyuzdana, gwałt i podstęp uorganizowany, nigdy zatamować nie zdołają źródła nieśmiertelnego, i zawsze wytryskującego: cywilizacyi i wolności.

«Widok jaki stan Rossyi przedstawia obecnie, powiedział książe Dołgorukow, smutny jest i bolesny dla każdego człowieka z sercem, a tem więcej dla Rossyanina. Kraj obfitujący w bogactwa przyrody, dotąd jeszcze w większej części nie tknięte, naród obdarzony zdrowym rozsądkiem, licznemi zdolnościami, szlachetnym charakterem, dobrocią duszy: naród ten i kraj ten, pomimo darów tak obfitych, w jakże opłakanym i poniżającym znajdują się stanie! Cóż widzimy w Rossyi? Sądownictwo bez prawa. Z paczką biletów bankowych w ręku, trzeba przejść przez dziesięć instancyi, aby w jedenastej spotkać się z carskim ukazem, który podług upodobania rozrządza majątkami i osobami swoich niewolników, swoich tak zwanych, przez ironię, poddanych. Administracyi rządowej, rozsądnej, nie masz wcale; administruje fantazya i łupieztwo. Horda urzędników i tajna policya rządzi się samowolnie i wszechwładnie na obszarze, zajmującym dziewiątą część kuli ziemskiej; obdziera i uciska bezkarnie prosty i zacny lud rossyjski. Szlachta w stanie niewolniczym. Szlachcic nie jest czem innem tylko chłopem uprzywilejowanym; jego majątek, wolność osobista, zasługa, zależą od

carskiego widzimi się, od grabieży urzędników i od arbitralności tajnej policyi. Klassa kupiecka bardziej jeszcze od szlachty przyciśniona, skrępowana przepisami niezgodnemi z duchem wieku. Mieszczanie wystawieni na największe krzywdy i upokorzenia. Włościanie, którym przyobiecano polepszenie bytu i którzy mają niezaprzeczone prawo nie tylko do lepszego bytu, ale i do wolności, oczekują dotąd na ziszczenie przez cara danego im słowa, a tymczasem projekta komisyi przygotowawczej wyraźnie już skłaniają się ku robocie obowiązującej, ku pół-niewoli, która jest najmniej podobną, w tej zwłaszcza epoce krytycznej, przez jaką Rossya przechodzi. Duchowieństwo kierowane według kaprysu dygnitarzy cerkwi, którymi z kolei rządzi i kaprys ministra. Wolność wyznań religijnych nie istnieje; brak jej obfitym jest źródłem dochodów dla tajnej policyi i bandy urzędników, u których sekciarze okupują pieniędzmi swoją spokojność. Wojsko, nasi waleczni żołnierze, nędznie utrzymywane, bez ustanku okradane, i na domiar nędzy, cielesnemi karami znieważane. Monopol wódki psując i znikczemniając lud, jest zarazem, jakby zwierciadłem systematycznie uorganizowanej grabieży rządowej, prawie niesłychanej w kronikach narodów. Finanse w rozprzęgnieniu, kredyt państwa w zupełnym upadku, w budżecie ciągły deficit; a pomimo to, pieniądze skarbowe krwawy grosz rossyjskiego ludu, rozpraszają się w podarunkach dla faworytów niegodnych, niezdolnych i powszechnie wzgardzonych. Cenzura ostatecznie przytłumia wszelką myśli swobodę. Pozostaje forma rządu despotyczna, azyatycka, pod którą jęczy Rossya.

«Jakże wydobyć się, dodaje znamienity autor, z tak okropnego, z tak haniebnego położenia? Jądra złego nie trzeba szukać w narodzie, ale w formie rządu. Zmiana zupełna niezbędną jest w Rossyi. Dwie drogi rozchodzą się przed nami: droga spokojna i świetna, to jest zmiana systematu rządowego z góry, przez samego cara dokonana; druga burzliwa, pełna niebezpieczeństwa — droga rewolucyi!»

JAKI KONIEC LEICHTEGO.

Gdy kto mieczem wojuje, to od miecza ginie; Leichte wojując więzieniem, w niem też i koniec swój znalazł.

Doszła mnie o nim pogłoska następująca:

Aleksander II, uwolniwszy, po wstąpieniu na tron, niektórych wygnańców z Syberyi, w ich liczbie pomieścił pewnego Żyda nazwiskiem Rosengold, niewiadomo za co zesłanego, bo w konfirmancyi jego nic powiedziane nie było, nad to, że go się naznacza na przesiedlenie w skutek najwyższego rozkazu. Konfirmacya tego rodzaju nie była nowiną, z tem wszystkiem Żyd ułaskawiony, szczęśliwie powrócił do Warszawy. — Ale za powrotem, podał skargę na imię cesarskie, udowodniającą jego niewinność, straty jakie w skutek wygnania poniósł, jakoteż wszystkie nadużycia, niegodziwości Leichtego, Grasa, Jołszyna, Bogatki, Dobronokiego, sędziego Bruszewskiego, i przekupstwa którym ciż podlegali, a które tolerowane być miały przez nieboszczyka Namiestnika. Podanie było tak pełne uderzających faktów, że cesarz rozkazał naprowadzić jak najściślejsze śledztwo, pod którem Żyd się utrzymał. — Całą winą jego miało być że służył za ślepe narzędzie do niecnych czynów Leichtego, a wcieliwszy się mimowolnie do tajemnic, gdy już nie był potrzebnym, został posadzony w kibitkę. — Śledztwo ciągnęło się długo, i jak się zdawało, zawikłane by było na czas nieograniczony, przez intrygi towarzyszów Leichtego, gdyby ten nie miał był, na kilka miesięcy wprzódy, procesu kryminalnego w sprawie następującej:

Udarowany dobrami skonfiskowanemi, przyjeżdżał tam na polowanie — ale tak był niecierpiany przez sąsiadów, że skoro gończy pies jego zabłąkał się za granicę nadanych posiadłości, inni myśliwi strzelali do niego. Leichte, jednego ze strzelców pochwycić i tak przy sobie skatować kazał, że na pół umarły, odwieziony do szpitala, wkrótce życie zakończył. Nic sobie z tego nie robiąc, odzywał się, że przeciw rossyjskiemu pułkownikowi, wrogi jego nic nie wskurają.

Dwie te sprawy, jednocześnie przedstawiono nowemu monarsze o którego wolnomyślności głoszono, i pułkownik przed sąd w Warszawie powołany został. Przybywszy do trybunału, na krześle się rozparł, a gdy go zapytano o imię, nazwisko, stan i wyznanie: «Czy pan nie wiesz, kto jestem?» rzecze do prezesa. «Zbrodniarz jesteś, odpowiedział tenże — wstań i odpowiadaj na pytania.»

Gdy rzecz niebezpieczny dla niego wzięła obrót, powiesić się zamierzył. Schwytany na uczynku i oskarżony o zamiar samobójstwa przez prokuratora królewskiego, sprawę pogorszył; lecz że ta była w związku z polityczną, na rozkaz gubernatora Warszawy, do Cytadeli odesłany został.

Opowiadający mi o tem zdarzeniu, nadmienił, że było ono jednym z powodów, do zniesienia z urzędu głównego dyrektora komisyi sprawiedliwości, hr. Skarbka, jako podejrzanego przez Muchanowa o tolerowanie żądania prokuratora, aby winowajca, wedle prawa krajowego, na drodze kryminalnej odpowiadał.

Jeżeli rzeczywiście Salomon cytadelski posadzony do Cytadeli, myślę, że nic mu tam złego nie zrobią.

KONFIRMANCYA. BĄDŹ ZDROWA WARSZAWO!

Żandarm przybył z golibrodą. Włosy mi ostrzyżono, paznokcie obcięto — które zapuściłem był, aby służyły w miejsce grzebienia — odebrano skarbowe obuwie, a moje, podarte w Cytadeli, zwrócono; zaprowadzono do Moroka, który mi rzeczy oddał, pieniądze zaś żandarmowi do dalszej przesyłki wręczył, i podpisać kazał, że nie mam żadnego do komisyi zażalenia.

Wyszedłem na dziedziniec, ostatni raz obejrzałem się na okna zabielone — żandarmi szanowali chwilowe me rozmyślanie — księżyc oświecał massy kamienne.

Dorożka czekała przed parkanem, wsiedliśmy i potoczyła się, mijając fosy i wały. Też same ulice Warszawy, te domy, ci ludzie uwijający się po trotoarach, wszystko tak jak było; ale tego wieczora zdawało się piękniejsze, odzwyczajonemu od podobnego widoku. Patrząc na owe miejsca, świadki mego dzieciństwa, gdzie niegdyś byłem szczęśliwy, zapomniałem że mię uwożą — rozczarowane nastąpiło, gdy dorożka zatrzymała się na Saskim placu, przed biórem komendanta Warszawy, jenerała Tuczka, z którym już zapoznałem czytelnika w pierwszym rozdziale tej książki.

Mieliżby i na ten raz, przez jakieś lekceważenia, nie przedstawić mi wyroku? chcieliżby dać znowu powód do obrony, w razie nowej ucieczki? —

Przybył kapitan od inwalidów i odczytał przedstawienie komisyi, treści następującej:

«W odpowiedzi na reskryt J. O. Ks. Namiestnika, i t. d. — okazało się:

1° Że N. N. już raz był oddany za karę do wojska w roku 1846 za — tutaj wyrażono, słowo w słowo, to, co szpieg Brzezański doniósł policmajstrowi, a nie powiedziano, przez kogo mianowicie byłem oddany do wojska. Z tego powodu, znowu później już w Rossyi, musiałem ponowić tęż samą sprawę, i zanim ją wyjaśniłem, siedzieć na odwachu, jako podejrzany o oczernienie władzy. —

2° Że z drogi na Kaukaz, dokąd był naznaczony, z pod straży dezerterował.

3° Że skarbowe, rekruckie rzeczy mu dane, utracił.

4° Że czas dezercyi przepędził na tułactwie za granicą.

5° Że w roku zeszłym, 1848, przybył z Księstwa Poznańskiego na granicę Królestwa Polskiego, bez żadnego poprzednio zawiadomienia ambassadora o swoim zamiarze powrotu, i oznajmił, że powraca dobrowolnie, w chęci uniknienia wszczynającego się tamże rokoszu, zdając się niby na łaskę Najjaśniejszego Pana. Komisya jednak, po uczynionem śledztwie, powzięła sumienne przekonanie, że powrót jego nie był dobrowolny, ale zmuszony okolicznościami — że wstąpił on w granice królestwa, nie mając się gdzieindziej schronić przed grożącem mu niebezpieczeństwem, podpadnięcia losowi jaki spotkał wielu powstańców.

6° Że był w stosunkach z emigrantem Mroczkowskim, i sam to zeznał. Przy naocznej jednak z nim konfrontacyi, zeznanie swoje odwołał — ojcowskie napomnienia i przestrogi komissyi, nietylko skłonić go nie zdołały do stanowczego wyznania prawdy, ale przeciwnie, starał się jeszcze w błąd ją wprowadzić.

Zważywszy powyższe szczegóły, komisya uważa N. N. za źle myślącego — złoumyszlennika — co ztwierdził całem zachowaniem się podczas śledztwa.»

Na sprawozdaniu, potwierdzonem przez kancellaryę gubernatora wojennego, dołączoną była konfirmancya namiestnicza:

«Jakkolwiekby wypadało oddać oskarżonego pod sąd wojenny jako dezertera, mając jednak na względzie jego młodość,

uwalnia się go na ten jeden raz, drogą łaski, od sądu — nie w primier drugim — nie za przykład innym — i naznacza do służby wojskowej do oddzielnego orenburgskiego korpusu, dokąd ma być odesłany pod żandarmskim konwojem, pocztą.» —

Papier ten kazano mi podpisać wyrazami: odczytano mi i przyjmuję. Podpisałem odczytano, a słowo «przyjmuję» opuściłem. Dano znać o tem komendantowi. Ten za przybyciem zapytał, czy śmiem się sprzeciwiać woli najwyższej? Przepraszam jenerale! rzekłem; nie podnoszę głosu przeciw woli najwyższej, ale przeciw fałszywemu przedstawieniu komisyi żandarmskiej, którego stwierdzić nie mogę, bez ubliżenia własnej godności. I nie podpisałem.

Tymczasem też podoficer nadszedł. Tuczek oświadczył, ukazując na niego, że odtąd jest moim naczelnikiem i że winienem mu ślepe posłuszeństwo. Wychodząc z kancellaryi, zastałem w pierwszej sali kilku oficerów. Assystencye podobne, są u Moskali zwyczajem. Skłoniłem się tym panom, ale żaden mi się nie odkłonił, wyjąwszy atamana Kozaków. Przemówiłem jeszcze do Tuczka, prosząc, aby mi pozwolił kupić obuwie na drogę. Odpowiedział, że będę mógł załatwić to w podróży — wreszcie że on mi każe wydać skarbowe buty, lecz zarazem i cały uniform rekrucki. Podziękowałem, oświadczając, że chciałbym jak najmniej narażać skarb na wydatki dla mnie, i opuściłem zgromadzenie.

Bryczka pocztowa już stała na dziedzińcu, i za kilka minut ujrzałem się na Krakowskiem Przedmieściu. Patrzyłem w okna domów, w nadziei ujrzenia rysującej się na szybie sylwetki, jakiej znajomej twarzy. Po latach kilku, ileż tam zmian zajść musiało! Brała ochota nie do jednych drzwi zapukać.

Konie skręciły na Bednarską ulicę. Zniknął za mną wkrótce most na Wiśle, a za nim nadobna Warszawa, od strony Pragi; znikły jej gorejące światła, bladą łunę po sobie zostawiając — nakoniec i ta ustąpiła światłu księżyca.

Ujrzałem się na szosie wiodącej do Brześcia, którą już przebywałem z czytelnikiem, i zacząłem gawędę z żandarmem to o tem, to o owem. — Nic nie wiedziałem, że w 1848 cholera grasowała w Warszawie. Zaledwie kilka wiorst ujechałem, byłem

opanowany przez gorączkę, której każdy więzień ulega, gdy nagle na wiatr jest wystawiony; słabość to atoli, podobnie jak choroba morska, jest przemijającą. Na pierwszej stacyi pocztowej, w Miłosny, gdzie Polki zazwyczaj oczekują na przejeżdżających więźniów, żadnej z nich nie zastałem; nikt w Warszawie o mnie nie wiedział, to też nikt i nie czekał. Potem, utrudzony wzruszeniami dnia tego, zasnąłem, i przy przemianie koni na następnych stacyach, senny z bryczki do bryczki przesiadałem.

Skoro pierwszy brzask dzienny ozłocił doliny, skowronki świegotały mi nad głową — miryady niedościgłych okiem owadów brzęczały na źdźbłach trawy; wszystko nuciło hymn wszechstworzenia. Wtedy modliłem się, modliłem głęboko; ale modlitwa ta nie dałaby się słowami wyrazić. Jakże świat ten jest piękny i w szczęście obfity! Niebo przeźroczyste rozrzucone tu i owdzie wioski, stary kościołek przy drodze mchem porośnięty, skrzętne pszczółki brzęczące około ulów, głosy oraczy krających ziemię w skiby, śmiechy i piosenki dziewcząt w ogrodach, zatarły w pamięci więzienie i uczyniły nieoględnym na przyszłość. Taka jest radość więźnia rozkutego!

Znowu przybyliśmy do stacyi, ale pocztmajster oznajmił, że koni nie ma i że czekać musimy, dopóki zkąd nie powrócą. Ucieszony tą zwłoką, kazałem zrobić berbaty, zapaliłem cygaro i wszczęłem rozmowę z pocztmajstrem. Gdy żandarm oddalił się na chwilę, podstąpił on do mnie z prośbą o powiedzenie mu mego nazwiska; potem wyjął książeczkę z ukrycia, i wpisując je, ukazał poczet przejeżdżających tamtędy wygnańców. Między tymi byli taci, którzy na dwa dni przedemną przejeżdżali.

Widząc poczciwego pocztmajstra, rozprawiałem o wszystkiem, co zauważałem najwięcej uderzającego w Cydaleli. Ten przy żandarmie przybrał minę, wpatrując się w swoje papiery, niby niewiele zwracającego uwagi na me słowa — a żandarm wyraźnie był zakłopotany, bo dwukrotne jego przestrogi, zachęcające mię do milczenia, nic nie skutkowały, a konie z niskąd też nie powracały — ja zaś chodząc po pokoju, gadałem, bo potrzebowałem się wygadać, chociażby przed sobą samym.

Jednakże miałem słuchaczy: w przyległym salonie byli goście, którzy cichutko się sprawiali; ale przy wyjeździe usłyszałem naraz szelest kilku osób, i krzyk w korytarzu, który na wskróś mię przeniknął, bo w wyrazach: «Mamo, mamo, już go wiezą!» cała uczuciowej Polki ozwała się dusza. Gdy obejrzałem się z bryczki, dorodna dziewica stała nieruchoma na balkonie, z rękoma na krzyż złożonemi. Patrzyłem na nią chwilę, i odwróciłem głowę — gdy znowu spojrzałem, już jej nie było.

XVII.

PODRÓŻ W STEPY KIRGIZKIE.

XVII.

PODRÓŻ W STEPY KIRGIZKIE.

XVII.

Podróż czekała mię długa. Orenburg, miejsce mego przeznaczenia, był w odległości około 3,000 wiorst. Potrzeba było przebyć całą w poprzek Rossyę, i zatrzymać się dopiero tam, gdzie Ural toczy swe nurty. Ileż to nowych krain, nieznanych mi ludów miałem w przelocie obaczyć? z tem wszystkiem zdało mi się, że koła zbyt szybko się toczą.

Im dalej posuwałem się ku wschodowi w prowincyach Polski, tem więcej postrzegałem oznak prawdziwego współczucia pomiędzy ziomkami. Ogrzewany niem, zapominałem o mojej przeszłości, atoli dwugłowe orły u każdych drzwi pocztowych, przywodziły bolesne wspomnienia. W piersi Prometeusza, przykutego do skały Kaukazu, jeden tylko sęp zatapiał szpony — na łono Ojczyzny napadło ich kilka; a każdy szamocąc się z nią, pozostawił pierza swego i krwią się splamił!

Przejeżdżając przez Siedlce, spotkałem studentów idących w porządku z nauczycielami z gimnazyum do kościoła. Kilku z nich poskoczyło na pocztę — jeden chciał koniecznie ze mną rozmawiać, ale żandarm go nie dopuścił. Młodzieniec ten nie był mi znany, patrząc na niego wszelakoż, o mało nie zawołałem: Wszak Potocki jesteś? syn powieszonego w tem mieście!

W ogóle na pocztach, urzędnicy i ich familje dawali mi dowody przyjacielskiej życzliwości, szczególniej na Litwie. — Zwróciłem tam uwagę na suty obiad który mi zastawiano, a za który tak mało policzono, że się żandarm zdziwił; lecz gdy zapytałem o nazwisko dziedzica miejscowej posiadłości, postrzegłem, że pierwsza litera tegoż znajdowała się na łyżce, którą jadłem.

Pewien urzędnik pocztowy był tyle śmiały, że gdy go zapytałem, co znaczą wojska, które spotykam po drodze, «a czy to pan nie wie o wojnie węgierskiej, rzecze z uśmiechem, czy mu nie wiadomo, że Bem walczy obosiecznym pałaszem?» — i byłby mówił dalej, gdyby żandarm nie był mu stanął na przeszkodzie. Przybywając z cytadeli, jak z innego świata, nic o tem wszystkiem nie wiedziałem, i znaczenie obosiecznego pałasza zrozumiałem dopiero, gdy wyczytałem z gazet o bohaterskich bitwach Bema z Rossyą i Austryą razem.

Wojska maszerujące, rozstępowały się na odgłos dzwonków bryczki, zostawiając wolny przejazd środkiem; żołnierstwo piechotne złorzeczyło, rotmistrze zaś od ułanów pozdrawiali mię uprzejmie; a nawet na stacyach prosili, jakkolwiek daremnie, anioła stróża, a dozwolenie mi przepędzenia godziny w ich kole.

Ta wydatna różnica w usposobieniach wojsk rossyjskich pochodzi ztąd, że w ułanach służy najwięcej Polaków, i że ci nie zostaną Moskalami, jak Włosi i Węgrzy nie zostali Austryakami. Zaślubiny dwóch ludów, sprzecznych w chęciach i dążnościach, miejsca mieć nie mogą. Nie potrzeba Tailleranda, aby to zrozumiał. Republikański Rzym wywarł wpływ na Polskę, Grecya bizantyjska na Rossyę. Elementa wolności i niewoli nie dadzą się pogodzić — mocarz nigdy Polaków na prawdziwych obywateli moskiewskich przeistoczyć nie zdoła; strzegą mu oni, parci żelazną rękawicą, Czerkiesów z fortec Kaukazu, Czerkiesi, strzegą Warszawian, bo car jest nadzorcą więziennym!

Trudnoby wyliczyć wszystkie oznaki współczucia, widome lub tajne, jakiemi mię darzono w podróży. Często przejeżdżający powóz zawrócił się, by mi towarzyszyć wiorstę lub pół wiorsty; ale żaden wyraz politowania pięknej damy, nie wzbudził tyle wdzięczności, ile jakakolwiek przychylność człowieka okrytego rossyjskim mundurem. Zaprawdę, jeźli wszystkie są piękne cnoty, to litość, dobrze pojęta, wszystkich cnót duszą.

Było to na Litwie. Dozorca poczty gdzie na noc się zatrzymałem, był rodowity Moskal. Żandarm, mając w nim więcej, jak w innych zaufania, pozostawił mię pod jego nadzorem, a sam udał się do dziedzica wsi, w celu otrzymania dwóch włościan, do pilnowania mię, gdy spać będzie. Zaledwie wyszedł, nadjeżdżająca kareta zatrzymała się przed pocztą, a dozorca —

smotrytiel — wybiegł obaczyć podróżnych, a potem wpadł do sali i kazał mi się z niej wynosić czemprędzej do przedpokoju, oświadczając, że jenerał Hurko przejeżdża z Kaukazu. Pod tę właśnie chwilę nadszedł i adjutant jenerała, a gdy smotrytiel śmiał mię przed nim nazwać politycznym przestępcą: idź precz! ofuknął tupnąwszy. Smotrytiel, jakkolwiek urzędnik, ale urzędnik niewolnik, wyprostował się przed adjutantem w sposób sołdacki, skłonił się i odszedł. Adjutant też postąpił za nim, wołając o prędki przeprzęg koni, a Hurko przybył do sali. Byliśmy sami. Zapytałem go, czy obecność moja nie przeszkadza mu w czem. Bynajmniej, rzecze po polsku, i proszę sobie nie robić najmniejszej subjekcyi. W wyrażeniach jego malowała się ujmująca słodycz, znikł rossyjski jenerał, pozostał człowiek.

— I daleko też pana wiezą? zapytał.

— Do Orenburga.

Westchnął w cichości.

Zdarzenie mieć chciało, abym w kilka dni później, napotkał niejakiego p. Paca, powracającego z Kaukazu w skutek ułaskawienia, na mieszkanie do jednej z gubernji, bliższej granic Polski. Temu gdy wspomniałem o spotkaniu się z Hurkiem: to mój dobrodziej, zawołał — u niego na Kaukazie mieszkałem, i jemu winienem tranzlokacyę.

Ale w tej samej wiosce, wiosce A., gdzie poznałem jenerała, zaszła komiczno-dramatyczna scena, godna wspomnienia.

Wkrótce po wyjeździe jego, wpada mój żandarm zadyszany, czerwony jak burak.

— Ha szlachcic! — woła — zawadyaka! ale ja jemu dam! — Polaczyszka! myśli, że był kapitanem w gwardyi w Petersburgu, tu mu już wolno kandydata na oficera żandarmskiego za drzwi wyrzucać! —

— Może pan sierżant obudziłeś szlachcica, rzekłem.

— Nie, nie! był w szlafroku, jeszcze nie spał — polaczyszka!

— I o co to wam poszło? Gotowiście się wyzwać na pojedynek — od szpilki do armaty.

— Nie żartuj sobie pan — i proszę się zabierać, pojedziemy.

— Wygodnie mi tu pod tą kołderką. Dobranoc waćpanu! — Stróże nie przychodzili, ja zasnąłem.

Przejeżdżając przez wioskę, o rannej zorzy, postrzegam męż-

czyznę wysokiego wzrostu, z dubeltówką na ramieniu i smyczą psów w ręku. Żandarm obaczywszy go, głowę odwrócił. Na mój ukłon, nieznajomy przyjacielskim gestem odpowiedział, a do niebieskiego zawołał:

— Wiesz, że nie miałeś prawa nocować z aresztowanym w miejscu, gdzie nie ma wojskowej komendy. Jak mi tu jeszcze raz zajedziesz, każę cię związać i do miasta odstawić!

Żandarm oblany żółcią gniewu bełkotał:

— Dobrze, dobrze, doniosę ja o wszystkiem Księciu Namiestnikowi — —

— Idź do szatana z twoim Księciem Namiestnikiem! — była odpowiedź szlachcica.

Wrażenie podróży! —

Po przejeździe Polski kongresowej, żandarm mniej mię miał na baczności i zostawiał w salach dla podróżnych, gdy sam szedł do kancelaryi opłacać podróż. Otoż, w jednej z tych sal zastałem dwóch obywateli z których młodszy zrobił uwagę, że zastanawia go ta łatowierność mego stróża. Na następnej stacyi, znowu ujrzałem się sam — było to, nie dojeżdżając do miasta Słucka — stróż mój poszedł przemienić koszulę do stajni. Wyszedłem na dziedziniec otoczony wałem, następnie postąpiłem za wrota; a ujrzawszy się bez nadzoru, uczucie osobistej wolności, myśl ucieczki, wstrząsnęła mną całym — choć nie miałem ani grosza, i nie wiedziałem gdzie się obrócić.

BĄDŹ CO BĄDŹ!

Obejrzałem się do koła, nigdzie nie dostrzegłem żadnej istoty ludzkiej; wzrok zatrzymał się na lasach otaczających dolinę, ale do lasu było daleko. Obaczyłem także na stronie mury spustoszonego zamczyska, czy kościoła; tam więc skierowałem kroki. Najprzód szedłem wolno, oglądając się, czy kto za mną nie patrzy, i czy nie pozostawiam tropów na murawie; potem puściłem się cwałem. Byle dobiedz do zwalisk! myślałem że tam, może gdzie w jakiej framudze wśród gruzów, w jakiej piwnicy, lub pieczarach, znajdę schronienie do nocy. Ale osłabionego więzieniem, siły w biegu opuszczały; kaszel zaksztusił, i zwątpiłem abym zdążył na czas do celu.

Uglądam na prędce innego schronienia, lecz nadaremnie — przed rozpoczęciem wiosny, krzaki były ogołocone z liści, pola ze zboża, łąki z trawy. Napotkawszy smętarz wiejski, tam szukałem jakiego wydrążonego posągu, jakiegokolwiek miejsca, gdziebym się mógł był ukryć; lecz kapliczki, które zdala nęciły moje oko, były pozamykane.

Spocząwszy trochę, puściłem się dalej; bo znowu wiatrak, w niewielkiej odległości, zwrócił moją uwagę. Skrzydła się jego nie obracały, wniosłem ztąd, że nikogo w nim nie ma. Podstąpiłem pod wiatrak z nadzieją schowania się chociaż między kamienie młyńskie, lub worki zboża, jeźli je tam znajdę; lecz i wiatrak był zamknięty, i nie było w nim żadnej szczeliny, przez którąbym mógł był do niego się wcisnąć.

Wtedy zachwiałem się w postanowieniu — trwoga wzrastała

— ale powracać na pocztę zdawało mi się za późno. Już mię tam szukać muszą, pomyślałem — i znowu zdążałem do zwalisk. Był to wielki klasztor po-jezuicki, otoczony sadami, murem i na każdym roku wyniosłą, spiczastą wieżycą.

Stanąłem przecież u najbliższej z nich. Przez gotycki otwór, gdzie były drzwi niegdyś, wszedłem do niej i spojrzałem do góry. Wieża zdawała się być bezpieczniejszem od innych schronieniem. Z dołu na pierwsze jej piętro schodów nie było, ale ztamtąd na drugie prowadziły schodki; piętra zaś były poprzedzielane kilkoma na pół przegniłemi deskami, porozrzucanemi na belkach, i dach był przeźroczysty jak sito. — Cisza zupełna panowała jeszcze około poczty.

Powziąłem zamiar wleźć na poddasze i położyć się na szerokim murze. Chodziło tylko, jak dostać się najprzód na pierwsze piętro. Do uskutecznienia tego, wiele ułatwiła framuga od wielkiego niegdyś okna, wspólnego parterowi i pierwszemu piętru. Oparłszy kawałek drzewa o mur, po nim się do niej wdrapałem; następnie drzewo odepchnąłem, i uchwyciwszy się oburącz belki sufitu, wysilonym podskokiem, od którego kości we mnie zachrupotały, dostałem się na piętro, zkąd po schodkach postąpiłem wyżej; lecz na poddasze wleźć było niepodobna, bo tam już żadnych schodów, framugi, ani wiązań z belek nie postrzegłem. W takim razie, upatrzywszy najmocniejszą deskę, rozciągnąłem się na niej, i czekałem co dalej będzie.

Kwandrans upłynął w ciszy — potem szmer i głosy w oddaleniu słyszeć się dały — później znowu nastąpiło milczenie. Nagle, dzwonki pocztarskie uderzyły. Sądziłem, że chcą mię gonić gościńcem, ale odgłos metalowy coraz się stawał wyraźniejszym.

Nie ma wątpliwości, ku mnie się zbliżają. Wydobywam medalik z Matką Boską i cisnę go do łona. Dzwonki ucichły przed zwaliskami. Słyszę zmięszane głosy kilku osób — w zwaliskach odbywa się poszukiwanie — zbliżają się i do wieżycy — poznaję głos żandarma — wchodzi z jakimiś chłopcami — przenikam jak patrzy w górę — zatrzymuję oddech, a serce mi bije. Wyszedł przecież ze słowami: «Tamby wleźć nie mógł.»

Upłynęła godzina czasu — głosy to się zbliżały; to oddalały, to całkowicie nikły. Atoli znowu ktoś stąpa na dole; za nim nadchodzi jakiś chłopiec, bo głos ma cienki; rozmawiają po rusku — głos gruby czyni uwagę, że kurz na framudze zdaje się być starty, cienki mu przeczy, a potem niknie. Ale ktoś powoli drapie się na mury — już jest na pierwszem piętrze — przepadłem! — leżę jednak ciągle — Następuje powolne, ciężkie, stąpanie po schodkach, a potem wyrasta mi przed oczyma czarna brodata głowa w baraniej czapce — pokazała się, i opuściła.

O! jeżeli człowiek ten ma choć cokolwiek serca, to mię nie zdradzi: to mię nie zdradzi, myślałem, i nie opuszczałem stanowiska. Próżne złudzenie! Okrzyki ozwały się i gromada ludu zdążała do wieży. Powstałem, zszedłem na pierwsze piętro, i oczekiwałem na przybyszów. Brodata głowa, niebieski żandarm i kilku żydów, byli najpierwszy goście; za nimi ukazał się młody oficer od artyleryi. Kazano mi złazić. Łatwo było kazać: wleźć mogłem, ale zleźć nie potrafiłem; posłano więc po drabiny, a gdy zszedłem, żandarm chwycił mię za rękę i odezwał się, że mógłby mię zabić i nic by mu za to nie było — młody oficer kazał mu się uspokoić.

Po tym wypadku, gdy wyszedłem na pole, reszta pospólstwa postępowała za mną — jedni bluźnili, drudzy mię żałowali. Żołnierze artyleryi konnej, we wsi kwaterujący, kłusowali ku lasom; a w pewnej odległości od zwalisk stał ich pułkownik. Zbliżyłem się roztargniony ku niemu, i poprosiłem o chwilową protekcyę. «I cóżbym ja dla pana mógł zrobić?» rzekł zaambarasowany, czysto po polsku. Powiedziałem, że naigrawanie się z nieszczęścia, przykre na mnie robi wrażenie. Krzyknął na zgrają i rozpierzchła się. Właśnie też pocztmajster, ubrany w mundur, podjechał; gdy wsiadłem do bryczki; objął mię w pół. «Czy się pan nie wstydzisz, rzekłem, wszak nie jesteś policyjnym sługą!» Opuścił rękę i zaczął się tłumaczyć, że to się stało na jego stacyi, że byłby odpowiedzialnym, i t. d.

Zaledwie przybyliśmy na pocztę, nadjechał i pułkownik. Zostawszy ze mną sam na sam, nie wspominał o ucieczce, ale wypytywał łagodnie o przeszłość moją, o przyczynę zsyłki, i t. p., potem wyszedł do pokoju, gdzie żandarm oczekiwał, i wyrzu-

cał mu nienadzór, jako powód do wszystkiego. Odtąd pułkownika nie widziałem, a gdy żandarm przybył z oznajmieniem, że wedle danej mu instrukcyi, służy mu prawo okucia mię w kajdany, ale że jeźli mi raz je włoży, już mu ich zdjąć niewolno, ale okutego winien będzie oddać władzy za przybyciem do Orenburga; radziłem aby zaniechał tego środka ostrożności, za który i sam by zapewne na drodze śledztwa odpowiadać musiał, i że lepiej wszystko ukończyć po cichu, zgodą. Wreszcie, dodałem, cóż się tak wielkiego stało, że poszedłem zwiedzić ruiny?

— Jesteś człowiek bez litości! wołał. Chciałeś mię pozbawić rangi oficerskiej, której oczekuję za pomyślne odstawienie kilku przestępców. Okuję pana, okuję, lub mi daj najświętsze słowo, że w myśli twojej nie postanie ucieczka.

— Słuchaj sierżancie! wyznaję, że mocno żałuję mego kroku, ale żałuję dla tego, że mi się nie udał. Widzisz jak jestem otwarty. Z tem wszystkiem, daję ci słowo, że już dojadę na miejsce.

Żandarm się nieco udobruchał.

Ale jakże przykre znowu odebrałem wrażenie, gdy siadając na ten raz do krytej bryczki, czarna głowa jeszcze mi się ukazała. — Zdrajca, który był oficerskim sługą, przyszedł z przeprosinami, mówiąc, że i on jest katolik a nie prawosławny, ale że przysięgał carowi, wiernym mu więc pozostaje. Nic boleśniejszego, jak widzieć w bliźnim wiarę nieoświeconą, która go wiedzie do złego, częstokroć do zbrodni nawet!

W okolicy już wiedziano o przygodzie: widziałem grupy rozmaitych osób oczekujące przy drodze.

Żandarm rozwodził się nad niepodobieństwem ucieczki, oświadczając, że gdybym wiedział, ile on ma przy sobie osobnych instrukcyi, wezwań, rozkazów, gończych listów, na rozliczne wypadki, tobym zadrżał ze strachu. Dodał, że jeżeli uciekać, to najlepiej do lasu; lecz że i tam by na mnie obławę zrobił, i do tego z psami. —

Kazałem mu milczeć.

Tymczasem kaszel mój wzrastał, ból piersi dokuczał; oznajmiłem mu, że służy mi prawo pozostania w najbliższym szpitalu. Przeczył temu, jednak instrukcyi pokazać nie chciał. I

odtąd, był usłużnym, uprzedzającym, bylem tylko nie myślał nigdzie zostawać. W Słucku wezwałem miejscowego lekarza, ten przyniósł mi ulgę.

Przybyliśmy do Bobrujska. Poglądałem na Berezynę, która pogrążyła w sobie około 36,000 Francuzów, gdy drugie ich tyle śmierć na jej brzegach znalazło. Na poczcie jadłem obiad z oficerem od inżynieryi i z córką gospodyni domu, zaproszony przez nich. Inżynier mówił, że z żalem przepuszcza rodaków na Wschód, przez drogę, która zostaje pod jego dozorem. Panna oświadczyła, że największa jej boleść jest, iż matka jej poszła za mąż za poczthaltera moskala! ale że ona nigdy by tego nie zrobiła, choć by miała starą panną zostać. Inżynier się uśmiechnął, jak gdyby chciał powiedzieć, że tak źle nie będzie.

Biedne doprawdy te panny w Polsce. Młodzież krajowa ginie w obszarach Rossyi, a za Moskala rzadko też której chce się wyjść i chrzcić w dodatku dzieci na obcą wiarę, wedle ustanowionego prawa. Przejeżdżając kiedyś w Sandomierskiem około karczmy, postrzegłem mnóstwo tańcujących dziewek, a zaledwie kilku między niemi wesołków. Na chłopcach wam zbywa moje dziewoje, rzekłem. «A cus prose panica, kiej moskol na wojacke ich pognoł» odpowiedziała jedna.

Nie wiedziałem, że kraj nasz ma swoje bobry, atoli w Bobrujsku pokazywano mi kołnierze bobrowe, upewniając, że pochodzą z Berezyny. Ustępują w dobroci sybirskim, i w ogóle morskim; cena też krajowego wynosi zaledwie kilka rubli, gdy sybirskiego dochodzi do pięciuset.

Z Bobrujska, przez Mohilew, przybyłem do Orszy po nad Dnieprem.

W Orszy dziewięć kościołów w gruzach! —

Przeprawiwszy się na promie przez Dniepr, ukazuje się zupełnie inna, równa, jakaś tęskna jak smętarz, kraina. Twarze w tej tam małoludnej stronie, są smutne. Od razu poznałem, że przybyłem do przedsionka Rossyi.

Żaden kraj Europy nie posiada tyle spławnych i tak wielkich rzek, ile Rossya; ale w żadnym cywilizowanym kraju, dążącym do rozwinięcia ruchu przemysłowego, komunikacya lądowa i wodna nie jest tyle, ile tam zaniedbaną. Napatrzyłem

się, jak tam wszystko pod względem budowy jest tylko pozorne. Podczas przejazdu mego, powodzie były ogromne, całe więc oszukaństwo rossyjskie w konstrukcyi mostów, szluz, sypaniu grobli, wyszło na jaw. Rzadko gdzie nie byłem zmuszony przeprawiać się czółnem przez rzekę, rzeczułkę, chociaż mosty stały obok; sterczały one bezużytecznie jak nagie, porozrywane skielety, pośród wody, gdyby szczątki przedpotopowe. Miliony kapitału pogrążone w błoto przez inżynieryę rossyjską? Przedstawia ona dwie strony: nieudolność w pomysłach, i niesumienność w wykonaniu.

MOSKWA.

Droga wypadała na Moskwę, przez Smoleńsk, Drohobuż i Wiazmę.

Mur otaczający Smoleńsk, oddziela gdyby chiński, to najbliższe Polski gubernialne miasto, od cywilizowanego świata. Nie ma w niem życia publicznego, nie ma miejsca schadzek, żadnej kawiarni, dokądby zajść można dla odczytania gazet; mieszkańcy siedzą w domach, cisza panuje na ulicach. Nieprzyjemne robi wrażenie miasto, pozbawione gwaru miejskiego. Żółkłe mury oświecone promieniami słońca, gdy się jest samotnym pomiędzy niemi: smętny przedstawiają widok. Przy wjeździe, tylko bazar był nieco ożywiony, i dwie mniszki rossyjskie, tam się uwijające, zwróciły moją uwagę: w ich gadatliwości, ruchach, zatrzymywaniu się i oglądaniu, uderzała pewna lekkość, różniąca je od innych kobiet. Uderzyła mię także, przy wyjeździe z miasta, bójka uliczna mieszczan unitów, czy katolików, z mieszczanami grecko-rossyjskiego wyznania. Prawosławni nazywali pierwszych Polakami bez mózgu; a ci tamtych Moskalami.

W Drohobużu, zamiatacze ulic błotem za mną rzucali, wołając: Sybir jedzie! Drohobuż sławi się kwasem; kwas jest zwykłym napojem w Rossyi, jak piwo w Niemczech, a wino we Francyi.

Wiazma rozsyła swoje pierniki po całym kraju, które drogo kosztują, a ustępują w dobroci toruńskim. Ale więcej jak pierniki, zajęła mię rozmowa pewnego pocztmajstra za Wiazmą. Był to sędziwy staruszek, którego zastałem pijącego herbatę wraz ze swą połowicą. Zaproszony do stołu, pierwszy raz oba-

czyłem zwyczaj picia herbaty w Rossyi, w tak zwaną przekąskę. Raczący się nią, trzyma w zębach kawałeczek cukru i przepuszcza przezeń nieosłodzoną herbatę. Kawałek ten wystarcza mu tym sposobem do osłodzenia kilku filiżanek napoju. Pocztmajster zapytywał, z jakiego powodu jadę z żandarmem? Starałem się zaspokoić jego ciekawość; ale słuchając z miną powątpiewania, rzekł: «Nie ta to przyczyna być musi, lecz prędzej ta, że wy tam w Polsce chcecie równości; a nie baczycie, że nawet święci w niebie nie są sobie równi.» I zaczął wyliczać całą hierarchię świętych, pół-świętych i błogosławionych. Nie wiedziałem, ze Rossya posiada, oprócz armji zbrojnej, tak liczne zastępy świętych.

Im więcej zbliżałem się ku Moskwie, tem więcej cerkwi we wsiach i miasteczkach, obrazów świętych w domach i przed domami napotykałem. Gdy raz ocknąłem się po podróżnej drzymce, gród malowniczy, któremu podobnego nie widziałem na kuli ziemskiej wyrósł przedemną.

To Moskwa. Wieże, kopuły i dzwonnice, różnej wielkości, różnych form i rozmiarów! Różnokolorowe, owalne dachy obsypane gwiazdami; szpice, minarety, seciny złoconych bań i podwójnych prawosławnych krzyżów, migocą w obłokach! To Moskwa, miasto tradycyi, poglądająca ze swymi 300,000 mieszkańców, na nierównie ludniejszy, nowy Petersburg, zowiąc go zamorskiem gniazdem, cudzoziemskiem — i uważająca narzuconą oświatę, przez cieślę petersburgskiego, Piotra W., jako cios dla narodowości krajowej, która się mogła była rozwinąć właściwym narodowi postępem. Rzeczywiście, z Petersburga o Rossyi wydać sądu nie można: Moskwa jest jej sercem. Palona przez Tamerlana, zajęta przez Polaków w roku 1611, zniweczona przez Francuzów, znowu się odbudowała na dawny sposób i dziś znowu błyszczy i zadziwia oryginalnością cudzoziemca, przybywającego z Zachodu.

Izwoszczyk zatrzymał konie na rogatce, zkąd przydano nam kozaka, aby nam towarzyszył do komendanta miasta, w celu zawizowania paszportu. Ten mieszkał w Kremlinie, starożytnej i ufortyfikowanej siedzibie Carów, w środku miasta. Tam się udając, poglądałem na cerkwie. Są po większej części pięciokopułowe w bizantyjskim stylu, zmięszanym z greckim, tatar-

skim, i fantazyą czysto moskiewską, z jaskrawym kolorytem po na zewnątrz w pasy i prążki, ze złoconemi dachami, mozajkowymi gzymsami. Z tą pstrocizną przedstawiają się jako jasełka z pierników, dowodząc smaku niedojrzałego. Nie budzą myśli poważnej.

Gdy spojrzysz na wspaniałą katedrę strassburgską, lub na Notre-Dame w Paryżu, olbrzymie, gotyckie mury, okopcone wiekami, jedyne świadki dziejów kościoła tryumfującego, zdają się przemawiać. Gdy wpatrzysz się w te przybytki pełne piękności w szczegółach i proporcyi w całości, poznasz w nich gieniusz wielkiego narodu — poczujesz w nim Boga! Po wysmukłych, ażurowych, jakby uwitych z koronki, piętrzących się wieżyczkach, myśl twoja się wznosi. Wnijdź do przybytku, ujrzysz harmonję w rozkładzie filarów, łuków architektonicznych, i jak boska muzyka Hajdena lub Mozarta, tak tam architektura wpłynie na ciebie, bo go naród artysta budował, a stulecia uświęciły. Zmrok w nim panuje — czasem słońce rzuci, z różnoszybnych okien, w kolorach tęczowych promieni, obraz zmartwychwstania, przed oblicze cierpiącego śmiertelnika. Taki przybytek, może być dla każdego wyznania, byle tylko było ono godne ludzkości i Boga. Tam szczytne płody budownictwa, rzeźby, malarstwa, muzyki, poezyi lirycznej, zdają się współubiegać z westchnieniem modlącego.

Cerkwie w Rossyi przeciwnie, zniżają myśl ludzką do ziemi, przypominając roskoszne świątynie pogańskie. W cerkwi nie ujrzysz żadnego posągu ani płaskorzeźby, bo te uważają Rossyanie za bałwany; nie usłyszysz poważnego organu, ani żadnego instrumentu, bo powiadają, że w kościele tańcować nie można; chór śpiewaków zastępuje organ. Chór ten składa pienia religijne z dwóch wyrazów, ciągle na różne tony powtarzanych: «Hospodi pomiłuj!» — Panie zmiłuj się! — i całe nabożeństwo odbywa się w języku częścią cerkiewnym, częścią rossyjskim. Kazania i nauka miejsca nie mają — i to właśnie jedna z przyczyn do licznych odszczepieństw w Rossyi. — Po nabożeństwie, w pewne dni świąteczne, pop wybrany z najsilniejszym głosem, odczytuje przekleństwo na wszystkich zmarłych po szczególe swych ziomków, uznanych przez rząd za byłych wrogów Rossyi, jak na Cara Dymitra Samozwańca — od czasu panowania któ-

rego Rossyanie tchną zawiścią ku Polakom — na Pugaczewa, i t. d. jakoteż, na narody nieprzyjazne, nie wyłączając Polski.

Śpiewacy kościelni składają, że tak powiem, oddzielną klasę społeczną. Jest to klasa ludu próżnującego, ciężar publiczny, jak trutnie, karmiąca się owocem pszczół pracowitych, i roznosząca zgorszenie po wioskach i miasteczkach. Śpiewacy ci, po większej części oddają się pijaństwu; dla tego, w czasie liturgji, bas za zbyt chrapowaty, często fałszywie wtoruje czystemu dyszkantowi dziecięcia chóru.

Gdy wnijdziesz do cerkwi, na pierwszy rzut oka uderzają carskie wrota; jest to rodzaj parkanu, z wielkiemi drzwiami we środku, a dwoma pomniejszemi po bokach, zasłaniającego wielki ołtarz, ozdobionego obrazami świętych, na tle złocistem. Wielki ołtarz dojrzeć można w pewnych tylko chwilach, w czasie obrzędu, gdy popi carskie wrota otwierają. Schronienie za niemi, które służy im za zakrystyę, zdaje się być jakiemś cymboryum tajemniczych magów. Popi w czarnych kołpakach, ze spadającymi welonami na plecy, przypominają kapłanów Niniwy.

Zapytywałem, dla czego w obrazach nie daje się postrzegać pędzel artysty, cecha estetyczna; ale są one jednostajne, tuzinkowe, przedstawiające twarze świętych, zwykle oliwkowego koloru, bezwzględnie na sztukę; i że zdobi je tylko bogata, lśkniąca się od srebra, złota, i drogich kamieni, draperya, dana za ubiór świętemu. Powiedziano, że wizerunki świętych w kościołach katolickich są niewierne, bo pochodzą z wyobraźni artysty, wtedy gdy u nich są prawdziwi święci. Wszystkie te świecidła cerkiewne rażą oczy zbytnią jaskrawością i mogą sprawić tylko pewną ułudę dla gminu. Dodajmy tysiące jarzących świec, któremi są oświetlone, a które lud znosi, sądząc przez to oddać największą cześć Bogu, a poweźmiemy wyobrażenie blasku tam panującego.

Zwykle najwięcej gorcje świateł przed obrazami: cudownego Świętego Mikołaja i Świętego Jerzego na koniu, zabijającego smoka, bo ci, przyjęci za patronów Rossyi, najwięcej posiadają zaufania publicznego.

Nagle, dźwięk niesłychany, jaki trudno sobie wyobrazić temu kto go nie słyszał, słowem, dźwięk tysiąca dzwonów razem,

rozległ się w powietrzu, jakby na komendę. Zdziwiony, zapytałem żandarma, co znaczy to wielkie larum! Oznajmił, że wjechaliśmy do Moskwy w dniu wielkiej uroczystości, z powodu święta dworskiego, dnia galowego; a ten dzień, z powodu rocznicy urodzin, czy też imienin jednego z dzieci carskich; i że święta dworskie są nierównie świetnej obchodzone w Rossyi, aniżeli kościelne. W rzeczy samej, działa odzywały się salwami. Urzędnicy, dygnitarze, obsypani orderami, cywilni i wojskowi, szwadrony wybrane wojska, uniwersytet umundurowany, pensye płci obojej, wszystko to zdążało w uroczystem milczeniu do cerkwi; a szeregi dzwonów, dzwonków, dzwoneczków, kołysały się pod wszystkiemi kopułami. Dziwna, zaprawdę, ta muzyka dzwonowa! Żadne miasto na świecie, oprócz Moskwy, takiego koncertu dać nie potrafi.

Cerkwie napełnione — tłumy ludu biją czołem o kamienną posadzkę krużganków; a dzwony na różne tony, zmięszane z echem, zdają się między sobą kłucić, piszczeć, narzekać, godzić; to znowu prowadzą jakąś wrzawę, dziką rozmowę, na którą inne zdala, stłumionym dźwiękiem odpowiadają — a wszystkie, olbrzymi dzwon, Iwanem carem zwany, hukiem poskramia. Potem naraz ucichły, i znowu ozwały się chórem. W spiżowego cara takoż żelaznem sercem uderzono; a małe dzwoneczki od uprzęgu mych koni, podrzeźniały wszystkim.

Przyznam się, że na tym, którego ucho nie nawykło do podobnej serenady, robi ona wrażenie trwogi; nie wywołuje tego melancholiczno-religijnego uczucia, którego się doznaje na poważny jęk samotnego dzwonu zygmuntowskiego w Krakowie, lub na odgłos dzwonka, wzywającego na modlitwę do wiejskiego kościołka. Religia trzyma się serca; tkliwe uczucie nie cierpi nakazującego huku. Potrzebaby sobie wyobrażać Twórcę, nie jako Boga miłości, ale jako groźnego Jehowę, na imię którego drżeli Izraelici, lub jako Jowisza piorunującego, aby na modlitwę do niego przyzywać gromami.

Wśród takich to spiżowych gromów i grzmotów, wjeżdżałem do bramy Kremlina, gdy ktoś zerwał mi czapkę z głowy z tyłu — o mało co nie z głową. Obejrzawszy się, postrzegłem iskrzące oczy jakiegoś, jak z ubioru wnosiłem, moskiewskiego kupca. W Moskwie, tylko cywilna arystokracya nadziewa frak

lub paleto, — przeważająca zaś klasa kupiecka z mieszczan, nosi strój narodowy. Mężczyzna się ubiera w czerwoną koszulę, rozpuszcza ją w rodzaju bluzy, i przepasuje się tasiemką, do której przyczepia zazwyczaj kluczyk od szkatułki — pod koszulą nosi niezmiernej szerokości pantalony z czarnego pluszu, które mu spadają w cholewki od butów, wyłożone czerwoną safianową obwódką — a gdy jest chłodno, przyodziewa się długą delią, podbitą barankami. Tak chodził w życiu prywatnem Suworów, tak też był ubrany mój napastnik, ukazujący groźnie na sklepienie bramy Kremlina. Spojrzawszy w górę, obaczyłem stary obraz przed którym płonęła lampa. Woźnica mój objaśnił, że to obraz cudowny, który zbawił Moskwę od Francuzów; że brama zowie się Spaskije worota — zbawienne wrota — i że nigdy zbawienia nie dostąpię, ale czekają mię wielkie nieszczęścia, jeżelim obraz na siebie rozgniewał. Dowiedziałem się później, że gdyby żołnierz stojący na straży odwachu opodal bramy, był postrzegł to nieuszanowanie dla obrazu, byłby alarm uderzył, aby mię ścigano.

Jeżeli Moskwę można nazwać Jerozolimą Rossyi, to Kremlin jest bez wątpienia jej świątynią, czyli raczej grupą świątyń, stojących nie w szeregu, jak zwykle budynki w Rossyi, ale rozrzuconych bez planu i porządku, skupionych w jednem miejscu, otoczonem grubym murem, które wydaje się zdala, jak wspaniały smętarz, pełem piramid i krzyżów. Jeżeli dzwon, Carem Iwanem zwany, imponuje uchu, gdy w niego uderzą, to drugi, także Car Iwan, któremu podobnego pod względem wielkości nie ma na całym świecie, imponuje oku przybysza do Kremlina ogromną massą bronzu. Wartość jego przechodzi 2,000,000 rubli. Oberwał się z dzwonnicy, wyszczerbił, i zapadł w ziemię, lecz podjęty przez Aleksandra I i postawiony na piedestale, do dziś dnia błyszczy jako relikwia, klejnot i chluba Rossyi. Uderza także oko mnóstwo dział, z epoki francuzkiej kampanji 1812 roku, złożonych tam na placu, jako trofea zwycięzkie; nad któremi jedno, car-puszka, fabryki rossyjskiej, podobnie panuje, jak dzwon Car Iwan nad innemi dzwonami. Leży ono bezużytecznie, na postumencie, jak car wyszczerbiony. Dzwon i działo, są dwa główne, kruszcowe, pomniki Kremlina.

Wszystkich dział jest przeszło 2200, a pomiędzy temi tylko

cztery polskie: dwa z herbem Sapiehów, jedno Potockich i jedno koronne. Wszystkie cztery zagwożdżone.

Weszliśmy do bióra komendanta, podpisano nam paszport — podorożne. — Nie było w nim wymienione me nazwisko, ale tylko powiedziano: żandarm z będącym przy nim — s buduszczym. — Potem udaliśmy się do gubernatora Zakrewskiego — tam przepisano papiery, dano żandarmowi pokwitowanie z odbioru mię, i odesłano go z powrotem do Warszawy; a nowy się zjawił, i ruszyliśmy w dalszą drogę.

Ukazał on mi w Moskwie ową osobliwą cerkiew Wasilego Błogosławionego. — Przyszła też Iwanowi Groźnemu fantazya zbudowania potworu architektonicznego, jakiegoś pałacu arlekina, którego opisać niepodobna, na mieszkanie świętemu. Czy widział kto kiedy kościół w guście pagody chińskiej, urozmaicony pstrokacizną kolorów i mnóstwem wieżyc i wieżyczek, gruszkowato zakończonych? Tradycya o tej cerkwi jest równie ciekawą jak ona sama. Gdy była wzniesioną przez włocha Fioraventi, ten zapytany przez Iwana, czyby nie zdołał utworzyć jeszcze coś doskonalszego, odpowiedział, że postrzegając niektóre usterki w budowli, zdaje mu się, że mógłby to uczynić. Zazdrośny Iwan kazał mu wyłupić oczy. Cerkiew-pagoda została poświęcona zbrodnią! Niedawnemi czasy, świetnie oświecona przez pewnego Anglika turystę, błyszczała jak iskrzący się brylant wśród cieni wieczora, z podziwieniem Moskali. Pagoda odpowiedziała godniej zabawie, niżeli nabożeństwu.

Nowy żandarm ukazał mi także Dziewiczy Monaster w dali, gdzie znajduje się grób Zofii, owej ambitnej siostry Piotra W., która całe życie spiskowała przeciw niemu. Tam wraz z nią byli więzieni spiskowi, a bijący co minuta zegar, przypominał im o blizkiej śmierci. Zegar ten naprawiono z rozkazu Mikołaja I; dziś jeszcze przechodzień zbliżający się do monasteru, słyszy okropny dźwięk przypominający o katuszach jego ziomków.

Moskwa jest to muzeum cerkwi i dzwonów; niechaj znikną kopuły, a pozostanie źle zabudowana mieścina, ze złymi brukami, pustymi placami, nieregularna i brudna.

Wedle marszruty, mieliśmy się udać na Kazań — coraz częściej po drodze zasypy śnieżne napotykałem. Wyjechałem z Warszawy w dzień wiosenny, a po ośmiu dniach podróży, i

przebyciu około 2000 wiorst, ujrzałem się wśród zimy. Wieczorem wiatr ostry przenikał, w południe słońce piekło; na zdrowiu coraz więcej słabłem. I nie mogło być inaczej; pędząc dzień i noc bryczką bez resorów, częstokroć o głodzie, bo na wielu pocztach, pomimo ogromnych cen, jakie tam zwykli za pożywienie naznaczać, nic ciepłego na prędce dostać nie mogłem. Za każdem uderzeniem bryczki o kamień lub zmarzłą bryłę grudy, zdało mi się że się wnętrzności we mnie obrywają — a izwoszczyki, świeży żandarm i konie stepowe, byli bez litości. Żandarm komenderował prędką zmianę koni na stacyach, izwoszczyk wziąwszy raz cugle, najczęściej drzemał, a bieguny, uprzężone w hołobli, raz puściwszy się cwałem, nie zatrzymywały się aż u następnej stacyi; gdyby był sworzeń pękł, bylibyśmy zostali na gościńcu; konie jednak z przodkiem o dwóch kołach stanęłyby same u kresu, będąc przyuczone do tego sposobu jazdy. Cała tajemnica pośpiechu żandarma była, jak się domyślałem, że miał naznaczoną nagrodę od rządu za czas podróży, nie stosunkowo do liczby dni, ale do secin wiorst przejechanych. Pośpieszał więc, by skorzystać na czasie i módz ukuteczniać z powrotem sprawunki, których się podejmował u pocztmajstrów. Jakżeż zazdrościłem aresztantom idącym pieszo pod konwojem etapów, jakkolwiek etapy tak mi się niegdyś dały we znaki! Nie ręczę, czybym nie był padł ofiarą męczeństwa tej podróży, gdybym na jednej stacyi nie był się poznajomił z oczekującym tam, na jakiś nowy rozkaz, feldjegrem. Feldjegier, nazywa się w Rossyi goniec carski, zazwyczaj w randze oficera, wyższej lub niższej, stosownie do ważności depeszy, którą wiezie, a które lecą jak grad z Petersburga do Warszawy, Kamczatki, Gruzyi, Persyi, Archangielska, i t. d. Feldjegier jest to żyjący telegraf carski, wśród stepów, na kilkanaście tysięcy wiorst rozległych, człowiek zrodzony do życia i śmierci w kibitce. Tylko Rossya może ukazać podobne indywidua, na które nie bez smutku się patrzy. Jadąc w czasie wojennym, napotkałem feldjegrów galopujących w różne strony cesarstwa. Jednego z nich widziałem dolatującego do stacyi z wykrzyknikiem: «Mleka, mleka podawajcie!» Na twarzy jego malowało się okropne utrudzenie. Wychylił duszkiem podaną mu szklankę, konie w oka mgnieniu z nowym wózkiem stanęły — przeskoczył do

niego z portefelem decydującym o losach państwa, i popędził dalej.

Feldjegier, mój nowy znajomy, widząc moją bladość i usłyszawszy słów kilka, zaraz mię zrozumiał — a wydobywszy z torby szeroki pas skurzany, brzuch mi nim podwiązał, przez co trzęsienie nierównie mniej mi szkodziło. Oznajmił także, że mlekiem pokrzepiać siły winienem.

Nimeśmy się rozstali, opowiedział mi charakterystyczną anekdotę o jednym ze swych kolegów, która rzuca światło na stan feldjegra. Kolega jego, jak mówił, przybył po długiej podróży z ważną depeszą do przedpokoju pałacu carskiego. Kazano mu czekać, bo car był wielce zajęty. Zaledwie mógł się trzymać na nogach z utrudzenia i bezsenności; sparł się o kolumnę i zasnął stojący, tak twardo, że go dobudzić nie mogli, choć car już zadzwonił; nikt też nie poważył się odpiąć teki od rzemienia jego. Dano znać o tem Mikołajowi. — Ten wyszedł z bratem, W. Księciem Michałem i z uśmiechem zadowolenia wpatrywał się w chrapiącego, wiernego sługę — ale Michał podszedł do biedaka i krzyknął mu nad uchem: konie gotowe! Feldjegier skoczył obudzony.

Rys wielkości i cierpienia człowieka!

O kilkaset wiorst za Moskwą, kraj ukazywał się pustym i bezludnym — wegetacya martwa. — Dzikie brzozy, przeważne mieszkańce roślinne; góry, ani wzgórza, nie zatrzymywały oka — płaszczyzna i ciągle płaszczyzna — niebo ołowiane, wzrok utrudzające; wstęga długa, jednostajna, piaszczystej drogi przed oczyma, którą się przebywa dzień i noc, a z każdym porankiem znowu się ją postrzega i znowu poczuwa nudę. Zdaje się, że się jest na jednem miejscu; zawsze też same pola nieuprawne, cisza, zaledwie przerywana rżeniem konia, lub wiatrem nucącym dziką, pośród karłowatych drzew, piosenkę. Gdy ujrzysz przechodnia, radbyś poskoczyć ku niemu z radości. Wśród ciszy na oceanie, chociaż delfin pluskający się ukaże grzbiet swój, morskie ptastwo krąży nad okrętem, złudzenie mirażu obudzi wyobraźnię. Wśród skał i gór, postrzegasz w ruchomych chmurach i formach kamienia rozliczne obrazy; przejeżdżając wieczorem przez lasy, wierzchołki drzew przedstawiają ci fantastycznie całą mitologię.

W nagim stepie nic! Kraina spetryfikownna. Skała, wyraz poetyczny — step ma inną poezyę — tęsknoty!

Wśród takiego to stepu, kopiąc się w jednem miejscu przez zaspę śniegową, wiatrem naniesioną, z żandarmem przy boku i grzęznącemi końmi po brzuchy, postrzegłem karetę zawięzłą. Podeszłego wieku dama wydawała rozkazy służącym do jej wydźwignięcia. Kazałem natychmiast izwoszczykowi wyprządz konie od kibitki i założyć je do ciężkiej karety podróżnych. Żandarm przemilczał ten rozkaz, izwoszczyk był posłusznym, a dama Rossyanka, podziękowawszy mi za przysługę, zawiązała rozmowę. Wedle jej zdania, zawierucha polityczna z zachodu Europy, była przyczyną, że car wysyła młodzież polską, godną lepszego losu, na wygnanie — ale skoro ta minie, młodzież tę powrócić on raczy na łono rodzinne. Niepodobna się było nie rozśmiać boleśnie, na te, w dobrej wierze czynione, a płonne nadzieje.

Minąwszy Niżny-Nowogród, sławny jarmarkami, i zbliżywszy się ku Kazaniowi, ponad brzegi Wołgi, największej rzeki w Europie, okolice górzyste, pokryte gęstymi lasami, ukazują się niespodzianie. Żandarm, świadomy miejscowości, coś spoglądał na strony; mówił mi potem, że w lasach tych, nieustannie odbywają się obławy na zbrodniarzy, dezerterów wojskowych, zbiegów włościan poddanych szlacheckich, i uciekających wygnańców z Syberyi. W gubernji kazańskiej, porozstawiane przy wielkich drogach pikiety kozackie — podejrzane — przerażają raczej, niż dodają otuchy. Na Wołdze łupieztwa powtarzają się często i rząd tamy położyć im nie może; gdyż wielu z obywateli, albo tolerują napady poddanych swoich na barki kupieckie, lub też biorą czynny w nich udział, dzieląc się łupami.

Droga z Moskwy na Kazań, jest drogą sybirską. Byłaby ona trudniejszą do przebycia, jak powiada Custine, ciekawemu podróżnemu, niż pielgrzymka do Mekki chrześcianinowi. Głównymi tam wędrowcami są nieszczęśliwi, pędzeni ze wszystkich krańców Rossyi do kopalń podbiegunowych. Mówię n i e s z c z ę ś l i w i, bo trudno ich nazwać zbrodniarzami. Wielkie pytanie: kto jest zbrodniarzem pod rządem despotycznym? czy ofiara skazana do min arszenikowych, czy ten który ją wytknął? —

Gdy kibitka pędzi na drodze sybirskiej, wtedy powózki woj-

skowe i prywatne, karawany, karety z podróżnymi, poczty, jeźdcy i piesi, słowem wszystko co żyje, ustępuje jej z drogi — śmielsi się jej przyglądają, inni uciekają od niej, jak przestraszone gołębie, które postrzegłszy punkcik czarny na horyzoncie, przeczuwają ptaka drapieżnego.

Smutny przedstawiają widok ludzie przeznaczeni do ciągnięcia statków na wybrzeżach Wołgi. Zdaje się, że to są stworzenia, należące do jakiegoś innego, okropnego świata. Ich plugawe, na pół futrzane kaftany, włosiste twarze, głos chrapowaty od trunków, zgięcie się w pałąk od dźwigań, sznury na plecach, kindżały za pasem, czynią strasznemi te istoty — ale jeszcze straszniejsze były ich tradycye o rozbójnikach i mordach, gdy na przewozie zapytałem «co słychać nad Wołgą?»

IWAN GROŹNY. KAZAŃ. TATARZY. OBŁUCZYNY — POSTRZYŻYNY.

Iwan Groźny, wielkim zwany! —

Czy za wyłupienie oczu Fioraventemu?

Czy też za zanurzenie we krwi republikańskich Nowogrodzian, oskarżonych fałszywie o zdradę na korzyść Polaków?

Albo za zabójstwo jednego z synów swoich, a uwięzienie drugiego?

Czy nakoniec, że kazał zadusić pierwszego patryarchę w Moskwie, podobnie jak Piotr Wielki zdusił patryarchat?

— Nie.

Został wielkim za ostateczne oswobodzenie kraju od jarzma Tatarów; bo zawsze jest wielkim ten, kto wypędził wroga z ojczyzny!

Kazań, niegdyś stolica Tatarów, zdobyta przez Iwana, dziś jest miastem gubernialnem rossyjskiem; groźne reduty panują nad niem — a z pomników po Tatarach, jedna tylko baszta tam pozostała. Od strony Wołgi majestatyczny przedstawia widok. Atoli, gdy ujrzałem się wśród pokoleń mongolskich, tak się czułem być daleko od rodzinnego kraju, iż zwątpiłem o oglądaniu go kiedykolwiek. Przybywszy na pocztę, rzuciłem się na sofę — żandarm, prędzej jak zwykle, wołał o konie. Dowiedziawszy się, że gubernatorem miejscowym jest książe Baratyński należący do świty J. C. M., napisałem do niego podanie po francuzku, prosząc o dozwolenie spoczynku w mieście —

Żandarm, na wspomnienie o gubernatorze, przestał nalegać o pośpiech. Przybyliśmy na ulicę Zmartwychwstania, przed dom Baratyńskiego: prośbę wręczyłem kozakowi. Na odgłos dzwonków pocztowych kilkanaście twarzy ukazało się w oknach; powozy i kolaski stały przed domem, przedpokój był pełen służby galonowej — książe miał gości. Wyszedł jego adjutant z oznajmieniem, że gubernator mając na względzie stan mego zdrowia, dozwala pozostać w Kazaniu, póki mi się podobać będzie. Tę łaskę niesłychaną przypisałem dobremu humorowi księcia i obecności gości — ale gdy adjutant dodał, że wybór miejsca na spoczynek zależeć będzie od policmajstra, któremu mię odda pod opiekę, nagle się rozczarowałem.

Policmajster, pułkownik, był to Niemiec z familji baronów. Oświadczył, że chyba każe mi przygotować mieszkanie w więzieniu szlecheckiem. Podziękowałem, nie przyjmując. Kazał pokazać żandarmowi papiery o mnie; ten przedstawił zapieczętowaną ekspedycyę pod adresem gubernatora orenburgskiego, mówiąc, że oprócz instrukcyi, to jest wszystko co posiada. Wtedy posłał po księgę ustaw moskiewskich, a gdy ją przyniósł pisarz, wyszedł z uim do pobocznego pokoju, zkąd dochodził mię gruby głos pisarza, czytającego artykuły: jak się obchodzić powinno z aresztowanymi okutymi i nie okutymi, z szlachcicami i nie szlachcicami, z ogoloną i nie ogoloną głową, i t. d. Tymczasem pani policmajstrowa pokazała się na chwilkę we drzwiach, a za nią pokojówka, niosąca mi herbatę. Ostateczna decyzya policmajstra była, że jeźli chcę, mogę pozostać w kancelaryi policyjnej, bo innego, stosownego, nie znajduje miejsca. Podziękowałem przyjmując.

Na nową kwaterę, baron przysyłał mi od siebie obiad, a wieczorem herbatę i cygara; raz mię odwiedził i dozwolił wyjść na przechadzkę; przyjął także przygotowany list do mych krewnych, którego jednak nie otrzymali.

Wychodząc do miasta, ucieszyłem się przedewszystkiem, że choć na kilka godzin pozbędę się natrętnego towarzystwa urzędników policyjnych, którzy co chwila składali mi nieproszone wizyty, zarzucając niedorzecznemi pytaniami. Na ulicy, miejski policyant przyczepił się o to, że paliłem cygaro. Nie wiedziałem, że rząd zabrania nie tylko w Polsce, ale i w całej Rossyi,

palenie cygar i fajek na ulicach. Assystencya atoli żandarma uwolniła mię od służbowego napastnika.

Kazań, mieszczący jeszcze niemal połowę ludności wyznania mahometańskiego, nie ma cechy wschodniej, ale czysto moskiewską. Minąwszy główne ulice, postrzegłem, prawie po na zewnątrz miasta, gdzieniegdzie meczet i ludność tatarską, jakby kryjącą się w nędznych, drewnianych domach. Cześć oddawana Bogu i Prorokowi przez potomków potężnych: Czyngishanów, Tamerlanów, Amuratów, Batych, owych groźnych hanów, którym wielcy książęta moskiewscy, przynoszący haracz, z pokorą trzymali strzemiona u koni, jest zaledwie dziś tolerowaną w ich stolicy. Meczety ich są małe, ubogie, drewniane, podobnie jak ich domy — a sami są także powierzchowności bardzo mizernej; i widać na ich obliczach piętno trwogi i chytrości, które mimowolnie wzbudza wstręt ku tym nieszczęśliwym. — Poglądanie ich z pod oka, zdradza podejrzliwość i nieufność. Mają dużo podobieństwa do żydów uciemiężonych w rozproszeniu, i podobnie jak ci, zajmują się po większej części handlem i włóczęgostwem. Brodate ich twarze i golone głowy nie są powabne, jednakże ze wszystkich pokoleń mongolskich, rasa tatarska jest najpiękniejszą. Kobiety w mieście już nie noszą zasłon na twarzach, ale wychodząc na ulicę, zarzucają szlafrok, zwyczajnego kroju męzkiego, na głowę; łatwo jest dostrzedz ich rysy, lecz są one pokryte tak grubemi warstwami bielidła i różu, że zdaje się, iż noszą maski. Zęby swoje farbują na czarno. Gdy po raz pierwszy postrzegłem znienacka na zakręcie ulicy te, jakby ulane z wosku oblicza, ze lśniącemi oczyma, zrodziły one we mnie wrażenie straszydeł, od których usuwałem się na stronę.

Patrząc na biednych Tatarów, nasuwa się myśl, że historya jest świętą księgą, że jest usprawiedliwieniem wyroków Opatrzności; że dzieci, wnuki i prawnuki, pokutują za tych ojców, w których czynach nie było miłości bliźniego, ale pycha i samolubstwo, chęć grabieży i ujarzmienia drugich w pęta niewolnicze. I cóż pozostało z owej wielkiej, najezdniczej, potężnej jedynie ciałem, Złotej Hordy, grożącej światu zaborem? Oto marnie ginące wyrzutki społeczeństwa, którym i piędzi ziemi na grób nie zostawiono; bo potęga hordy wspierała się na gwałcie i niesprawiedliwości!

Powróciwszy na kwaterę, rozpamiętywałem dzieje Polski, jako krwawego przedmórza od napadów dziczy na zachodnią Europę, gdy wieczorem zrobiono mi niespodziankę. Panny fartuszkowe, ośmielone zapewne gościnnością barona, zebrały się pod mojem oknem i zaczęły nucić piosenki ludowe moskiewskie — zauważałem w tych dwie otateczności: niektóre były tęskne, drugie nazbyt śmieszne i rozwolnione. Jedna tak się zaczynała:

«Jechał czyżyk w łodoczkie w generalskim czynie,
Wypijem my wodoczki po etoj pryczynie.»
(Jechał czyżyk w łódeczce, jeneralskiej miny,
Napijemy się wódki z tej ważnej przyczyny.)

Rzuciłem dziewczętom rubla na wyśpiewany truneczek, z czego się wielce ucieszyły.

Za Kazaniem, wschód coraz się wyraźniejszym staje — pustynia coraz więcej przerażającą. Kibitka tam pędzi, niby jaskółka samotna, a ziemia zdaje się uciekać przed tobą. Kraj smętny, dziki i ponury — tajemnica przyszłości! —

Za Kazaniem są wioski zamieszkałe, jedne przez Tatarów mahometan, drugie przez świeżo przechrzczonych, powierzchownie, na grecko-rossyjską wiarę; inne przez Rossyan, inne przez Baszkirów t. j. Tatarów postawionych na stopie wojennej, czyli kozaków tatarskich; jakoteż przez różne pokolenia mongolskie, jak: Czeremissów, Wodiaków, Tieptiarów, i t.d. Widziałem także wsie, w których jedna strona składa się z ludności mahometańskiej i pokoleń fińskich, druga z Rossyan, przybyłych w tamte puste krainy z rozmaitych gubernji, dla osiedlenia się z rodzinami [1].

Za Kazaniem, okna w chałupach z pęcherzy bydlęcych i półksiężyce na wieżach piramidalnych meczetów, ukazują się podróżnemu; śpiew muezyna, wzywającego wiernych na modli-

[1] Cesarstwo Rossyjskie nie jest państwem jednolitem — jest to mozajka złożona ze stu pokoleń różnych. Cywilizacza europejska znana tam tylko wysokiej arystokracyi, której większa część przyjęła ją powierzchownie, nie podzielając zasad. Sekciarze religijni składają już obecnie w Rossyi siódmą część ludności — fanatycy, jako ludzie przywiązani do swej wiary prześladowanej i ponoszący codzienne za nią męczeństwa. Niechno kto ogłosi wolność sumienia dla wszystkich, dziewięć milionów sekciarzy, towarzystw jawnych i sekretnych, stanie z jego strony! zastęp silniejszy, niźli świętych prawosławnych. —

twę ze szczytu minaretów, zrana i po zachodzie słońca, słyszeć się daje. Śpiew ten jest smętny, przeciągły; trudno by Europejczykowi naśladować go. Nie słyszałem Tatarzyna śpiewającego na wesołą nutę, nawet w domowem ustroniu — śpiewającego bez smutku. W śpiewach, najłatwiej jest poznać naród uciemiężony.

Na pocztach, wdawałem się w rozmowy z Baszkirami, utrzymującymi konie. Niektórzy z nich byli w Polsce, i z tego zapewne powodu okazywali mi całą swą gościnność. Jeden z nich, zaprowadził mię nawet do tylnych izb domu swego, gdzie się znajdowały jego żony i córki, siedzące na wojłoku, z założonemi na krzyż nogami, i zajmujące się szyciem i pszędzeniem wełny. Za przybyciem mojem, zarzuciły zasłony na twarze, ale baszkir zdjąć im je kazał, i każdą z osobna, nazywając po imieniu, przedstawiał. W tem ich zasłanianiu się, przebijało się więcej zalotności, aniżeliby może zdołały były słowami ją wyrazić. Jedna z nich, postrzegłszy złoconą frędzlę u kapciucha mego, ukazała na nią z uśmiechem — widząc na niej mnóstwo świecideł, odprułem natychmiast ów szych i ofiarowałem jej w darze, za co wszystkie tatarki wyrażały radość, nieznanym mi językiem.

Na obiad zrobiono zupę, ulubioną przez Tatarów, sałmą zwaną, za którą zapłaty nie przyjęto. Sałma, jest to po prostu rosół z łazankami, zaprawny kwaśną śmietaną i drobno pokrajanemi kawałkami mięsa; ale nie wiedziałem, że jadłem mięso ze źrebięcia. Zdawało się jakieś słodkawe i iłowate; placek owsiany do zupy, nie bardzo mi też smakował. Na odjezdnem, panna Tatarka ukazała mi na rozporek pod szyją u swej niebieskiej koszuli, bo pośpieszyła była obszyć go frendzlą, i dla zaspokojenia pragnienia po pieprznej Sałmie, podała mi napoju koloru niebieskawo-białego, w drewnianej misce. Smak jego znalazłem podobny do maślanki rozrzedzonej, tylko przyjemniejszy; ale po napiciu się, gaz przez nos mi uderzył, jak gdyby po mocno chmielnem piwie, i nieco upojony zostałem. Napój ten zowie się kumys. Wyznawcy Alkoranu, nie mogąc się upijać wódką ani winem, zakazanymi trunkami, zagrzewają się kumysem. Jest to kobyle mleko, doprowadzone do fermentacyi; utrzymują go w workach z koziej skóry, z włosem po na wewnątrz. Mnóstwo Rossyan przyjeżdża latem do Baszkirów — opuszcza-

jących w tej porze roku swe wioski, a rozbijających namioty wśród gajów, ponad brzegami rzek i ruczajów — ażeby się u nich leczyć na suchoty — bo kumys, jest na tę chorobę najskuteczniejszem lekarstwem. Cała kuracya zależy na jedzeniu dużo mięsa baraniego, popijaniu kumysem, wystrzeganiu się wszelkiego trunku, i przechadce. Przyjmujący ją, tyć zaczyna, czego sam niejednokrotnie naocznym byłem świadkiem.

Mylne zawsze miałem wyobrażenie o urodzie Tatarów, których wielu podróżnych opisało, jako mających policzki wklęsłe z wystającemi kościami pod oczyma, nosy splaszczone, oczy czarne, małe, zapadłe, cerę połyskującą się, brunatną, a zarost szorstki, kędzierzawy. W prawdzie jest to typ w ogóle mongolski; takimi później znalazłem Kirgizów, takimi Kałmuków, którzy swemi małemi oczętami, wyglądającemi z oprawy ocznej, jakby z za wązkiej szparki, widzą przecież na stepie niezmiernie daleko; ale rasa tatarska w Rossyi, jest ze wszystkich pokoleń mongolskich, jak mówiłem, najczystszą, poprawną, tak co do rysów twarzy, jako i całego ciała; brudna tylko z powodu niechlujstwa. Napotykałem twarze, mianowicie kobiet tej rasy, mogące być policzone pomiędzy piękności azyatyckie, podobnie jak Gruzynki i Czerkieski. Krucze ich włosy były miękkości jedwabnej, udatne kibicie, śnieżna białość, czarne, wielkie oczy, pełne ognia; lecz zbywało w nich na wyrazie, który tak zdobi wzrok kobiet europejskich. Oczy Tatarek nie są to mówiące oczy Francuzek, ale raczej zwierciadła namiętnej a drzemiącej duszy. W ogóle, o ile mężczyzni w środkowej Rossyi są piękniejsi od kobiet, o tyle Tatarki przewyższają wdziękami ciała swych mężczyzn. Zapytałem pewnego Tatarzyna, czy też nie bywa buntu w jego haremie?

— Ażeby zaradzić złemu, odpowiedział z powagą, trzeba być przedewszystkiem sprawiedliwym.

— Pod jakim względem? —

— Potrzeba równe zachowywać względy dla wszystkich żon, inaczej bieda, wielka z niemi bieda. Uważać także należy, aby dzieci otaczały ich własne matki.

Rzadko który z Tatarów poprzestaje na jednej żonie, chyba bardzo ubogi; najczęściej mają po trzy. Zapytałem raz jedną z pojedyńczych małżonek, czy jest szczęśliwą bez rywalek? Ki-

wnęła głową. Rzekłem, że gdyby mąż jej był bogaty, miałaby je bez wątpienia, lecz z drugiej strony, możeby za to była nagrodzoną lepszym bytem, wygodami. — Odpowiedziała zepsutym rossyjskim językiem, że woli być wyłączną gospodynią choć w biednej chacie, aniżeli mieć wspólniczki w bogatej. Poklepałem ją po ramieniu, czem obrażona pogroziła mi nożem.

Niech Giaur nie dotyka heroicznych Tatarek! —

. . . . . .

. . . . . .

Ale otóż i Orenburg, wygląda jak oaza wśród pustyni!

Na jego widok, sprzęża niewymownych uczuć mię objęła.

Kibitka stanęła przed pałacem gubernatora — żandarm oddał papiery.

Oczekujemy w przedsionku — drzwi się otwierają z łoskotem — postać mała, z marsowatem wejrzeniem, obciągnięta w kozacką kurtkę, stanęła w progu.

— Jak się w drodze sprawował? zawołała.

— Bardzo dobrze! odpowiedziano.

Postać w kurtce, rzuciwszy szkiełko pod oko, wpatrywać się we mnie raczyła, ale to w taki sposób, jak zwykło się patrzeć na jakie zwierzątko w menażeryi. Coś mruknęła pod nosem, zawróciła się i znikła.

Miałem honor widzieć Jego Excellencyę, generała korpusu, gubernatora Obruczewa, przyszłego senatora.

W sztabie przenocowałem. Nazajutrz rano, nastąpiły moje postrzyżyny i obłuczyny; dano szyniel z ponsowym kołnierzem, cynowemi guzikami, niebieskimi epoletami, opatrzonymi żółtym numerem 23, i powiedziano «że jestem odtąd sołdatem dwudziestej trzeciej piechotnej dywizyi, i że mam służyć wiernie Bogu i Carowi.

Potem kazano mi, nad spodziewanie, jeszcze wsiąść do kibitki. Batalion bowiem, do którego naznaczony zostałem, stał o 400 wiorst dalej.

XVIII.

KIRGIZI.

XVIII.

Ural oddziela Europę od Azyi. Jadąc po nad brzegiem tej rzeki, ku morzu kaspijskiemu, spojrzenia moje gubiły się w ogromnych pustyni obszarach. Żadnego tam wzrok nie napotyka punktu oparcia dla siebie; żadnego step nie przedstawia spoczynku dla utrudzonego oka; nie ma wzgórza ani lasu, zgoła, żadnego pomnika natury ani sztuki. Kraina spetryfikowana! naga, równa, milcząca, wyludniona, jaką być musiała na początku stworzenia. Gdzie niegdzie tylko ponad rzeką, kępa dzikich, białoliściowych topól, lub innych drzew karłowatych, smętnym szelestem przerywa martwej przyrody milczenie.

Równina stepowa przedstawia niekiedy fenomen optyczny, jej wyłącznie właściwy. Przedmioty w pewnej odległości zdają się być przybliżone i w nierównie większych rozmiarach, aniżeli są w rzeczy samej: ludzie gdyby obeliski, a obładowane wielbłądy gdyby góry ruchome. Naturaliści przypisują ten fenomen wyziewom pary. — Częstokroć spragniony podróżny ujrzy tam jezioro, zdąża ku niemu, lecz w miarę zbliżania się jezioro ucieka.

A jednakże, obszary te, jak dowodzą historycy, miały niegdyś mieścić w sobie olbrzymie miasta, liczne sioła, kwieciste łąki i gaje.

Wszystko to znikło, i śladu po sobie nie zostawiwszy.

Potęga cywilizacyi, przemysłu, handlu, rolnictwa, możeby wskrzesić nieco zdołała te krainy, niegdyś mlekiem i miodem płynące.

Obecnie, przedstawiają one próżną stronnicę globu ziemskiego, na której Bóg umieści żywe słowa miłości bliźniego

i poświęcenia, jako kamienie fundamentalne dla przeszłych pokoleń — albo też, ów odwieczny, pyszny nieprzyjaciel Twórcy i wszelkiej zasady zasad, zapisze okropne słowa: niewola, knut i nienawiść!

Obecnie, na tej pustej stronnicy, przedzielonej Uralem, postrzega podróżny: z jednej strony, co kilkadziesiąt wiorst, i to tylko przy wielkiej drodze, stanicę kozacką, złożoną z domów i z ziemianek, zbudowanych w rzędy, gdyby pułku szeregi; pod nad stanicą wznosi się drewniany dom starszyny, z galeryą na wierzchu, na której stoi pikieta kozacza, poglądająca jednem okiem ku zachodowi, drugiem ku wschodowi.

Na przeciwnej stronie Uralu, podróżny widzieć może, jak Kirgiz, z arkanem zarzuconym na plecy, upędza się na dzielnym rumaku, za antylopą lub za wilkiem stepowym, którego póty okłada kańczugiem, dopóki zwierz nie stanie się łupem jego. — Widzi gromady namiotów koczującego ludu, stada koni i owiec, tudzież mnóstwo wielbłądów, z których jedne stoją, drugie leżą, a trzecie na klęczkach oczekują juków, jakie mają ponieść do sąsiedniej Rossyi. Jeźli zbliży się do mostu, unoszącego się na łyżwach na Uralu, w Orenburgu lub Uralsku, ujrzy karawany kirgizkie, z wielbłądów i ludzi.

Zajmujący widok, gdy seciny tych zwierząt jednogarbnych i dwugarbnych, różnej maści, postępując sznurem, poważnie, jeden za drugim, niosą na garbach kiwających się Kirgizów, ich połowice, pacholęta, i mątki — ostatnie, na wymianę za towary u kupców rossyjskich.

W Orenburgu jest wzniesiony ogromny budynek, kosztem rządu, zwany mienownyj dwor, gdzie przybywający Kirgiz zostawia serowe produkta kraju swego, a w zamian za skórę końską naprzykład lub barana, bierze od kupca malowaną szkatułkę; za centnar łoju, trochę herbaty, cukru lub jakie zwierciadełko; za worek puchu łąbędziego, kawałek czerwonego sukna, wiązkę zasuszonych obwarzanków, miarkę soli, lub krawaj czarnego chleba sołdackiego; za wojłok, w różne wzory szyty, ręką dziewczyny przybywającej z karawaną, lub za tuzin różnobarwnych safianowych mesztów jej roboty, sztuczkę perkalu kraszonego na niebiesko, na koszulę dla biednej — bajguszki. —

Ileż stepy nie dostarczają bogactw handlarzom z powołania,

urzędnikom i dygnitarzom, wprost i nie wprost ich dozorującym! Miana idzie, złodziej na złodzieju jedzie, złodziejem pogania!

Stepy Kirgiz-Kajsackie zajmują ogromną przestrzeń między rzeką Uralem, morzem Kaspijskiem i Aralskiem, i rozciągają się aż pod Chiwę. Częściowo są pokryte piaskami, już to stałemi, zawierającemi w sobie okruchy muszli, już ruchomemi; częściami są piaszczysto-gliniaste, porosłe chwastem, dzikim piołunem, lub zupełnie nagie; w ogóle, suche, bez leśne, bez wodne, z wyjątkiem zatęchłych jezior, które się tam napotykać dają, i mnóstwa pasów błotnisto-słonych i trzęsawisk. Rzadko gdzie znaleźć można wodę nie zatruwającą, znośną do picia dla człowieka, jakkolwiek jest ona mętną, białą i słonawą. Gdzie niegdzie są krynice, które koczujący Kirgizi mają zwyczaj zręcznie sitowiem lub trzciną zakrywać, zostawiając ich użytek, pod sekretem, wyłącznie dla siebie. Miejscami znajdują się tam łąki, wyglądające jak żyzne oazy, rozległości dochodzącej do kilkunastu wiorst kwadratowych, służące na pastwiska dla trzód, stanowiących jedyne ich bogactwo i sposób do życia. Bogactwo to składa się: z wielbłądów białych, szarych i brunatnych; z bydła rogatego; tabunów koni, z których tak zwane ardamaki, pochodzące ze zmięszania ras, kirgizkiej z arabską, są najprzedniejsze; tudzież kóz i owiec lichej wełny, lecz odznaczających się niepospolitą wielkością i ogromnym narostem po nad ogonem, napełnionym sadłem. Gdy karmy w jednem miejscu nie staje, Kirgizi przenoszą się na drugie. W blizkości każdej wody, miriady rozlicznej wielkości much, bąków, niesłychanie uprzykrzonych komarów, w porze letniej buja w powietrzu.

Stopień temperatury, średnio-proporcyonalny do rozległości kraju, wynosi w lecie około 45 stopni, a w zimie około 30, termometru Reaumura. Deszcze bardzo rzadko skrapiają pustynię. Wiosny prawie nie ma — wprędce po zimie następuje skwarne lato; wtedy noce są krótkie: zaledwie słońce zaszło, za parę godzin już brzask jutrzenki oświeca równinę. Uragany panują w każdej porze roku. Straszny bywa uragan, gdy się rozchula po stepie, i nader niebezpieczny: w zimie zasypuje częstokroć całe stada trzody; w czasie gorącym unosi wysoko gęste tumany spiekłego piasku, podobne do chmur brzemiennych, zaciemniających widnokrąg. Biada temu, kogo ura-

gan zimowy samotnego w podróży zaskoczy; umrzeć wtedy musi.

Mieszkaniem Kirgiza jest namiot, zwany kibitką. Nie jest to żaden wózek, ani namiot na wózku; Kirgizi na wozach nie jeżdżą. Ale jest to obszerny, okrągły namiot, mogący mieścić w sobie całę rodzinę, przytwierdzony do ziemi, zrobiony z prętów wystruganych giętkiego drzewa, splecionych w kratkę, pokryty całkowicie grubym wojłokiem, tak mocno zbitym, że go żaden wicher nie przewieje. Przenosiny Kirgiza są łatwe: zwija on wojłok w wałek, składa pręty w pęk, przyczepia wszystko na wielbłąda, i tak z całym domem, rodziną i dobytkiem, puszcza się w podróż.

W pośrodku namiotu tli zazwyczaj ognisko z kupy kiziaku — suszonego nawozu — przy którem gospodyni kucharuje. Kiziak jest jedynym opałem i oświetleniem u Kirgizów, bo im zbywa zarówno na drzewie, jak na węglach, torfie i słomie. Ruchomości domowe składają na ziemi, w niedostatku mebli: kilka pierzyn, parę skrzynek, kocieł, kilka drobnych naczyń; koryto, napełnione kumysem u bogatszych, a kwaśnem mlekiem rozrzedzonem wodą, powszednim napojem, u biedniejszych; łuk i strzały zawieszone na kołku, stara, popsuta gwintówka powiązana sznurkiem — oto wszystko, co ujrzysz w namiocie, oprócz człowieczych brudnych indywiduów i psów. Bogaci zdobią kibitki po na wewnątrz w perskie kobierce, i rozumie się, mają kuchnie osobne.

Ubiorem i językiem Kirgizi mało się różnią od Tatarów. Jak tamci, są wyznania mahometańskiego; atoli liczba mułłów — kapłanów — pomiędzy nimi, jest zbyt mała, stosunkowo do ludności. W ogóle, mniej są religijni od Tatarów.

Za pokarm używają mięso baranie, i jedzą je bez chleba. Jedzą także mięso końskie, a pieczone źrebię, lub ciepłą krew z niego, świeżo zarżniętego, uważają za przysmak.

Są gościnni, szczególniej dla swych rodaków. Przybyszowi zaproszonemu do biesiady, Kirgiz podaje z gołej ręki kawał mięsiwa, co tamten winien poczytywać za wyświadczony sobie zaszczyt. Tem on większy dla gościa, gdy mu gospodarz sam wtykać łaskawie raczy do gęby kawałki tłustej barаniny, której posoka ścieka mu po palcach. Względem cudzoziemca są

chciwi; starają się zawsze coś wyłudzić od niego. W kibitce wprawdzie Kirgiz i dla cudzoziemca jest gościnnym, lecz to nie przeszkadza aby go nie zabił, lub nie zrabował bez skrupułu, za pierwszym krokiem ztamtąd, skoro mu się sposobność ku temu nadarzy.

Wielożeństwo mniej we zwyczaju u Kirgizów, niż u innych pokoleń mongolskich. Na Kirgizkę idącą za mąż za żonatego, krzywo patrzą jej towarzyszki i nie odwiedzają jej. Mężczyzna bezżenny rzadkim jest pojawem; zostaje on w pogardzie. Za pannę trzeba płacić jej rodzicom wiano z wielbłądów, kóz, i t. d. Wielkość wiana jest względną do wdzięków narzeczonej. Tym sposobem, u Kirgizów córka stanowi kapitał rodziców — im piękniejsza, udatniejsza, tem większy kapitał; na przymioty jej moralne mało zwracają uwagi. Wdowa nie ma żadnego waloru. Każda żona, czyli raczej niewolnica, musi mieć osobną kibitkę, jeźli ich jest kilka przy jednym mężczyznie; co się rzadko zdarza. Zaręczyny, ślub i weselisko, odbywają się razem, pomiędzy biedniejszymi bardzo po prostu: zjedzie Mułła do państwa młodych, powie im perorę, potem zjedzą razem w gronie familijnem porządną porcyę tuczonego źrebaka, popiją kumysem — i hymen zawarty.

Ale za to wybór panny młodej, umizgi do niej, są trudniejsze dla kawalera, podlegając pewnej formułce. Gdy młodzieniec poczuje wolę bożą do stanu małżeńskiego, krąży po stepie, upatruje żywego przedmiotu dla kipiących uczuć, a znalazłszy nakoniec swoją miłość chodzącą i wyśledziwszy jej aul i kibitkę, pewnego pięknego wieczora zjawia się do niej, niby z niechcenia, i biedak, zapytuje skromnie, czy nie widziała lub nie słyszała, o jego ulubionej zabłąkanej w okolicy, owieczce, której właśnie szuka. Naturalnie, następuje odpowiedź przecząca panny Kirgizki — zwykle uprzedzonej o jego przybyciu. — Potem idą zapytania: zkąd młodzian, czemu tak smutny, czy nie głodny? Następnie ugoszczony, oczarowany młodzieniec, wraca do swych rodziców, którzy z kolei, także niby przypadkiem, niby zbłąkani, po pewnym przeciągu czasu, odwiedzają kibitkę, gdzie serce chłopca uwięzło. Odwiedziny te powtarzają się razy kilka i kończą swatami.

Zaloty bogatych są nierównie świetniejsze i oryginalniejsze. Panny na wydaniu, dochodzące lat czternastu, zbierają się na oznaczone miejsce, w świątecznych ubiorach, każda na najdzielniejszym ardamaku z tabunu ojca swojego. Za niemi przybywają, także konno, konkurenci do dziewic, z rodzinami i drużbą.

Hasło jest dane, w różki zatrąbiono, zaczynają się gonitwy. Jedna z młodych Kirgizek — najczęściej na imię jej Mardża — uzbrojona kańczugiem, puszcza się cwałem, a za nią wszyscy pretendenci do jej ręki. Każdy z nich usiłuje dogonić amazonkę, w największym pędzie schwycić ją, pocałować, i na swego bieguna posadzić. Któremu się sztuka uda, ten staje się jej mężem. Ale nie łatwa z dziewczyną sprawa! bo ta, wedle przyjętej reguły, batoży potężnie po łbach i konia i jeźdca ją dopędzającego — koń pod razami odskakuje na stronę, a jeździec czasem karku nadkręci, wywróciwszy koziołka. Jednak, jak wszędzie, tak i tu niesprawiedliwość się wkrada — małe wybiegi kobiece: jeden rumak nielitościwie dostaje bizuna, a drugiemu, niosącemu szczęśliwego śmiertelnika, zaledwie grzywę otrzepano. Dziewoja dała się złapać. Kirgizki są bardzo wprawne do władania batogiem, termometrem ich uczuć.

O pogrzebach Kirgizów nic powiedzieć nie umię, wyjąwszy, iż zakopują zwłoki zmarłych podobnie jak u nas. Nie mogę tu jednak nie wspomnieć o wzruszeniu, jakie na mnie wywarła pewna Kirgizka, opłakująca zgon kogoś, drogiego jej sercu, na jego mogile. Siedziała na niej długo zamyślona — u nóg jej maleńka dziecina obierała gałązkę dzikiego piołunu. Byłem milczącym, niewidzialnym świadkiem tej grobowej sceny. Kirgizka nagle zapłakała. — Przebóg! i jakiż to płacz! tęskny śpiew z narzekaniem! rozdzierające kwilenie! — Potem ucichła — potem całowała dzieciaka, tuląc go do łona. Następnie robiła dziurki w mogile drewnianą pałeczką i przytykała do nich ucho — dosłyszałem tkliwych szeptów i szlochań — zaczęła się tajemnicza z nieboszczykiem rozmowa. Ileż uczucia, ileż anielskiego wdzięku musiało płynąć z piersi tej młodej niewiasty! —

Kirgizi są przywiązani do swej pustyni, podobnie jak górale do skał alpejskich. Europejczykowi, przywykłemu do miast wielkich, nudnym się zdawać może pobyt między nimi. Co do mnie, przyznaję, że w prostocie życia ich pasterskie-

go, znalazłem wiele powabu, który prędzej uczuć niż opisać potrafię.

Konie stepowe mają przymiot towarzyski. Nic boleśniejszego, jak widzieć, kiedy jednego z nich uprowadzają z tabunu. Jak on się biedny prosi! to się spina, broni, kąsa, wierzga, wydaje rżenia rozpaczy, tak mu żal opuścić swoich czworonogich towarzyszy, z którymi się wychował. Konie te są przytem wielce ciekawe: gdy ktoś w europejskiej odzieży zawita do ich dziedziny, a tabun go postrzeże, pędzi ku niemu gromadą, zatrzymuje się przed nim, popatrzy na niego, postrzyże uszkami, parsknie, i puszcza się nazad. W porze zimowej, same odgrzebują śnieg, szukając pod nim paszy. Siano stepowe jest grube; koń europejski rychło od niego zdycha.

Owce kirgizkie są najzaciętszymi wrogami skorpionów. Jakkolwiek ostatnie kryją się w piasku, umieją ich wyszukać, a znalazłszy, natychmiast pożerają. Aby się zabespieczyć śpiącemu od skorpionów, dosyć jest ledz na wojłoku ubitym z wełny tych owiec; uciekają od niego, podobnie jak pies od wilczej skóry.

Wielbłąd lubi się czasem zemścić, skoro mu dokuczają. Długo nieborak cierpliwy — za to zemsta jego jest wielka i nader dowcipna. Gdy Kirgiz nazbyt wiele zadaje mu bólu, przez pociąganie za rzemień, przywiązany do kółka wsadzonego w nozdrze wielbłąda, aby nim kierować, zniecierpliwiony zwierz zaczyna przeżuwać w milczeniu pokarm, a nagromadziwszy go znaczną ilość w pysku i upatrzywszy sposobną chwilę, tak silnie potrafi nim plunąć w twarz tyrana, że mu ją całą oślinionemi przeżuwinami oblepi. Wyrazić minę zadowolnienia, z jaką po dokonanej zemście podnosi głowę, i ogląda się na swych czworonożnych probatymców, jest niepodobna. —

Cały naród Kirgizów dzieli się na pokolenia, rządzone despotycznie przez Sułtanów. Ci wywodzą ród swój od Dżengizhana, o którym jednak wiele powiedzieć nie są w stanie. Ród ten arystokratyczny nie łączy się związkiem krwi z innymi rodami. Pokolenia dzielą się na auły czyli osady, złożone z kilku tylko kibitek, co jest dogodne dla życia pasterskiego; każda kibitka, mniej więcej obejmuje całą rodzinę.

Kirgizi koczujący na pograniczu Rossyi są mirni — zawojowani — pozornie sprzymierzeni rządowi najezdniczemu. Lu-

dność ich wynosi przeszło 120,000 dusz. Ich Chan, najwyższy z sułtanów, protegowany przez rząd Rossyjski, zowie się Dżangier; do niego należy zarząd pastwisk i koczowisk. Naczelny kaplan hordy mirnej, Mufty, mieszka w Orenburgu, gdzie znajduje się i korpus kadecki dla dzieci kirgizkich. Elewy wychodzący z nieco, ze stopniem oficera kozackiego, powracają do hordy na rządców i na urzędników rady Dżangiera. Gubernator Orenburgski, do którego należy naczelny zarząd hordy, często ją nawiedza, stopniuje sułtanów, ofiarując im gwiazdy, czerwone szlafroki ze złoconymi galonami, i t. p., jako strój dostojeństwa; z czego te indywidua, powodowane naturalnym pociągiem do chińszczyzny i błyskotek, wielce się chełpią. Raz, spotkawszy jednego z podobnych ichmościów, nie zdjąłem przed nim furażerki: Jeźli myślisz — rzekł do mnie komicznie napuszony, ukazując na swe znaki — że to nawóz koński, łżesz, bo to podarunek od wielkiego Cara!

Jest do życzenia, aby rząd rossyjski mniej posyłał do hordy urzędników przy pałaszu, a więcej lekarzy, dla ukrócenia choroby syfilicznej, którą wojsko jego zaszczepiło, a która grasuje tam niesłychanie. Choroba ta, tem okropniejsze wywiera skutki, że ciemny lud nie mając wiary w zbawienną pomoc medycyny, nie będąc o niej przekonany przez ludzi rozumu i serca, poddaje się dotąd guślarzom swego pokolenia, którzy, rozlicznymi sposoby zagadywania, palenia łuczywa i skwarzenia nad niem jakichś kostek, czy ziarnek, i t. d., wypędzają niby szajtana — djabła — z wnętrzności chorego, jako przyczynę jego cierpienia.

Wspomniawszy o chorach, przypominam sobie pewien fakt, który nie od rzeczy będzie tu przytoczyć:

Stałem na warcie w szpitalu wojskowym przed drzwiami sali, napełnionej nieszczęśliwymi, przysłanymi z rot aresztanckich i innych więzień, na kuracyę. Byli między nimi dwaj Kirgizi znajdujący się on lat siedmiu pod śledztwem i sądem wojennym, obwinieni o kradzież koni, w której koczujące narody azyatyckie celują. Władze miejscowe rossyjskie każą zazwyczaj, po dokonanej takiej kradzieży, aresztować gromadę pierwszych lepszych Kirgizów, posadzić ich w ostrogu, i zmusić niewinnych do zapłaty znikłych koni, jeźli nie wskażą win-

nego. Otóż właśnie podczas mojej warty, jeden z owych chorych był uniewinnionym; a drugiego, wydanego, słusznie czy niesłusznie, przez pozostałych w ostrogu jego rodaków, jako winowajcę skazano na pałki i na przesiedlenie. Uniewinniony, wybladły Kirgiz, pałający chęcią najprędszego wyleczenia się, aby być wypuszczonym ze szpitala i módz powrócić na łono ogromnej natury stepowej, za którą tęsknił, powypijał w nocy wszystkie lekarstwa przepisane dla kilku innych chorych. Myślałem, że biedak pęknie — zawiadomiłem o tym wypadku stabs-doktora; jednak nic mu się nie stało, skutkiem czy to silnej jego konstytucyi, czy też prędzej bezwładności zafarbowanej wody, jaką felczerowie dają w miejsce lekarstw nieszczęśliwym, za którymi nie ma się kto upomnieć! — Co do Kirgiza uznanego za winowajcę, ten nie miał widać ochoty prędkiego wyleczenia się, aby opuścić na zawsze ziemię rodzinną. — Rana jego na nodze zamiast goić się, coraz bardziej się jątrzyła, bo ją drapał; i język miał biały, bo kładł na nim ukradkiem liście tytuniowe. Lekarze bandażowali ranę i zmuszeni byli kłaść na bandażu pieczęć — ale i to nie pomogło: Kirgiz szpilką ją krwawił. Musiano podłożyć ceratę, na której każde ukłucie stawało się widocznem. I na to nie zważając, przedłużał swą operacyę — wdała się gangrena — życie w boleściach zakończył.

Dowiedziawszy się o jego smutnym skonie, ucieszyłem się gorzko, wiedząc, iż rzadko który z Mahometan skazany na pałki i wleczony przez strój szeregów sołdackich, nie bywa zabitym przez, żołdactwo, poduszczane przez ciemnych, barbarzyńskich junkrów i praporszczyków, tchnących nienawiścią do biednych dzieci islamizmu za to, że przodkowie ich kazali niegdyś Wielkim Książętom Moskiewskim trzymać sobie strzemiona u koni. Do takich to niecnych praporszczyków zastosowałbym rossyjskie przysłowie:

«Kùryca nie ptica, prâporszczyk nie oficèr!»
Kura nie ptak, praporszczyk nie oficer!

Wiadomo całemu światu, że w Rossyi karą powszechną są pałki — ale niewiadomo może, że piętna tych zostają na całe życie. Moskale jednak dobrze o tem wiedzą. Najpierwszą u

nich procedurą sądową z obwinionym, w celu przekonania się czy był już pałkowanym, jest zaprowadzenie go do łaźni parowej, w której gdy rozgrzeje się ciało męczennika, nacierają je flanelą; i wtedy wszystkie pręgi, pasy od chłost i bizunów, miejsca poobcierane od kajdan i dybów, występują mu na skórze w kolorze carskiej purpury!

Kirgiz nie tyle się atoli kijów lęka, nie tyle knuta, pod którym pada ofiarą z wyrazem Ałłah! na ustach, ile piętna na szafocie, gdy jest skarany do katorżnych robót. Okropnie patrzeć na sprowadzonego delikwenta z rusztowania do więzienia, gdy usłużni ziomkowie jego wysysają mu z czoła i policzków czarne plamy massy prochowej, zanim stwardnieją i pozostawią na wieki na obliczu człowieczem widomy stępel katowski.

Jeden z podobnie piętnowanych, Tatarzyn, któremu udało się uciec, napotkawszy sołdata, poskoczył do niego i zawołał z rozpaczą: Zabij mię, bo jeźli nie, to ja cię zabiję!

Kirgiza uciekającego trudno jest Rossyanom pochwycić, ponieważ widzi on niezmiernie daleko swojemi małemi oczyma. To, co się wydaje Enropejczykowi jakimś ciemnym punkcikiem w oddaleniu, lub czego dojrzeć nie jest w możności, Kirgiz dostrzegam tam jeźdca, czy pieszego, z lancą lub bez lancy, tak dalece wzrok go nie myli.

Najbezpieczniejszy punkt oparcia dla zbiegów ze stepów Kirgiz-Kajsackich, jest Chiwa. Niedawnemi czasy, mirni Kirgizi chwytali jeszcze żołnierzy rossyjskich, wychodzących na polowanie za rzekę Ural, i sprzedawali ich do Chiwy. Z tego powodu, każda prawie rodzina chiwińska posiada niewolników ze szczepu słowiańskiego, fińskiego, i t. d. Większa ich część za przyjęciem obrzezania otrzymała wolność. Wielu się pożeniło, osiedliło, niektórzy porobili majątki.

Pewien z liczby takich zbiegów, pochodzenia kozackiego, zamieszkały od wielu lat w Chiwie, dowodząc w roku 1855 Kokańcami przeciwko Rossyi, swej ojczyznie, dostał się do niewoli, był poznany i przyprowadzony w łańcuchach do Orenburga, zkąd go wywieziono, niewiadomo dokąd.

W razie napadu Kirgizów niepodległych, koczujących w głębi stepu, na hordę sprzymierzoną, z zamiarem zemsty i

nadzieją łupu, gubernator wysyła wojsko dla jej obrony. Zdarza się, że elew szkoły kadetów, posłany na posadę w stepy, przechodzi na stronę swych współbraci niepodległych, szykuje ich i napada na mirną hordę. W ostatniej wszędzie są porozstawiane liczne pikiety z kozaków orenburgskich, uralskich i astrachańskich, z oficerami na czele. Do rezydencyi Dżangiera przywiązany cały ich oddział. Gdy kozaki poszukują kogo w stepie, gdzie żadnych dróg nie ma, stanowią swój pułk w jednym punkcie; z tego rochodzą się w dwie odnogi, następnie z każdej z tych w inne dwie, i tak dalej, w sposób siatki szybko pustynię pokrywającej. Ucieczka zatem Dżangiera, przypuściwszy że miałby ten zamiar, byłaby prawie niepodobną do uskutecznienia.

Kirgizi nie są odważni: kilkudziesięciu ludzi dobrze uzbrojonych i śmiałych, może iść bezpiecznie przeciw kilkuset Kirgizom. Najwięcej boją się bagnetów. Sposób ich wojowania jest ten sam prawie co i u Beduinów. Urządzają się wyłącznie w konnicę — nieregularną. Niezdolni do stoczenia otwartego boju, napadają niespodzianie gromadą na nieprzyjaciela, uzbrojeni w łuki, lance, siatki druciane, pistolety, nędzne strzelby — nie zachowując żadnego wojskowego porządku. Nie dziw więc, że przy szarży, łatwo ich rozproszyć. —

Rossya, olbrzymim acz cichym krokiem posuwa się ku Chinom i Indyom. Zajmuje ona kraje i plemiona, czy to bronią, czy to intrygą, rzucając ziarno niezgody między nieszczęśliwe pokolenia azyatyckie.

Dzielić aby panować, jest zasadą gabinetu petersburgskiego. Niezgoda, jaką krzewi w Azyi średniej, między trzema chanatami: Chiwy, Buchary i Kokanii, obejmującymi około 6,000,000 mieszkańców; jakoteż między Kirgizami a Kałmukami i Karakałpakami; staje się dla Rossyi potężnym orężem, którym te nieoświecone a powaśnione narody same się mordują.

Nie dosyć na tem. Posunęła się ona zbrojno niedawnemi czasy, ku morzu Aralskiemu, gdzie zdobyła podstępem, za pomocą podkopu, warowne miasto kokańskie Achmeczet, nazwane potem Fort Perowski, od nazwiska gubernatora orenburgskiego, przewódcy wyprawy. Obecnie, fort ten zamienia się stopniowo w groźną fortecę, tak pod względem ważności stra-

tegicznej, jako i budowy w najnowszym stylu, nad którą moskale usilnie pracują. Fort Perowski, rzecz można, jest jedyną potęgą moskiewską w tamtych stronach — wszystkie inne mało mają znaczenia. Fort Perowski jest najdalszym punktem oparcia dla armii rossyjskiej w stepie; leży nad rzeką Sir-Daryą, w odległości 500 tylko wiorst od morza. Statki parowe rossyjskie płyną już swobodnie po Sir-Daryi do Morza Aralskiego, zkąd łatwo wypłynąć mogą w sposób najezdniczy i na rzekę Amur. Wschód zagrożony!

XIX.

JESZCZE SŁÓW KILKA.

XIX.

Skład oddzielnego Orenburgskiego Korpusu, jest następujący:

1° Dziesięć batalionów liniowych piechoty.

2° Kozaki gubernji orenburgskiej ze swą artyleryą.

3° Kilka batalionów kantonistów, złożonych po większej części z żydziąt pochwyconych w Polsce i przechrzczonych na grecko-rossyjską wiarę.

4° Zdegradowany na sołdatów dygnitarze i urzędnicy cywilni rossyjscy, najczęściej za utratę skarbowych pieniędzy; jako też oficerowie, ze zwykłym w stanie ich służby epitafem: za pijaństwo, bujaństwo, nòcznyje szatàtielstwo i rozbitje stiekòł, rozżałowan w zaszczytniki otiéczestwa; co się tłómaczy po polsku: za pijaństwo, zuchwalstwo, nocne włóczęgostwo i wybijanie szyb, zdegradowany na obrońcę ojczyzny!

5° Ziomkowie moi, zesłani za to jedynie, że się rodzili w Polsce i kochali swoją Ojczyznę.

Do ostatniej kategoryi zaliczony zostałem.

Przez lat sześć nosiłem karabin po stepie.

Pewnego dnia, 1855 roku, stałem na warcie na głównym odwachu w Orenburgu, gdy nagle w dzwony miejskie uderzono. Huk to był niezwyczajny.

Sędziwy staruszek przechodził koło odwachu.

— Co to mają oznaczać owe dzwony, miły staruszku, zapytałem.

— Jedno z dwojga panie żołnierzu: albo Archimandryta,

albo też Car — rzekł; nieskończywszy frazesu, i potrząsając głową, postąpił dalej.

Dzwony ciągle tentniły.

Po zmianie warty, powracając do koszar, postrzegłem na dziedzińcu grupę oficerów i dosłyszałem słowa: car, cara, caru; mówiono o Carze z miną tajemniczą.

Nazajutrz rano, przyszedł rozkaz aby wojska na plac wystąpiły. Wkrótce za niemi przybyli tam popi, władze wojskowe; porozstawiano cerkiewne obrazy, i odśpiewano modlitwy za duszę Mikołaja I, który się przeniósł do wieczności. Następnie, cała siła zbrojna wykonała przysięgę na wierność nowemu monarsze, Aleksandrowi II.

Tegoż dnia, zaszedłem wieczorem do jednego ze znajomych, mi oficerów; zastałem tam wielu innych, niegdyś wielbicieli świeżo zmarłego mocarza, północy, na ten raz wytykających wady nieboszczyka, a unoszących się z kieliszkami w ręku nad wysokiemi przymiotami nowego Cara.

W koszarach, niektórzy pisarze wojskowy dowodzili mi półgębkiem, jakoby tron nie należał się Aleksandrowi, wedle najdawniejszych praw rossyjskich, ale jego młodszemu bratu, Konstantemu, gdyż pierwszy urodził się wtedy, gdy ojciec jego nie był jeszcze carem, ale tylko Wielkim Księciem.

Długo w nocy nie spałem, natłok myśli obciążał mi głowę, a gdy zasnąłem, ciężki sen męczył mię niesłychanie:

«Byłem w jakiejś krainie nadprzyrodzonej.

«Salon w niej był złożony z kry lodów. Na krach, jakieś bezkształtne dziwolągi i polarne niedźwiedzie szczekotały zębami — w salonie stały posągi z ludzi zamrożonych, i odbywały się gody. Puhary, ordery i szarfy biesiadników, przy lamp tysiąca błysku, ćmiły moje oczy; muzyka grzmiała, świszczały wiatry, tonie spienionych bałwanów o kry uderzały — biesiadnicy pląsali zapamiętale.

«Nagle postrzegam widmo czarne, ponure, siedzące w koronie z kości trupich. Odskoczyłem od niego. Siedziało w środku korowodu, a za niem stała larwa, nucąca grobowo po każdej przegrywce orkiestry:

«Lepiej być ofiarą jak katem —
Lepiej być ofiarą jak katem.»

«Widmo kiwało głową — z jam zaś, gdzie były oczy, krople spiekłej krwi sączyły mu się na kolana.

«Potem strojni tancerze zamieniali się w kosteczki, kosteczki — i znikli. —

«Roztwierają się z łoskotem podwoje, wpada tłum nagich skieletów.

— Oddaj mi moją szyję, woła jeden z nich do koronowanego.

Szyję! powtarza chór.

— Oddaj moje dzieci, woła drugi.

— Dzieci! powtarza chór.

— Na co mię przechrzciłeś! Bez błogosławieństwa matki wnijść nie mogę do raju; upomina się trzeci.

— Wnijść nie możem do raju, powtarza płaczliwie chór.

— Wyrwałeś mózg mojemu mężowi, a wsadziłeś mu gąbkę. — Gdzie jest mózg męża mojego? — woła skielet kobiety.

«Pretensyi było bez liku — ale chwyta mię jeden z nieboszczyków w piszczele, i ciągnie przed czarne widziadło. Wydzieram się jak mogę, włosy mi się jeżą z przestrachu, urazy przebaczam, zawołałem — lecz na to słowo, wszystkie skielety zwróciły się wraz. Nie ma, nie ma przebaczenia! wrzasnęły społem, i nuż mię kułakować.» —

Przebudziłem się, oblany zimnym potem.

Upłynął pewien przeciąg czasu od tego snu okropnego, gdy otrzymałem rozkaz stawienia się w sztabie przed mym dowódcą. Pierwsze jego słowa były: Bóg i Car miłosierny — pozdrawiam cię z marszem. Potem odczytał mi ułaskawienie nowego monarchy, który, przychylając się do raportu generała korpusu, donoszącego o mej długoletniej pilności w pełnieniu obowiązków służbowych i o sprostowaniu mego sposobu myślenia, rozkazał mię wykreślić z listy politycznych winowajców, podciągnąć pod prawa ogólne armji czynnej i posłać na wojnę do Krymu, w celu dania mi niby sposobności dosłużenia się rangi oficerskiej.

Walczyć przeciw Francyi i Anglii? nadstawiać kark pod jatagan turecki, i topić bagnet w piersi, może współziomków, było mi najmiłościwiej dozwolonem.

Wysłuchawszy mszy Śtej w katolickim polskim kościołku,

cichą łzą skropiwszy oblicza kolegów wygnańców, porzuciłem Orenburg, a trzymając się wskazanej marsz-ruty, przybyłem do środka Rossyi.

No! jeźli wam teraz nie zemknę, nazwiecie mię krugom durak, powiedziałem sobie, i zamiast przedłużać drogę do Krymu, zwróciłem się ku Polsce, a po wielu, wielu przygodach, dostałem się przecież do kraju rodzinnego, zkąd przebrałem się do Niemiec.

Gwiazda mej wolności wchodzić zaczęła.

W Niemczech, ujrzawszy się bez przytułku i opieki, trwoga mną miotała, zwróciłem się myślą ku łagodnemu horyzontowi politycznemu Stanów Zjednoczonych Ameryki. Przybyłem do wolnego miasta Bremen, siadłem na okręt, pieśń majtków, łącznie z mem westchnieniem, pożegnała starą, kochaną Europę; rozwinięto żagle, nikł ląd powoli, nakoniec roztopił się we mglistej powłoce. Popłynąłem do nowego świata.

Przybywszy do Nowego Yorku, zaszedłem do najbliższej oberży, z torbą podróżną pod pachą. Rozmowa moja z dziewczyną służącą odbywała się na migi, bo nie umiałem nic po angielsku. Poczciwa, podawszy mi przedewszystkiem befsztyku i herbaty, przyprowadziła młodego Francuza, który, nazywał Polskę północną Francyą, a po parze dniach naszej znajomości, ofiarował mi się za nauczyciela języka angielskiego.

Gdy nauczyłem się najpotrzebniejszych wyrażeń, zaprowadził mię do City-Hall — na ratusz — do wydziału naturalizacyi. Tam odczytano mi deklaracyę, wedle praw republikańskich, że wyrzekam się wszystkich królów i potentatów, a mianowicie Cesarza Rossyjskiego — odpowiedziałem yes! pocałowałem podaną mi biblię, zapłaciłem 25 centów — i ot, za jedno tak! i za dwa złote polskie, zostałem wolnym obywatelem na drugiej półkuli, w ojczyznie Waszyngtona. —

DRUKIEM F. A. BROCKHAUSA W LIPSKU.

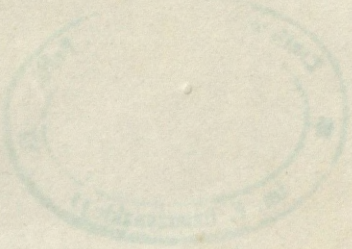

BIBLIOTEKA NAUKOWA WAP
1633/I
/1